

KATARZYNA GURNARD



📖 Drżycie, złoczyńcy!

Wkraczam do akcji... 📖

Pani Henryka
**i MORDERSTWO
W PENSJONACIE**

🔫 Ciepła i pełna
humoru
komedia
kryminalna 📖

LIRA
WYDAWNICTWO

KATARZYNA GURNARD



Pani Henryka
i MORDERSTWO
W PENSJONACIE

LIRA
WYDAWNICTWO

Mojemu mężowi

ROZDZIAŁ 1

W to pochmurne październikowe przedpołudnie pani Henryka Orłowska szykowała się na swoją cotygodniową dwugodzinną porcję nordic walkingu. Zgodnie z rozpiską zamieszczoną w internecie tego dnia miasto proponowało mieszkańcom aktywną przechadzkę po Lesie Łagiewnickim, obowiązkowo — zresztą jak prawie wszystko w ostatnich latach — dofinansowywaną z funduszy unijnych. Kobieta niespiesznie przeglądała wnętrze szafy w poszukiwaniu dodatkowego swetra. Na razie było ciepło, ale wczoraj zaraz po wiadomościach blondynka w stylowej princesce ostrzegła, że w porze obiadu nad Łódź ma nadejść niż ze Skandynawii. Zapowiadało to początek przymrozków, a przezorna Henryka nie miała ochoty przez własne zaniedbanie siąpić nosem nad grobami we Wszystkich Świętych.

Właśnie znalazła właściwą narzutkę, nie za grubą ani nie za cienką, kiedy niespodziewanie rozległ się donośny dźwięk dzwonka do drzwi. W sekundę później ktoś zaczął natarczywie walić, prawdopodobnie pięścią, choć z czynionego hałasu i drgań drewnianych wrót można było wnioskować, że równie dobrze w użyciu był taran, słusznych rozmiarów młot lub chociaż głań. Emerytka bezbłędnie rozpoznała sprawcę rzeczonoego zamieszania. Szybkim krokiem przemierzyła korytarz, żeby wpuścić gościa, zanim ów poczyni nieodwracalne zniszczenia na Bogu ducha winnych drzwiach.

— Pan listonosz! Zaprosiłabym na kawkę, tyle że akurat spieszę się na kije — powiedziała przepraszająco gospodyni. — Dam za to panu na drogę kawałeczek szarlotki, jeszcze gorąca, dopiero co wyjęłam z pieca. Proszę wejść i zamknąć drzwi, bo zimno leci. Spakuję porcyjkę placka i zaraz wracam — zarządziła, nie dopuszczając mężczyzny do głosu, po czym pobiegła do kuchni.

— Pani Heniu kochana, pani jabłeczniczka nie odmówię! — zdążył krzyknąć listonosz, zanim energiczna kobieta zniknęła w pomieszczeniu na końcu korytarza. Następnie otrzepał buty, wszedł do przedpokoju i posłusznie zamknął drzwi wejściowe. W oczekiwaniu na Orłowską wertował plik wyjętych z kieszeni listów.

Chwilę później gospodyni wyłoniła się z kuchni z całkiem okazałym pakunkiem owiniętym w papier śniadaniowy.

— Trochę więcej mi się ukroiło, nic to, najwyżej się pan z kimś podzieli — powiedziała, wciskając mu w dłoń zawiniątko.

— Dziękuję — odpowiedział uradowanym głosem i wprawnym ruchem schował podarunek do przepastnej skórzanej torby.

— Ale zaskoczenie, wyjątkowo wcześniej przysłali w tym miesiącu emeryturę.

— Pani Heniu, a jakąż tam emerytura! Na pieniądze jeszcze przyjdzie poczekać co najmniej kilka dni. Przyniosłem list polecony.

— Polecony? — Zdziwiła się. — Do mnie?

— Ano polecony, i to nie byle jaki, bo ze zwrotnym potwierdzeniem odbioru!

— Co też pan mówi?

— Niech sama pani zobaczy. — Podał gospodyni kopertę.

Kobieta wyjęła z kieszeni zrobionej na drutach kamizelki futerał na okulary, wyłuskała je i założyła na nos. Wzięła do ręki list i dokładnie mu się przyjrzała. W polu adresata jak wół widniały jej dane, które ktoś naniósł zgrabnym odręcznym pismem. Nadawcą była kancelaria adwokacka. Długa nazwa zdradzała, że stanowi ona współwłasność trzech osób o z angielska brzmiących nazwiskach. Taki stan rzeczy zdziwił Henrykę, która nie przypominała sobie, żeby otrzymała polecony od co najmniej kilku miesięcy, a tym bardziej z nieznanego jej źródła. No, ale skoro list przyszedł, należało go przyjąć.

— Gdzie podpisać?

— Tutaj i tutaj — poinstruował listonosz. Po dokonaniu wymaganych formalności pożegnał się, zarzucił na ramię ciężką torbę i rażnym krokiem pomaszerował dalej roznosić przesyłki.

Zaskoczona Henryka zamknęła drzwi, przekręciła klucz w zamku i przeniosła się do głównego pokoju, urządzonego w tak modnym kilka dekad temu stylu wczesny Gierek. Wygodnie rozsiadła się w wysłużonym fotelu z wysokim oparciem i jednym ruchem dłoni niedbale rozerwała kopertę. Ze środka wyjęła zadrukowaną kartkę papieru kredowego (!) i przeczytała, co następuje:

Jako wykonawcy testamentu zmarłej J.J. Camaicestomon upraszamy p. Henrykę Orłowską o bezzwłoczny kontakt z naszą kancelarią adwokacką celem ustalenia szczegółów wypłaty kwoty należnej jej z masy spadkowej. Numer telefonu oraz adres kancelarii zamieszczono poniżej.

Starsza pani przeczytała pismo raz, a ponieważ nie mogła uwierzyć własnym oczom, zrobiła to ponownie. Pograżona w myślach, powoli złożyła papier i umieściła go w rozdartej kopercie. Była przekonana, że z całą pewnością adwokatom musiało chodzić o jakąś inną Henrykę Orłowską, ta bowiem, w której ręce trafił list, nie znała J.J. Camaicestomon ani żadnych innych bogatych krewnych, którzy mogliby ją uwzględnić w swojej ostatniej woli. Kto wie, czy przez zwykłą omyłkę wynikającą ze zbieżności nazwisk gdzieś tam właśnie teraz jakaś biedna kobiecinka nie czeka z utęsknieniem na należy jej spadek! Sprawę należało wyjaśnić i to najlepiej od razu.

Orłowska wykreśliła właściwy numer na tarczy telefonu stacjonarnego. Już po pierwszym sygnale przywitała ją melodyjnym, przyjemnym dla ucha głosem uprzejma asystentka. Niestety, rozmowa nie przebiegła po myśli emerytki, ponieważ mimo żarliwych zapewnień, że zaszło nieporozumienie i należy szukać innej spadkobierczyni, dama po drugiej stronie kabla pozostała nieugięta. Co więcej, wymusiła na Henryce obietnicę, że w dniu jutrzejszym punktualnie o godzinie dziesiątej stawi się w biurze z dowodem osobistym i wtedy na spokojnie wyjaśni wespół z mecenasem wszelkie wątpliwości. Ponieważ akurat na jutro Orłowska nie miała jakichś szczególnie ważnych planów, więc uznała, że nie ma sensu się kłócić i ustąpiła dziewczynie.

W chwili gdy odłożyła słuchawkę, naszły ją jednak wątpliwości. A co, jeśli to nie żadna kancelaria, tylko przebiegli organizatorzy pokazów? W ten zawily sposób zapraszają ją na prezentację patelni, dywanów, szpadli etc. W nagrodę za cierpliwość i stawienie się w oznaczonym miejscu ładnie ubrane hostessy zupełnie za darmo wręczają uczestnikom tak użyteczne przedmioty jak: zegar na ścianę w kolorze brudnego rózu, miniczajnik elektryczny na jedną filiżankę wody czy lampkę nocną z wizerunkiem Lucky Luke'a na abażurze. Nota bene Henryka otrzymała już wszystkie wymienione powyżej przedmioty. Zaraz po przyjściu do domu ułożyła je równo w ostatnim pokoju służącym za składzik tak zwanych przydasioów. Przydasiami określała rzeczy, z których nie korzystała, ale szkoda jej było je wyrzucić, bo a nuż... kiedyś... może... znajdzie dla nich zastosowanie.

Pokazy nie były preferowanym przez Orłowską rodzajem rozrywki, dlatego zdecydowanie należało unikać niepotrzebnego telepania się o poranku autobusem na drugi koniec miasta. Poza tym szkoda jej było zmarnować dwie godziny tylko po to, żeby poznać tajniki użytkowania na przykład naczyń najwyższej klasy za bająnskie sumy. Nie przeczyła, że może i faktycznie były one warte swojej ceny, a przygotowane w nich dania smakowały wyśmienicie, ale po prostu nie zamierzała ich kupować. Obecnie posiadane emaliowane garnki, z niestety nieistniejącej od dziewięćdziesiątego drugiego fabryki Zupinka, w pełni zaspokajały potrzeby doświadczonej gospodyni. Prawdą również było, że gotowanie nie znajdowało się w kręgu zainteresowań pani Heni, uznawała je po prostu za jeden z obowiązków domowych.

Energiczna emerytka przesiadła się od stołu do biurka z komputerem i włączyła wiekowy pecet. Po raz kolejny pomyślała z zadowoleniem o tym, jak trafną decyzją było zgłoszenie się na komputerowy kurs dla seniorów organizowany przez Miejski Ośrodek Rozwijania Umiejętności Wszelakich, w skrócie, nie wiedzieć czemu — MORUS. Nie zawsze chciało jej się chodzić na zajęcia zaplanowane na listopadowe i grudniowe popołudnia, ale dała radę. Kurs ukończyła z oceną celującą oraz stuprocentową frekwencją. Dla powodzenia przedsięwzięcia zapewne nie bez znaczenia było również to, że nauce przy komputerze każdorazowo towarzyszyły ustawione przy stanowiskach szklanki świeżo zaparzonej kawy oraz talerzyki z kokosankami. Inna sprawa, że z rozpoczynających edukację pięciu seniorów na drugie zajęcia stawiły się tylko dwie osoby, a po trzecich jedynie ona sama. W tej sytuacji mimo niesprzyjającej aury na dworze Henryka zdecydowała, że wytrwa do końca. Nie chciała zawieść sympatycznego i zawsze uśmiechniętego pana informatyka, który tłumaczył jej każdą rzecz po trzy razy z anielską cierpliwością.

W domowym komputerze zaszumiało, zaterkotało i po chwili Orłowska surfowała w internecie w poszukiwaniu informacji o nadawcy listu, który tak usilnie zapraszał ją na spotkanie. Po półgodzinie klikania, przewijania myszą i czytania kobieta wyłączyła sprzęt. Nie ulegało wątpliwości, że pod adresem, pod który jutro miała się udać, znajdowała się rzeczona kancelaria adwokacka. Jej angielscy właściciele na swojej stronie WWW z dumą informowali, że specjalizują się w prowadzeniu spraw zamożnych klientów z zagranicy. Pani Henia ustaliła, że poza pełnym profesjonalizmem oraz designerskim biurem cechowały ich również ceny na poziomie europejskim. W tej sytuacji nasuwało jej się jedyne logiczne wyjaśnienie — sprawa nieoczekiwanego spadku, tak jak kobieta sądziła od początku, była zwykłą pomyłką.

Orłowska spojrzała na zegarek. Przez powstałe zamieszanie zajęcia nordic walkingu tego dnia przepadły. Nadal jednak istniała szansa, że jeśli się pospieszy, uda jej się zdążyć na spacer szlakiem łódzkich rzek, organizowany przez niezależnego hydrologa.

Wieczorem starsza pani odświeżyła wyjściową garsonkę w kolorze zgniłej zieleni, dobrała do niej korale z niewielkich kamyczków pasujących odcieniem do stroju oraz broszkę. Nie zapomniała również o wypastowaniu butów. Włosy zakręciła na różowe plastikowe wałki i owinęła siatką. Tak przygotowana udała się na zasłużony odpoczynek.

ROZDZIAŁ 2

Zgodnie z założonym sobie planem o godzinie dziewiętej pięćdziesiąt Orłowska stawiała się na spotkanie w kancelarii adwokackiej. Mieściła się ona w bardzo efektownej, zabytkowej kamienicy z dziewiętnastego wieku. Całość — zarówno usytuowanie, jak i wystrój siedziby firmy — dawała poczucie podniosłej dostojności. Zapewne w innych okolicznościach zachwyciłoby to wrażliwą na piękno Henrykę, gdyby nie... schody. No właśnie, schody. To one zepsuły dobre wrażenie, jakie w założeniu miał budzić dobór lokalizacji oraz wnętrza kancelarii. Zamiast oczekiwanego zachwytu zasapana kobieta, najdelikatniej mówiąc, raczej chłodno pomyślała o całej budowlu, znajdujących się w niej firmach i osobie, która skazała ją na taką katorgę. W sumie sto pięćdziesiąt dwa stopnie tortur, nieludzkich męczarni, prawdziwej gehenny!

— Dobrze się pani czuje? — zapytała zatroskana sekretarka, która wychyliła się zza kontuaru na widok z trudem łapiącej oddech wiekowej damy.

Orłowska z nieco rozmazanym makijażem stała w rozchełstanym płaszczu, wsparta jedną ręką o framugę. Pod pachę miała wepchniętą słusznych rozmiarów torebkę, a w dłoni trzymała wełniany kapelusik i apaszkę. W końcu z trudem przemówiła:

— Przydałaby się wam winda.

— Ale dlaczego? — zdziwiła się dziewczyna, której sylwetka dawała do zrozumienia, że jest stałą bywalczynią fitness klubu.

— Jasne, młodość — zaśmiała się serdecznie Henia i zupełnie zapomniała o irytacji, którą czuła przed sekundą. — Minie jeszcze dobre trzydzieści, czterdzieści lat, zanim mnie zrozumiesz, złotko. I bardzo dobrze! Każdy wiek ma swoje prawa, swoje trudności, problemy, ale i przywileje, zalety. Krótko mówiąc, blaski i cienie.

Sekretarka przyjrzała się uważnie rozmówczyni. Usilnie próbowała zrozumieć przyczynę oraz sens zasłyszanej przed chwilą filozoficznej przemowy. Henryka przerwała przedłużającą się ciszę:

— Byłam umówiona na dziesiątą.

— Na dziesiątą? Pani godność?

— Orłowska. Henryka Orłowska.

— Oczywiście, już widzę — powiedziała uprzejma panienska, monitorując zapis w kalendarzu. — Przy drzwiach stoi wieszak na okrycia wierzchnie. Ponieważ do spotkania zostało jeszcze pięć minut, bardzo proszę sobie spocząć i poczekać. — Wskazała dłonią na wygodne fotele ustawione pod ścianą. — Może coś pani podać? Szklankę wody? Rumianek? Zieloną herbatę?

— Dziękuję, złotko. Poproszę kawkę, jeśli to nie kłopot. Czarną, sypaną, nie za mocną, z trzema łyżeczkami cukru.

— Sypaną? Chodzi pani o mieloną czy rozpuszczalną?

— O mieloną.

— Niestety nie mamy. Zresztą rozpuszczalnej też nie.

— A jaką macie?

— Z ekspresu. — Sekretarka dostrzegła niezadowolenie malujące się na twarzy starszej pani. Henryka nie była osobą marudną czy wybredną, ale jeśli chodziło o kawę, miała jasno określone preferencje. — Proszę się nie obawiać, to nie jest byle jaki ekspres, tylko porządny, ciśnieniowy, piętnaście barów, z wbudowanym młynkiem i spieniaczem mleka. A do tego samoczyszczący!

— Niech będzie. — Specyfikacja techniczna sprzętu nie zrobiła wrażenia na kobiecie, nie chciała jednak wybrzydzać. Skoro nie ma mielonej, to nie ma. Trudno. Z pustego i Salomon nie naleje.

Orłowska powiesiła płaszcz i ciężko opadła na pierwszy z brzegu fotel z charakterystycznym dla skórzanych mebli plaśnięciem. Dyskretnie wyjęła z torebki podręczne lustro i sprawdziła, jakie szkody poczyniły w jej wyglądzie znieawidzone schody. Włosy jak zawsze bez zarzutu. Henryka ciepło pomyślała o niezawodnym spreju w zielonej tubie, którym zwykła od dziesięcioleci utrwalać swoją fryzurę. Zawsze przed wyjściem cierpliwie spryskiwała pasmo po pasmie, dzięki czemu powstała na głowie konstrukcja przyjmowała postać twardego hełmu. Chronił on przed wszelkimi przeciwnościami

losu oraz pogody, a kto wie, czy nie sprawdziliby się również na wypadek wojny. Jednocześnie całość była przyjemna dla oka i tylko baczny obserwator dostrzegłby nienaturalną sztywność czupryny, która poruszała się jako jeden byt na zasadzie „wszystko albo nic”. Makijaż dało się poprawić w ciągu kilku sekund, wystarczyła nowa warstwa pomadki. Należało jeszcze tylko wyprostować przekrzywioną broszkę w kształcie ważki i gotowe.

Ledwie emerytka skończyła dokonywać poprawek i wygodnie rozsiadła się w skórzanym cudzie przemysłu meblowego, podeszła do niej sekretarka z trzymaną w dłoni filiżanką aromatycznej kawki i zaprosiła do gabinetu. Panie gęsiego pomaszerowały długim, wąskim korytarzem, na którego końcu znajdowały się zdobione dwuskrzydłowe drzwi. Dziewczyna delikatnie zapukała w nie wolną ręką i nie czekając na odpowiedź, nacisnęła klamkę.

— Pani Orłowska. — Na widok kobiet zza monstrealnego mahoniowego biurka wyłonił się pan w średnim wieku o obfitych kształtach. — Witam serdecznie. Zapraszam do środka. Śmiało, śmiało, proszę wchodzić. Pani Zuzanno, będzie pani tak uprzejma i dla mnie również przyniesie espresso?

Na widok mężczyzny Henryka pomyślała o pokonanych przez siebie chwilę temu schodach. Skoro jej — zapalanej amatorce aktywności sportowych organizowanych przez rozliczne organizacje non profit — ta przebrzydła konstrukcja architektoniczna sprawiła trudność, co ma powiedzieć ów nieprzypominający atlety adwokat? Przecież żeby dostać się do pracy, musi po nich wejść przynajmniej raz dziennie! Poczwała dla niego szczere współczucie.

— Oczywiście, panie mecenasie, zaraz przyniosę. Do tego herbatniczki maślane? — dopytała domyślna Zuzia.

— O tak — nie wahał się ani przez chwilę — i dla pani Orłowskiej też proszę przynieść. Koniecznie musi pani spróbować tych pyszności — zwrócił się bezpośrednio do gościa. — Odkryłem je podczas wycieczki do takiego jednego przytulnego pensjonatu na południu Polski, gdzie serwują je do kolacji. Cudowne miejsce na wypoczynek. Wszystko w stylu angielskim, włącznie z jedzeniem i nazwą obiektu: Yorkshire. Ale ja tu gadu-gadu, a pani przecież na pewno się spieszy. Proszę sobie spocząć — powiedział, po czym doskoczył do kobiety i podsunął jej krzesło.

— Dziękuję. — Usiadła i położyła sobie torebkę na kolanach.

— Pani Henryko, jeśli mogę się tak do pani zwracać...

— Oczywiście — zgodziła się bez wahania. Z każdą minutą czuła coraz większą sympatię dla siedzącego naprzeciwko niej jegomościa, który podobnie jak ona cenil sobie smak słodkich przekąsek.

— W takim razie, pani Henryko, zacznę od złych wiadomości, żeby potem przejść do tych przyjemnych. Niestety, w ubiegłym miesiącu zmarła, dożywając słusznego wieku stu czterech lat, pani świętej pamięci ciotka Jane Camaicestomon.

— Właśnie, jeśli o to chodzi... — przerwała mecenasowi Orłowska.

— Tak? — zapytał, zerkając znad okularów.

— Obawiam się, że zaszła pomyłka. Nie miałam ciotki o takim nazwisku ani...

W tym jednak momencie drzwi gabinetu otworzyły się, a do środka weszła recepcjonistka. Przed sobą trzymała niewielką tacę z pobzdękującymi w rytm kroków naczyniami. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki na widok zbliżających się do biurka pyszności adwokat stracił zainteresowanie Henryką oraz otaczającym go światem. Łakomie łypał okiem na talerzyk z pokaźną górką prostokątnych, niewielkich ciasteczek.

— Proszę tutaj postawić, zrobię miejsce. — Jednym ruchem ręki niedbale zgarnął na bok stertę papierzysek. — Pani Zuzanno, bardzo dziękujemy. Pani Henryko, proszę skosztować.

Emerytka delikatnie ujęła w palce jeden prostokącik i odgryzła rozek.

— Ale nie tak, proszę śmielej, bez krępacji. Toż nie jesteśmy w Wersalu — zaśmiał się serdecznie. — Żeby poczuć, jakie są zachwycające w smaku, trzeba porządnie się wgryźć, a najlepiej jeszcze pomoczyć w kawie. Zresztą, ja pani pokażę. — Co też bezzwłocznie uczynił. Wziął w garść większą porcję ciasteczek, kilka namoczył w parującym, czarnym niczym smoła napoju, a następnie całość na raz wpakował sobie do ust. W ciszy, z przymkniętymi oczyma, żuł smakołyk z wyrazem najwyższego zachwyty na twarzy. — Pozwolę sobie posłużyć się określeniem „niebo w gębie”. Właśnie

tak wyobrażam sobie raj — skwitował, kiedy uporał się z przekąską. — A teraz proszę, odważnie — zachęcił, podsuwając talerzyk emerytce.

Po chwili wahania Orłowska zdecydowała się na trzy herbatniki. Żeby nie urazić mężczyzny, postąpiła zgodnie z instruktażem. Ku jej zaskoczeniu niepozornie wyglądające prostokąciki w połączeniu z kawą smakowały wybornie, wręcz rozplływały się w ustach. Delikatny, maślany smak dopełniała nuta wanilii, cynamonu i czegoś jeszcze, tylko czego? — zastanawiała się.

— Gałka muszkatołowa. To, co wyczuła pani na końcu, to szczypta gałki muszkatołowej.

Zupełnie jakby mecenas czytał jej w myślach!

— Przepyszne! — zachwyciła się. — W życiu nie jadłam tak smacznych herbatników!

— Dokładnie! — Mężczyzna ucieszył się, wyczuwając w Henryce bratnią duszę. — No tak, ale wracając do powodu naszego spotkania — powiedział z lekkim niepokojem, zerkając na zegar ustawiony tuż przed nim. — Coś pani zaczęła mówić, zanim weszła pani Zuzanna.

— O, właśnie! Chciałam powiedzieć, że z tym spadkiem zaszła pomyłka.

— Ależ tu nie może być mowy o żadnej pomyłce! Wszystko osobiście sprawdziłem. Jeśli byłaby pani tak uprzejma, proszę dla pewności pokazać mi dowód osobisty.

Orłowska szybko wyjęła go z torebki i wręczyła adwokatowi. Mężczyzna najpierw zapoznał się z obiema stronami dokumentu, następnie przewracał jakieś papiery, a na koniec oświadczył:

— Tak jak sądziłem, wszystko się zgadza. Ciotka była daleką kuzynką pani matki. Wyemigrowała jeszcze przed wojną i osiadła gdzieś na przedmieściach dużego miasta w Wielkiej Brytanii. Większość swojego majątku zapisała rozlicznym fundacjom charytatywnym, w których czynnie się udzielała. Jednak również i pani postanowiła przekazać całkiem pokaźną sumkę. Po przeliczeniu funta na dzisiejszy kurs złotówki wyjdzie nam... — zamilkł na chwilę, poklikał w przyciski na kalkulatorze i dokończył: — ...nieco ponad pięćdziesiąt tysięcy złotych.

— Ale jak to? Dlaczego akurat mnie?

— W testamencie napisała, że była pani jej ostatnią żyjącą krewną — przeczytał mecenas.

— Zaraz. Chwileczkę. — Henryce coś zaczęło świtać. Jak przez mgłę przypomniała sobie, że wiele lat temu mama opowiadała jej o dalekiej ciotce, która wyszła za mąż za Anglika, lorda czy może barona. Zamajaczyło jej, że to była jakaś piękna historia, ale szczegółów nie pamiętała. Po wojnie słuch o ciotce zaginął. — Jestem w szoku, zupełnie się tego nie spodziewałam — przyznała. Nagle złapała się za głowę. — O matko, ile to pieniędzy! A co ja niby miałabym z nimi zrobić?

— Na pewno coś pani wymyśli — zaśmiał się mecenas. — Proszę podać numer konta, na który mamy przelać kwotę, i podpisać w dwóch miejscach. — Podsunął jej papier i długopis.

— Najpierw chciałabym przeczytać — zdecydowała.

— Ależ oczywiście! Koniecznie! — Przekazał jej dokumenty, a sam rozsiadł się wygodnie i zjadał ciastkami maczanyymi w kawie.

Henryka niewiele zrozumiała z prawniczego żargonu, którym zapisane były kartki w liczbie trzech. Dla spokoju sumienia przeczytała je jednak dokładnie, podpisała, gdzie należało, podała numer konta, po czym zapytała:

— I to już?

— Już — odpowiedział adwokat, otrzepując okruszki z marynarki. — Jutro, najdalej pojutrze proszę się spodziewać przelewu. Odprowadzę panią do wyjścia.

Mężczyzna pomógł Henryce założyć płaszcz, podał kapelusz, a na do widzenia dyskretnie wcisnął w rękę paczkę herbatniczków. Silnie ucisnął jej dłoń i szeroko otworzył drzwi. Starsza pani, zaskoczona nagłym bogactwem, które na nią spadło, nie zauważyła, kiedy pokonała pięć pięter schodów. Pogrążona w myślach wyszła na ulicę i zamarła w bezruchu. Zachodziła w głowę, co zrobić z taką gotówką, skoro miała wszystko, czego potrzebowała.

Henia była z natury optymistyczna i pogodna. Lubiła swoje życie, uważała się za osobę szczęśliwą i spełnioną. Zanim zmienił się rząd, zdążyła przejść na wcześniejszą emeryturę. Praca sama w sobie oraz kontakty ze współpracownikami sprawiały jej przyjemność, ale Orłowska uznała, że szkoda nie skorzystać z możliwości odpoczynku opłacanego przez ZUS. Świadczenie, które otrzymała od

państwa, po wielu latach harówki w fabryce nie było oszałamiająco wysokie, ale w zupełności wystarczało. Nie miała wielu wydatków. Po rodzicach, jako jedynaczka, odziedziczyła całe piętro w kamienicy, dlatego odpadała konieczność comiesięcznego płacenia haraczu pod postacią czynszu. Nie traciła również pieniędzy na leki ani doktorów, ponieważ poza sezonowym przeziębieniem bądź bólem łokcia (który bezbłędnie zwiastował zbliżający się deszcz) na nic nie chorowała, odkąd sięgała pamięcią. Od śmierci pierwszego i jedyne go męża, którego poznała w jesieni swojego życia, kobieta dzieliła mieszkanie jedynie z krótkowłosą świnką morską — Biszkoptem — słynącą z przyjemnego w dotyku futerka oraz wilczego apetytu. Zwierzątko pochłaniało każdą ilość karmy, warzyw, sianka i owoców podsuwanych hojnie przez panią, nie wpływało to jednak znacząco na stan budżetu domowego. Orłowska dzieci nie miała. Rozrywki, które zajmowały Henrykę, były ze swej natury bezpłatne albo niskopłatne. Zaliczały się do nich długie spacery, nordic walking, wieczorki poetyckie, wolontariat w miejskim ogrodzie botanicznym w sekcji dbania o stawy i oczka wodne, zajęcia i kursy dla seniorów oraz temu podobne. Książki zwykła wypożyczać z biblioteki, a niesprzedane w miesiącu wydania krzyżówki kupowane za bezcen w kiosku starczały na długo.

W obliczu braku ewidentnych potrzeb finansowych oraz bliskich krewnych (ona i mąż byli jedynakami) Orłowskiej przyszło na myśl, że może w takim razie należy przekazać pokaźną sumę osobom biednym, chorym dzieciom bądź schronisku dla zwierząt. Tylko komu są one najpotrzebniejsze? Z zamyślenia wyrwał ją przystojny młodzieniec, a może trafniej należałoby powiedzieć: nagły i silny ból prawego ramienia, którego przysporzył jej wspomniany chłopak.

— Najmocniej przepraszam! Nic się pani nie stało? — zaniepokoił się brunet. — Nie wiedziałem, że ktoś stoi za drzwiami. Tak mi przykro.

— Nic się nie stało, mój chłopcze — powiedziała, rozcierając uderzone miejsce. — Stałam pod drzwiami, więc niby jakim cudem miałeś mnie zauważyć?

— Ale się wystraszyłem, że coś pani zламаłem. Na pewno nic się pani nie stało? — upewnił się jeszcze, zanim odszedł.

— Na pewno. Dobrego dnia. — Uśmiechnęła się do niego na pożegnanie.

Popatrzyła na szklane drzwi, którymi przed chwilą otrzymała cios. Ktoś pracowicie poobklejał je ofertami wycieczek. Bez dłuższego wahania nacisnęła klamkę i weszła do środka.

Kiedy po półgodzinie wychodziła z biura podróży Niezapomniane Doznania, jej problem w postaci spadku pomniejszył się o jedną dziesiątą. Pracownica, nauczona doświadczeniem w wynajdywaniu atrakcyjnych wczasów dla seniorów, początkowo chciała uszczęśliwić starszą panią tygodniowym pobytem w Ciechocinku. Obiecywała czarujące spacery deptakiem wprost do fontanny Jasia i Małgosi, desery lodowe w kawiarence o zachodzie słońca, zdrowotne właściwości tężni oraz błotne kąpiele w pobliskim sanatorium. Orłowska znała Ciechocinek niczym własną kieszeń. Teraz marzyły jej się nie regionalne, ale dalekie podróże, szczególnie że zimny i wietrzny listopad zbliżał się wielkimi krokami. Nigdy jeszcze nie miała okazji przekroczyć granicy państwa, teraz nadarzała się taka sposobność. Ku zaskoczeniu emerytki na jej prośbę o zaprezentowanie ofert do egzotycznych krajów pracownica skrzywiła się. Okazało się bowiem, że biuro trudni się dostarczaniem niezapomnianych doznań jedynie na terenie Rzeczypospolitej Polskiej. Henia uznała jednak, że skoro już weszła do środka i wygodnie się rozsiadła, a ta miła panienska z tak wielkim zaangażowaniem prezentowała coraz to nowe wycieczki, przynajmniej z grzeczności wysłucha jej do końca.

Od mrowia ofert, którymi sprzedawczyni ją zasypała, kobiecie zakręciło się w głowie. Rozejrzała się wokoło, jej wzrok padł na paczkę herbatników, które dostała od sympatycznego mecenasa w kancelarii. Czemu nie — pomyślała i zapytała o pensjonat Yorkshire. Pracownica w odpowiedzi na w zasadzie nikłe zainteresowanie ze strony starszej pani z zaferowaniem zaczęła rozprawać o wspomnianym czterogwiazdkowym pensjonacie urządzonym w angielskim stylu z pełnym wyżywieniem i całą masą atrakcji!

Dziewczyna nie przestawała mówić. Henryka w krótkim czasie wiele dowiedziała się o właścicielce pensjonatu oraz poznała historię samego obiektu. Budynek stał w samym sercu malowniczej Wyżyny Krakowsko-Częstochowskiej. Na początku dwudziestego wieku był wiejskim

dworkiem należącym do arystokratycznej rodziny, która chętnie skupowała okoliczne ziemie, dzięki czemu działka okalająca budowlę sukcesywnie się powiększała. W kolejnych latach wraz ze zmianami politycznymi posiadłość przechodziła z rąk do rąk. Dopiero po wojnie została odzyskana przez prawowitych spadkobierców, w których żyłach płynęła błękitna krew. Z czasem zamienili oni podupadły dworek w lubiany przez przyjezdnych pensjonat Skalka. W jego wystroju królowały swojskie kraciate ceraty na stołach w stołówce, tapczany przykryte wełnianymi, gryzącymi kocami i szafki z niedomykającymi się drzwiczkami. Ośrodek prowadziło sympatyczne małżeństwo, które przekazało interes dobrze zapowiadającej się i odnoszącej pierwsze sukcesy sportsmence Zofii Bobrownik. Świeżo upieczona bizneswoman pożegnała się ze swoją kulą, którą pchała daleko niczym zawodowiec, i z dużą dozą optymizmu zabrała się za remont. Przy użyciu pokaźnej sumy pieniędzy zamieniła Skalkę w dochodowe i pełne magii Yorkshire. Obecnie była w trakcie dobudowywania basenu i tworzenia strefy spa.

Orłowska słuchała słowotoku z zainteresowaniem. Najwidoczniej działania sprzedawczyni były skuteczne, ponieważ Henryka poczuła się poważnie zachęcona. Dawno nie odwiedzała południowej Polski, no i te atrakcje zapewniane na miejscu... Pomyślała, że skoro już nastawiła się na wyjazd, dlaczego by nie skorzystać z nadarzającej się okazji odpoczynku? Poza tym wypadało poznać chociaż w takim minimalnym stopniu kraj, w którym zakończyła swój żywot ciotka, w końcu to dzięki otrzymanemu od niej spadkowi emerytka mogła pozwolić sobie na drogie wojaże. Gdzieś dalej przecież zawsze może wyjechać w późniejszym okresie. Decyzja została podjęta ostatecznie i nieodwołalnie, data wyjazdu przypadła za tydzień.

ROZDZIAŁ 3

Zgodnie z planem niedługo po Wszystkich Świętych podekscytowana Orłowska miała wyruszyć w podróż. W przedpokoju od dwóch dni stała zapakowana walizka, wypchana po brzegi ubraniami dostosowanymi do warunków pogodowych Polski.

W dzień wyjazdu tuż po śniadaniu Henryka zaniosała zapasowe klucze do mieszkania sąsiadce, a jednocześnie dalekiej kuzynce, która zajmowała drugie piętro kamienicy. Udzieliła jej również wyczerpującej instrukcji, w jaki sposób należy się opiekować świną morską. Dopakowała do torebki mapę dróg krajowych, nad którą śleczyła poprzedniego wieczoru do późnych godzin nocnych, i okulary do czytania. Dołożyła do walówki na podróż produkty szybko psujące się z lodówki i wetknęła na głowę wełniany kapelusik. Już w butach wróciła się z przedpokoju, żeby na odchodne czule pogłaskać po łebku Bibusia. Uroczyście przysięgła mu, że w ramach zadośćuczynienia za dwa długie tygodnie rozłąki po powrocie czeka go słuszna wyżerka, po czym zeszła na podwórko. Z niemałym trudem pokonała zardzewiałą kłódkę zawieszoną na drzwiach garażowych nieotwieranych od dawien dawna i przyjrzała się zaparkowanemu wewnątrz samochodowi. Chociaż od lat był nieużywany, z nieśmiało przebijającymi się tu i ówdzie śladami rdzy, zdawał jej się wprost idealnym środkiem transportu, który miał ją dowieźć do miejsca przeznaczenia.

Uczynny sąsiad pomógł Henryce znieść bagaże. Na widok starego opla bez wahania zaproponował, że na swój koszt przetransportuje dobroduszną cioteczkę pod sam pensjonat. Ponieważ Orłowska nie podzielała obaw siostrzeńca ani co do stanu technicznego auta, ani tym bardziej swoich umiejętności kierowania maszyną, pomimo wielokrotnych nalegań nie dała mu się namówić. Mężczyzna na przemian patrzył z niepokojem to na kobietę, to na samochód, jednak ostatecznie dał za wygraną. Delikatnie, żeby czasem nie zarwać podłogi, umieścił walizkę i torby w wiekowym bagażniku równie wiekowego pojazdu i z założonymi na piersi rękoma obserwował przebieg wypadków.

Wóz odpalił już za piątym razem i z przyjemnym pomrukiem silnika wytoczył się na drogę. Pani Henia mocno dociskała pedał gazu, rozwijając dzięki temu zawrotną prędkość osiemdziesięciu kilometrów na godzinę.

Z nastaniem zmroku auto przetoczyło się przez bramę wjazdową prowadzącą do pensjonatu Yorkshire. Kobieta powoli przejechała ostatnie kilkaset metrów dzielących ją od budynku. Z wyrazem zachwytu w oczach podziwiała zapierający dech w piersiach widok ogrodu podświetlonego latarniami ustawionymi co dwa metry dla podkreślenia magiczności miejsca. Cały teren był pokryty cienką warstwą puszystego śniegu.

Samochód zaparkowała naprzeciwko wejścia, założyła na ramię torebkę i udała się do środka. Na jej widok wyłonił się zza kontuaru przystojny recepcjonista, którego brązowe włosy były lekko przyprószone siwizną. Zapiął guzik idealnie wyprasowanej marynarki i przywitał gościa:

— Witamy w progach Yorkshire. Czym mogę pani służyć? — zapytał. Ogólne wrażenie, jakie sprawiał, sugerowało, że służyć powinna raczej ona jemu, a nie odwrotnie. Wydawało się, że mężczyzna przynależy do grona osób z wyższych sfer, a obecne stanowisko piastuje przez zupełną pomyłkę.

— Dobry wieczór. Henryka Orłowska. Dziś rozpoczyna się mój pobyt — powiedziała, uśmiechając się serdecznie.

— Ależ oczywiście, pani Henryko, czekaliśmy na panią. Poproszę o dowód osobisty. Mam nadzieję, że podróż minęła bez problemów — kontynuował uprzejmą pogawędkę, głośno klikając w klawiaturę.

— Bez najmniejszych, dziękuję za troskę — odpowiedziała, podając dokument.

— Jeszcze tylko proszę podpisać w jednym miejscu i wszystko gotowe. Pokój jest na drugim piętrze, a to karta do niego. — Wręczył jej małą, czarną, tekturową kopertę, na której w prawym górnym rogu nadrukowano numer dwadzieścia pięć. — Przypisałem pani miejsce parkingowe numer pięć, zaraz przy wejściu do budynku, żeby nie musiała pani daleko chodzić. Proszę pozwolić, że pomogę w wypakowaniu bagaży. — Po tych słowach narzucił na ramiona płaszcz, który wisiał na haczyku za jego plecami, i postąpił w kierunku drzwi.

Henryka potruchtała na zewnątrz.

— Gdzie zostawiła pani samochód? — zapytał.

— Tutaj. — Orłowska wskazała na opla.

— O, jaki... wyjątkowy — stwierdził po chwili wymownego milczenia mężczyzna.

— Prawie pełnoletni, a jak służy! Te nowe już tak nie chodzą jak mój starszek. — Czule poklepała auto po masce.

Recepcjonista powstrzymał się od komentarza na temat stanu technicznego i wyglądu wozu, a zamiast tego zabrał się za rozładunek. Z głośnym stęknieniem wyjął z bagażnika walizę monsturalnych rozmiarów oraz dwie torby i wepchnął je na wózek hotelowy.

— Jak pan mówił? Miejsce parkingowe numer pięć? — upewniła się.

Mężczyzna w teatralnym geście rozłożył ręce.

— Gdzie ja mam głowę, szanowna pani, popełniłem omyłkę. Przecież miejsce numer pięć zostało uprzednio zajęte. Najmocniej proszę o wybaczenie.

— Nic nie szkodzi. W takim razie gdzie mam zaparkować?

— Niech pomyślę. — Zadumał się na chwilę. — Wiem, proszę zająć miejsce numer trzydzieści trzy. Doskonała lokalizacja i ten olśniewający widok na fontannę, aż sam zazdroszczę! Szczerze polecam. Będzie pani zadowolona.

Henryka rozejrzała się po prawie pustym parkingu pełnym tabliczek z numerkami, nigdzie jednak nie dostrzegła trzydziestki trójki.

— A konkretnie gdzie to jest?

— Kawalątek za budynkiem. Proszę za budowę skręcić w lewo, potem jeszcze chwilę jechać prosto i to będzie właśnie tam. Ja w tym czasie zaniosę bagaże do pani pokoju.

— Dobrze, dziękuję bardzo.

— Polecam się na przyszłość. — Ukłonił się przesadnie nisko.

Orłowska wsiadła do wozu, minęła świecące pustką miejsca parkingowe, w tym również to z cyfrą pięć, i pojechała we wskazanym kierunku, uważnie wypatrując tabliczki oznaczonej trzydzieści trzy. Nie bez trudu znalazła ją obok drzwi podpisanych „wejście dla personelu”. Z zainteresowaniem rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu rzeczonyj fontanny, której nijak jednak nie była w stanie wypatrzeć w egipskich ciemnościach panujących na tyłach posesji.

Zmęczona podróżą pani Henia nie zamierzała niepotrzebnie nadkładać drogi, brodząc w śniegu tylko po to, żeby dotrzeć do głównego wejścia. Jakiś czas temu zauważyła, że ludzie niejednokrotnie przymykali oko na pomyłki popełniane przez starsze panie, co postanowiła tym razem wykorzystać.

Drzwi prowadzące do pomieszczeń służbowych zamknięto jedynie na klamkę. Kobieta dokładnie otrzepała na wycieracze buty i odważnie ruszyła przed siebie. Korytarz spowijał półmrok, zatem przez nikogo niezauważona ominęła spiżarnię, składzik alkoholi oraz kuchnię i jakieś biuro. Właśnie przeszła przez drzwi, które prowadziły obok restauracji, kiedy w oddali zauważyła stojącą parę. Do uszu Orłowskiej dotarła część wypowiedzianej przez mężczyznę groźby:

— Lepiej trzymaj język za zębami, bo pożałujesz. Zanim znowu zaczniesz klepać jęzorem, dwa razy dobrze się zastanów, bo jeśli nie, to mnie popamiętasz — wysyczał, wykręcając rozmówczyni rękę.

— Puszczaj, to boli — warknęła zaatakowana dziewczyna w stroju sprzątaczkii rodem z filmów kręconych na podstawie powieści Agathy Christie.

— A co tu się wyprawia?! — ostrzegawczo krzyknęła nieustraszona pani Henia, która dostrzegła szansę wypróbowania w praktyce umiejętności pozyskanych na wojewódzkim kursie samoobrony dla przedstawicielek płci pięknej z grupy wiekowej sześćdziesiąt dwa plus. Zanim zdążyła zrobić cokolwiek więcej, para rozpierzchła się, każde w innym kierunku.

Starsza pani przystanęła, próbując zrozumieć znaczenie podpatrzonej sceny, jednak już po chwili wyruszyła dalej w poszukiwaniu swojego pokoju.

Po drodze podziwiała wystrój i umeblowanie pensjonatu, które ktoś z wielką precyzją zaprojektował w stylu angielskim z pierwszej połowy dwudziestego wieku. Tapety na ścianach, puszyste wykładziny, drewniane schody oraz wykończenia, dyskretne oświetlenie, wygodne fotele i kanapy z wysokimi oparciami, obrazy na ścianach — dosłownie wszystko zachwycało jakością wykonania

i elegancją. Czuć było, że ten budynek ma duszę.

Dostanie się do pokoju sprawiło Henryce niemały problem. Plastikowy prostokąt, który otrzymała w recepcji, żadną miarą nie pasował do dziurki od klucza. Przesuwanie nim w szparach między drzwiami a framugą nie dało żadnego rezultatu. Po dłuższym czasie kombinowania zirytowana już nieco Orłowska przytknęła kartę do klamki, a wtedy niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki coś przytknęło, kliknęło i zamek się odblokował.

Wysilek, którego wymagało dostanie się do środka, opłacił się. Przygotowany pokój wprawił emerytkę w stan absolutnego zachwytu. Był on przestronny, z ciekawie zaaranżowaną przestrzenią, z urzekającą tapetą w małe różyczki oraz żyrandolem z kryształkami. Chwilę trwało, zanim oczarowana kobieta nasyciła oczy głównym pomieszczeniem i postanowiła zlustrować łazienkę — a w niej z chwilą włączenia światła wpadła w ekstazę. Wypolerowane na wysoki połysk kafelki w waniliowym kolorze, wielkie lustro w złoczonej zdobionej ramie, fikuśny sedes ze starodawną spluczką z gałką na sznurku i na koniec wanna... gigantyczna, ustawiona na samym środku pomieszczenia, na nóżkach w kształcie lwich łap.

W czasie rekonesansu niespodziewanie do uszu Henryki doszło ciche, choć łapiące za serce miauczenie. Orłowska przystanęła i zaczęła nasłuchiwać, skąd dochodził koci jęk. Jak przystało na osobę o wyśmienitym słuchu, szybko i bezbłędnie ustaliła, że zwierzątko musi się znajdować na zewnątrz. Otworzyła okno, zerknęła w prawo, potem w lewo i jej oczom ukazał się wynędzniały kotek, który skulony siedział na parapecie prawie na wyciągnięcie ręki.

— Chodź, burasku, musi ci być zimno — powiedziała czule.

Powoli wystawiła dłoń, chwyciła chudzińkę i wciągnęła do środka, a następnie szczelnie zamknęła okno. Przestraszony dachowiec drżał na całym ciele. Henryka delikatnie ułożyła go na kołdrze i otuliła ręcznikiem.

Niespodziewanego gościa bezwzględnie należało nakarmić, dlatego pani Henia ochoczo przejrzała prowiant, który wzięła z domu na drogę. Jajka na twardo, wafelki w czekoladzie, pomidory pokrojone w plastry, śledzik w sosie śmietanowym, kostka żółtego sera, trzy bułki pszenne ani ćwierć wstępnie roztopionej kostki masła nie nadawały się dla zwierzaka. Co innego zawinięte w papier śniadaniowy, umieszczone na dnie torby pięć plasterków wędzonej szynki i kotlet schabowy w panierce. Zapach smakołyków sprawił, że malec skoczył do nóg wybawicielki i głośno mruczając, łąsił się o jej łydki. Henryka pokroiła na drobne kawałki część mięsa i położyła je na talerzyku, a ten postawiła na podłodze w łazience, tuż pod pyszczkiem już nachalnie pchającego się zwierza. Kotek łapczywie zajął posiłek. Starsza pani dostawiła mu kubek z wodą, a sobie nałapała pełną szklankę soku z buraczków. Pijąc, obserwowała pociesznego futrzaka. Mały wylizał talerzyk, umył łapki i przeniósł się na łóżko, gdzie zwinięty w kulkę zaraz smacznie zasnął. Nerozwiązana pozostała kwestia kuwety, ale tym kobieta postanowiła zająć się później.

W poczuciu dobrze spełnionego obowiązku zabrała się do rozpakowywania bagaży. Z namaszczeniem przekładała rzeczy do szafy, szafek i biurka, co chwilę wzdychając w zachwycie, a to na piękno mebli, a to na niebywałą puszystość wykładziny, w której zatapiała się jej stopa odziana jedynie w podkolanówki z elastilu. Kiedy skończyła, zrobiło się na tyle późno, że należało zacząć się szykować do kolacji.

Elegancki wystrój wewnątrz sugerował, że nie przystoi stawić się na posiłek w byle jakiej kreacji, dlatego po uważnym przejrzaniu garderoby Orłowska wybrała kostium w rdzawym kolorze, a do tego białą bluzkę z zabotem. Przyglądała loczki o mocnym skręcie, efekt świeżo zrobionej trwałej, i obficie spryskała je lakierem do włosów. Zostało jeszcze poprawić urodę przy użyciu kosmetyków, które specjalnie na wyjazd pomogła jej wybrać młoda sprzedawczyni w pobliskiej drogerii. Uczynna ekspedientka tak długo smarowała twarz Orłowskiej przeróżnymi mazidłami, aż w końcu znalazła te, które w jej opinii nie tylko ujmowały starszej pani dziesięć lat, ale również idealnie podkreślały atuty jej urody oraz maskowały niedostatki. Nie do końca przekonana, ale wdzięczna emerytka postanowiła zaszaleć i dała się namówić na ów niemały wydatek. Teraz, kiedy po raz pierwszy sama użyła całego zestawu, stanęła przed lustrem i popatrzyła na efekt działań. Uczciwie musiała przyznać, że była daleka

od zachwytu. Makijaż nie tylko nie ujął jej lat, ale wręcz przeciwnie — maska, która powstała po nałożeniu podkładu, korektora, pudru i różu, uwidoczniła zmarszczki. Henryka bez żalu zmyła wszystkie warstwy i ponownie umalowała się, jednak tym razem użyła jedynie starej i sprawdzonej trójcy: cienia, pomadki i różu. Uśmiechnęła się do swojego odbicia i nagle coś jeszcze przyszło jej do głowy: koraliki! Pomyślała, że właśnie tego brakowało jej do kompletnego stroju. Ledwie podeszła do nocnego stolika, gdzie umieściła pudełko z biżuterią, a za jej plecami rozległo się przeciągłe miauknięcie. Bezzwłocznie odwróciła głowę. Dzięki temu stety, a może niestety zobaczyła całość apokaliptycznej sceny zniszczeń, jakich ułamek sekundy później dokonał nie biedny burasek, ale okropne kocisko, którym przez tę krótką chwilę jawił się zwierz w oczach poczciwej Henryki.

Kotek, dotychczas zupełnie zapomniany, wylegiwał się na pościeli, lecz nagle przebudził się w odpowiedzi na dotkliwe ssanie w żołądku. Najwidoczniej przypomniało mu się, że od godziny niczego nie miał w pyszczku. Zerknął łakomym wzrokiem na stolik przykryty kuchenną ścierką, skąd kusiło go jedzenie. Dłużej nie zwlekał. Niestety, do cech akurat tego futrzaka nie należało to, co określa się mianem kocich ruchów. Wykonany przez niego skok ku stolikowi należało zaliczyć do mało zgrabnych. Pootwierane pojemniki z żywnością w jednej chwili poprzewracały się, a na stolik wysypała ich zawartość, tworząc mało apetyczną mieszankę smaków, zapachów i kolorów.

— Nie! — krzyknęła Orłowska, niczym błyskawica wstała z kucek i rzuciła się w stronę przyczyny tragedii. — Niedobry kot! — dodała.

Malec, któremu z pyska zwiślał plasterek wędliny, trafnie odczytał intencje gospodyni. Żeby ratować skórę, wykonał ostatni heroiczny skok: odepchnął się łapkami od stolika i jednym susem wystrzelił w okolice masywnej szafy. Przyklejony brzuchem do podłogi wczołgał się pod mebel, gdzie planował w spokoju skonsumować upolowany podwieczorek.

Desperacka ucieczka winowajcy powiększyła zakres spowodowanych strat. Ze stoliczka zsunęła się ścierka, a część rzeczy spadła na podłogę. Wtedy stało się to, czego kobieta obawiała się najbardziej: niedokręcony karton z sokiem z buraków przewrócił się, a jego zawartość wylała na stolik, skąd zaczęła skapywać na jasnoszarą wykładzinę. Trzeba było działać. Henryka chwyciła ścierkę za rogi, przytuliła ją wraz z zawartością do klatki piersiowej i pobiegnęła do łazienki. Całość z żalem wrzuciła do wanny, choć bardzo bolało ją takie marnotrawstwo żywności. Złapała z brzegu umywalki stos śnieżnobiałych ręczników i szybko wróciła na pole walki. Większość zniszczeń udało jej się naprawić bez szwanku dla wyposażenia pokoju, niestety nie odnosiło się to do wykładziny, na której została pokaźnych rozmiarów ciemnoczerwona plama.

— Ojejku...

Henryce zrobiło się gorąco.

Jako doświadczona pani domu wiedziała, że szansa na usunięcie plamy znacząco zmniejszała się z każdą chwilą, kiedy ciecz wysychała. Złapała więc za słuchawkę i wykręciła numer do recepcji.

— To pilne — wysapała z przejęciem — dzwonię z pokoju numer dwadzieścia pięć. Wylał mi się na podłogę sok z czerwonych buraczków, bardzo proszę, żeby ktoś szybko przyniósł detergenty.

— Oczywiście, zgodnie z pani życzeniem, natychmiast wysyłam Różę.

Zdenerwowana kobieta przysiadła na brzegu łóżka, skąd nasłuchiwała kroków z korytarza. Na dźwięk windy poderwała się i pobiegnęła otworzyć drzwi. W jej kierunku szła młoda blondynka w czarnym uniformie, przepasana białym fartuszkim z małą kieszonką naszytą na środku. Jej włosy były krótko przystrzyżone. Henia skojarzyła, że wcześniej widziała tę dziewczynę na dole w korytarzu przynależącym do części budynku przeznaczonej dla obsługi.

— To pani dzwoniła? — zapytała pokojówka.

— Tak, proszę za mną, nie ma chwili do stracenia — ponagliła Henia.

Róża weszła do pokoju, zlustrowała go, w mgnieniu oka bezbłędnie rozpoznała przyczynę wezwania i od razu zabrała się do pracy. Z przyniesionego wiklinowego koszyka wyjęła spryskiwacz, szczotkę oraz gąbkę i w krótkim czasie, na ile to było możliwe, sprząła sok. Mokłą powierzchnię osuszyła szmatką, spakowała rzeczy i wstała z kolan.

— Zrobiłam, co się dało — powiedziała bezbarwnym głosem znudzonej pracownicy pensjonatu,

która nie ma najlepszego zdania o gościach.

— Dobre i to, moje dziecko. Dziękuję ci bardzo za pomoc. — Pomimo że efekt działań był mizerny, Henryka była wdzięczna za dobre chęci. Nagle dostrzegła trzy niewielkie plamki na fartuszku dziewczyny. — Ojej, moja kochana, trochę musiało ci prysnąć na strój. Szkoda takiego pięknego fartuszka. Najlepiej namocz go na noc w zimnej wodzie, rano nałóż trochę detergentu i dopiero wtedy włóż do pralki.

Sprzątaczką spojrzała na uniform z niezadowoleniem.

— Nie wiem, czy to się dopierze, mocno w to wątpię. Pewnie będę go musiała wyrzucić — powiedziała zagniewanym głosem.

— Nie martw się, moje dziecko. Jeśli będzie trzeba, to pokryję koszt — uspokajała Orłowska.

— Nikt pani nie upomniał, że nie wolno wnosić do pokoju napojów ani jedzenia? Niestety jestem zmuszona poinformować szefową o złamaniu regulaminu.

— Przepraszam, nic o tym nie wiedziałam. Pierwszy raz jestem w takim ekskluzywnym ośrodku — próbowała się bronić Henia. — To był wypadek. — W tym momencie kot wyjrzał spod szafy i cicho miauknął, zupełnie jakby chciał potwierdzić słowa starszej pani.

— A co to? Kot? — Róża przypatrywała się nieodgadnionym wzrokiem dachowcowi. — Rozumiem, że wniosła pani w recepcji dodatkową opłatę za pobyt zwierzęcia?

— To nie jest mój kot, znalazłam go na parapecie, to znaczy... — zaczęła się usprawiedliwiać kobieta.

— Oczywiście, nie pani kotek. Jaaaasne. Znalazła go pani, mhy. — Dziewczyna miała już wcześniej do czynienia z nieuczciwymi gośćmi, więc i w tym przypadku doświadczenie podpowiadało jej, żeby nie dawać wiary słowom emerytki. — Zresztą, ja nie wnioskuję. Kot w pokoju jest, zapłacić trzeba.

— Obiecuję, że tak zrobię. — Pani Henia nie zamierzała się sprzeczać.

— Uczciwie uprzedzam, że jeśli kot nabrudzi, wtedy obciążymy panią kosztami za pokrycie strat.

— Rozumiem. Skoro jesteśmy przy stratach, moje dziecko, mam pewną prośbę. Potrzebne mi pudełko i trochę piasku na kuwetę, czy mogłabyś mi pomóc?

— Dobrze, zajmę się tym — cicho westchnęła Róża. — Rachunek za rzeczy zaniosę do recepcji, kiedy pójde powiedzieć, że nie zgłosiła pani zwierzęcia w pokoju.

— Dziękuję. — Orłowska uśmiechnęła się, niezrażona mało uprzejmym tonem blondynki.

Róża nadal tkwiła na środku pokoju i nie wyglądało na to, że zamierza wyjść, zamiast tego zmierzyła starszą panią wzrokiem. Po walce ze zmarnowanym prowiantem emerytka nie prezentowała się najschludniej, miała wygniecione ubranie, na bluzce gdzieniegdzie czerwieniły się plamy po soku, jedynie fryzura pozostała bez zarzutu.

— W sumie nie moja sprawa, ale jeśli mogłabym coś powiedzieć... — Spojrzała pytająco na Orłowską.

— Proszę bardzo — zachęciła sprzątaczkę.

— Pani się nie obraża, ale w pani wieku chyba lepiej byłoby sobie odłożyć trochę grosza na czarną godzinę, niż wozić się po eleganckich pensjonatach. To jest luksus dla bogaczy — mądrzyła się Róża, lustrując wzrokiem wysłużoną garsonkę i buty z ryneczku, które miała na sobie Henryka.

— No tak — zaśmiała się w odpowiedzi emerytka — normalnie nie mogłabym sobie na to pozwolić, ale tak się szczęśliwie złożyło, że dwa tygodnie temu odziedziczyłam sporą sumę po ciotce.

Pokojówka spojrzała na nią z niesmakiem, zupełnie tak jakby Henryka przyznała się, że własnymi rękoma zabiła J.J. Camaicestomon dla spadku.

— A my, młodzi, musimy urabiać się po łokcie — mruknęła pod nosem na odchodne, wzięła swój koszyk i wyszła, trzaskając drzwiami.

Pani Henia popatrzyła za nią. Stała przez chwilę zamyślona, ostatecznie jednak uznała, że nie warto zawracać sobie głowy zuchwałym zachowaniem dziewczyny. Wyglądziła ubranie, zmieniła bluzkę i potruchała na kolację.

ROZDZIAŁ 4

Orłowska straciła dużo czasu przez szykowanie się oraz zamieszanie z kotem. W konsekwencji, kiedy dotarła na kolację, z przewidzianych przez władze pensjonatu na ten posiłek dwóch godzin zostało jej zaledwie trzydzieści minut. Lekko zdyszana weszła do restauracji i oniemiała na widok obfitości zaserwowanych dań. Tuż przy wejściu stał kelner oparty o wysoki stolik oświetlony niewielką lampką. Zerknął na umieszczoną na blacie kartkę i zapytał:

— Jeśli się nie mylę, szanowna pani to zapewne nasz nowy gość, Henryka Orłowska?

— Zgadza się — odpowiedziała, przypatrując się przystojnemu mężczyźnie z długimi, wypielęgnowanymi włosami związanymi w koński ogon. Po głosie bezbłędnie rozpoznała w nim jegomościa, którego widziała niedługo po przyjeździe do Yorkshire w mało przyjemnych okolicznościach; to on wykręcał rękę swojej współpracownicy.

— Zapraszam — powiedział, ruszając w kierunku okna.

Henia posłusznie podążyła za kelnerem, który posadził ją przy ślicznie nakrytym dwuosobowym stoliku w najdalszym końcu sali.

— Mam nadzieję, że będzie pani tutaj wygodnie. Daleko od innych gości, dużo prywatności i niech sama pani zobaczy, jak blisko do serwowanych przez nas potraw! — nie ustawał w zachwalaniu lokalizacji. — W razie jakichkolwiek problemów proszę mnie od razu wezwać. Dzisiaj szczególnie polecam *faggot* oraz *Sunday roast*. Na deser radzę wziąć *crumble*, nie będzie pani żałowała. Zapewniam, że wszystko jest świeże i pyszne. Życzę smacznego.

— Dziękuję — słabo przemówiła emerytka, słysząc wymienione przez mężczyznę nazwy dań, które zupełnie jej nie mówiły. Znajomość języków obcych oraz fikuśnych potraw pochodzących z różnych części świata nie były jej mocnymi stronami. W domu gotowała tradycyjnie, tak jak nauczyła ją mama. W porze obiadu królowały pomidorowa, rosół, mielone, gołąbki czy zrazy z ziemniaczkami w mundurkach z zasmażaną kapustą. Jednak skoro znalazła się w tak wykwinnym miejscu, gdzie można było skosztować czegoś nowego, należało to zrobić, nie wiadomo, kiedy powtórzy się ku temu okazja.

Podeszła do parujących potraw, od których smakowitej woni można było dostać ślinotoku. Wielość wyboru sprawiła, że biedna Orłowska nie mogła się na nic zdecydować. Nie lubiła marnować jedzenia, więc nie chciała nakładać sobie zbyt wiele, ale wszystko wyglądało tak smakowicie... Ostatecznie wróciła do stolika z pełnym talerzem, na którym umieściła po jednej łyżeczce każdej potrawy. Na deser wzięła pucharek z kulką lodów w polewie czekoladowej, tego nigdy nie potrafiła sobie odmówić. Nie pożałowała sobie również herbatniczków szczerze wysypanych do wielkiej misy, do których miłością zaraził ją adwokat świętej pamięci J.J. Camaicestomon.

Spożywanie delikatesów kobieta umiała sobie obserwacją pozostałych gości pensjonatu, co mogła robić do woli, niezauważona, dzięki stolikowi ukrytemu w rogu sali. Najbliżej niej siedział zgarbiony, na oko dobrze ponad sześćdziesięcioletni mężczyzna z bujną siwą czupryną, wąsami oraz brodą niczym Święty Mikołaj. Miał dobrotliwy wyraz twarzy, czerwone policzki, a jego obfity brzuch dawał do zrozumienia, że lubi dobrze zjeść. Starszy pan był ubrany w dzinsowe spodnie, wymiętą koszulkę polo, na którą z zapewne niemałym wysiłkiem naciągnął obcisły sweter w poziome pasy. Na talerzu przed nim piętrzyła się górką oblanych morzem keczupu frytek, które pałaszował z apetytem, zaczytując się w rozłożonej na stoliku gazecie. Zaabsorbowany lekturą nie zauważył, że na obrus i brodę skapnęło mu kilka czerwonych kropli zdradzieckiego keczupu.

Tuż za amatorem fast foodu kolację w milczeniu spożywali kobieta w pięknych, dopasowanych spodniach, jedwabnej bluzce i marynarce oraz mężczyzna w skrojonym na miarę garniturze. Oboje byli w średnim wieku, wysocy, o muskularnej budowie ciała. W odbiorze Heni mogli być małżeństwem, bratem i siostrą, a i równie dobrze dwojgiem obcych sobie ludzi. Swoim ubiorem oraz arystokratycznym sposobem zachowania doskonale wpasowywali się do pięciogwiazdkowego wnętrza restauracji. On ze zmarszczonymi brwiami wpatrywał się w tablet, ona przewracała od niechcenia strony kolorowego magazynu. Co jakiś czas każde z nich bez wyraźnej chęci wbijało widelec w pikoporcję sałatki, którą popijali czerwonym winem z wielkich kielichów na cienkiej nóżce.

Ostatni zajęty stolik, który był usytuowany blisko wyjścia z kuchni, zajmowało małżeństwo. Henryka nie miała najmniejszych wątpliwości w kwestii łączącej ich relacji. Jej hipotezę potwierdzały pasujące do siebie obrączki na palcach serdecznych prawych rąk, za które czule się trzymali. Pograżeni byli w rozmowie i wydawali się poza sobą nie dostrzegać świata. Oboje około pięćdziesięcioletni, raczej niskiego wzrostu. Kobieta miała lśniąco spięte plastikową kłama, była ubrana w nierzucający się w oczy kostium, a jedyne, co się w niej wyróżniało, to olśniewający uśmiech i bijące z niej szczęście. Włosy małżonka były ogniste rude, krótko przystryżone. Ubrany był w eleganckie spodnie w kant i idealnie wyprasowaną kremową koszulę ze spinkami do mankietów w kształcie zębów. Z wyrazem uwielbienia na twarzy raczył ukochaną lodami, za co ona odwdzięczała mu się wielkimi kawałkami ciasta czekoladowego dostarczonymi przy użyciu widelca wprost do jego ust. Oboje zaśmiewali się przy tym do rozpuku, patrząc sobie głęboko w oczy, zupełnie niczym para nastolatków.

Kolacja powoli zaczęła dobiegać końca, czego można się było domyślić po stukającym talerzami i sztucami kelnerze, który w ten mało subtelny sposób informował gości o późnej porze. Orłowska przeżuła ostatni kęs, otarła usta serwetką i odstawiała na bok puste naczynia. Zadowolona oraz słusznie najedzona powoli ruszyła w kierunku swojego pokoju.

Zaabsorbowana fotografowaniem korytarzy, marmurowych schodów i sztukaterii dopiero w ostatniej chwili dostrzegła kłócącą się parę arystokratów, których widziała podczas posiłku. Małżonkowie, bo teraz już nie było wątpliwości w kwestii ich stanu cywilnego, awanturowali się na pierwszym piętrze tuż obok schodów. Emerytka, która nie miała najmniejszej ochoty być świadkiem prania brudów, nie bardzo wiedziała, w jaki sposób wybrnąć z niekomfortowej sytuacji. Oczywiście zawsze mogła zawrócić, zejść z półpiętra, a na górę wjechać windą, ale ociążałość będąca wynikiem nadmiernego spożycia pokarmów skutecznie ją zniechęcała. Jednocześnie bezpardonowe minięcie pary postrzegala w kategoriach nietaktu. W tej sytuacji uznała, że pozostało jej jedynie ukryć się na półpiętrze w nadziei, że scysja nie potrwa długo. Postanowiła, że kiedy kłótnia się zakończy, odczeka chwilę, aż błękitnokrwisci, jak ich w duchu ochrzciła, odejdą i wtedy niedostrzeżona przez nikogo uda się do pokoju.

Treść wykrzykiwanej rozmowy siłą rzeczy docierała do uszu starszej pani, która poczyniła refleksję, że kiedy chodzi o sprzeczkę małżeńską, wielcy państwo niczym nie różnią się od zwykłych ludzi. Dobór słownictwa, natężenie głosu oraz miejsce zajścia dalekie były od elegancji.

— Jak mogłeś?! Ta mała miała rację! Żebyś chociaż się ukrywał, ale widzę, że nawet na to cię nie stać! — oskarżała donośnym głosem dama.

— Lilka, tobie chyba kompletnie odbiło. O czym ty mówisz? — zapytał zaskoczony mężczyzna.

— Nie rób z siebie głupiego, doskonale wiesz, o czym mówię!

— Zwariowałaś, naprawdę zwariowałaś.

— Nie próbuj obracać kota ogonem! Ona mi wszystko powiedziała. Kłamiesz, wymykasz się, gdzieś znikasz, te tajemnicze telefony. Myślałeś, że niczego się nie domyślesz?! Masz mnie za kretynekę? Żeby pokojówka wytykała mi, że mój własny mąż mnie zdradza!

— Kobieto, odbiło ci!

— Milcz! Miej chociaż dość przyzwoitości, żeby się przyznać. Tyle lat... tyle lat poświęciliśmy na tworzenie naszego wizerunku, a teraz wszystko pójdzie jak krew w piach i to dla jakiejś głupiej spódniczki!

— Kto ci nagadał takich bzdur?! Niby ja cię zdradzam? Kiedy i z kim miałbym to robić? Od rana do wieczora oboje zasuujemy, klienci, wernisaże, aukcje, wyceny. Sama chyba wiesz najlepiej. I jaka znowu pokojówka? Zresztą, nie drzyj się tak, bo jeszcze ktoś nas usłyszy.

— Akurat kto jak kto, ale ty nie będziesz mnie pouczał na temat dyskrecji! — teraz już naprawdę się wydarła. — Jaka pokojówka? Ta stąd, taka wścibska z krótkimi włosami. Widziała cię, kiedy się wymykałeś cichaczem z pensjonatu, a potem wracałeś z rozanieloną gębą. Czarek, ty kretynie! Masz to załatwić, bo inaczej nie ręczę za siebie.

— Lilka, powiem ci, jak ja to załatwię...

Szanowny Cezary nie zdążył jednak dokończyć, bo właśnie wtedy skulona koło poręczy

Orłowska usłyszała za plecami kroki. Nie chciała, żeby ktoś ją nakrył podczas obserwacji tego reality show, dlatego szybko wyprostowała się i głośno tupiąc, zaczęła wchodzić na górę. Donośny odgłos, który udało jej się wygenerować, skutecznie zakończył barwną scenę. Zanim kobieta dostała się na pierwsze piętro, Lilka i Czarek zniknęli za drzwiami swojego pokoju.

ROZDZIAŁ 5

Następnego dnia Henrykę obudziło przeraźliwe miauczenie. Na dworze było jeszcze ciemno. Usiadła na łóżku, a jej wzrok spotkał się z obserwującymi ją ślepiami kota. Zwierzak siedział na poduszce tuż obok kobiety i darł się wniebogłosey, wpatrując w nią natarczywie.

— Cicho, bo obudzisz cały pensjonat, narobisz nam kłopotów — zrugła go, jednak na niewiele się to zdało. — Pewnie jesteś głodny, ale co mam ci dać? Wczoraj wieczorem zjadłeś wszystko, co się uratowało z prowiantu. Sam jesteś sobie winien, gdybyś nie był taki łakomy, wtedy coś jeszcze by zostało.

Dłuższe wypominanie mu słabości miało się z celem, nie cofnęłoby to ani czasu, ani wyrządzonych szkód. Orłowska spojrzała na zegarek, była szósta trzydzieści. Od siódmej serwowano śniadanie, zatem z pewnością w kuchni praca wre — pomyślała. Przy akompaniamencie kociego zawodzenia w pośpiechu narzuciła na siebie ubranie i wykonała absolutnie konieczne zabiegi higieniczne. Miała nadzieję, że wyprosi od obsługi trochę mleka dla buraska.

Kiedy wyszła na korytarz, z ostatniego pokoju na przeciwległym końcu korytarza wyjrzała głowa, która bardziej pasowała do zjawy niż do człowieka. Na widok Heni schowała się i drzwi szybko się zatrzasnęły. Ten ułamek sekundy wystarczył jednak, żeby Orłowska zauważyła wielkie okulary przeciwsłoneczne zasłaniające pół twarzy i apaszkę na głowie zawiązaną na supeł pod szyją. Wydedukowała, że ten kamuflaż ukrywał postać (prawdopodobnie ludzką) płci żeńskiej. Starsza pani była pewna, że nie widziała jej wczoraj podczas kolacji.

Trzymając się poręczy, Henryka zeszała po schodach i udała się w kierunku kuchni. Nagle usłyszała przed sobą krzyk.

— Matko Boska!

Przyspieszyła kroku. Kawalek przed nią z lewej strony znajdowało się pomieszczenie z otwartymi na oścież drzwiami. Orłowska zobaczyła w ich świetle stojącą tyłem postać kobiety ściskającej pod pachą płaszcz. Nie sposób było nie domyślić się, że to ona zawodzi:

— O mój Boże, o Jezusie Nazareński...

— Wszystko w porządku? — zapytała Henia, dotykając jej ramienia.

Kobieta podskoczyła w przestachu. Odwróciła się do emerytki i spojrzała na nią przerażonymi oczyma.

— Ona nie żyje... — wydukała w końcu, z trudem wskazując palcem na podłogę.

Orłowska zajrzała do środka. Na dębowym parkiecie koło biurka ustawionego pod oknem leżała na plecach w kałuży krwi Róża. Już na pierwszy rzut oka można było wywnioskować, że kałuża brała swój początek z rany na prawej skroni dziewczyny. Pokojówka miała wytrzeszczone, nieporuszające się gałki oczne i uchylone usta. Całość wyglądała makabrycznie. Starszej pani zrobiło się niedobrze.

— Biedna dziewczyna — powiedziała, nie odrywając wzroku od potwornej sceny. — Moja droga, sprawdzałaś, czy ona żyje?

— Ja? Nie. Ja nie... ale czy to możliwe, żeby żyła? — zapytała zszokowana kobieta, dodając cicho: — Racja, lepiej sprawdzić, może jeszcze da się ją uratować. — To powiedziawszy, zebrała całą odwagę i podeszła do sprzątaczk. Przykucnęła przy niej i bez zbędnych ceregieli ujęła ją za przegub ręki. Przez chwilę trzymała go w dłoni, po czym powiedziała: — Nie czuję pulsu.

Zapadła grobowa cisza. Panie niczym zahipnotyzowane wpatrywały się w trupa, żadna nie wiedziała, co w tej sytuacji powiedzieć. W końcu Orłowska zrobiła krok do przodu i weszła do pomieszczenia, które okazało się biurem. Zdezorientowana rozejrzała się dookoła. Poza denatką w gabinecie znajdowały się jeszcze szafa na dokumenty, biurko, dwa obrazy przedstawiające ruiny zamków oraz regał pełen pucharów. Na każdej półce było ich po sześć ustawionych w równej odległości od siebie; lśniły, zupełnie jakby ktoś je codziennie polerował.

Na podłodze coś zabłyszczało, pani Henia schyliła się więc i podniosła przedmiot. Był to duży, brązowy guzik ze złoceniem w środku. Bezrefleksyjnie wrzuciła go do kieszeni swetra. Kiedy się prostowała, dostrzegła, że kobieta kucająca obok Róży wyjęła z dłoni denatki jakiś błękitny skrawek

papieru. Szybkim ruchem ręki ukryła go w tylnej kieszeni swych dżinsów, wstała i orzekła:

— Trzeba wezwać policję.

— Oraz poinformować o zajściu właścicielkę — dodała drżącym głosem emerytka.

— Przynajmniej to drugie mamy z głowy — stwierdziła rosla dama o szerokich, umięśnionych przedramionach, która na tę krótką chwilę zapomniała o powadze sytuacji, dumnie wypięła pierś i pochwaliła się: — Yorkshire należy do mnie, Zosia Bobrownik. — Wyciągnęła przed siebie wielką dłoń.

— Henryka Orłowska. — Panie uściśniły sobie ręce.

Zofia podniosła słuchawkę telefonu stojącego na biurku i zadzwoniła pod dziewięć dziewięć siedem. Oczekując na połączenie, odruchowo przerzuciła przez oparcie krzesła dzierzony w dłoni płaszcz. Zwięźle opisała dyżurującemu funkcjonariuszowi sytuację i rozłączyła się.

— Moja droga, poczekam z tobą na przyjazd władz, zawsze to raźniej we dwie — zaofiarowała się Henryka, starając się unikać widoku martwej dziewczyny.

— Dziękuję. Taki straszny wypadek... — Zosia Bobrownik posmutniała.

Emerytka popatrzyła na nią podejrzliwie. Widok leżącej na plecach martwej Róży, której wyraz twarzy mroził krew w żyłach, nie kojarzył jej się z wypadkiem. Naturalnie rodząca się w tej sytuacji myśl podpowiadała, że mają do czynienia z morderstwem.

— Dziecko kochane, ty myślisz, że to był wypadek? — zapytała bardziej doświadczona życiowo kobieta.

— A cóż by innego? — zdziwiła się właścicielka pensjonatu.

Orłowska nie odpowiedziała, zamiast tego zagadnęła:

— Wszystkie ustawione na półkach nagrody należą do ciebie?

— Tak, to jeszcze z czasów, gdy miotalam kulą.

— A co tu się stało? — Z uprzejmej rozmowy, na którą siliły się zszokowane panie w oczekiwaniu na służby mundurowe, wyrwał je męski głos.

— Panie doktorze, zdarzył się straszny wypadek. — Bobrownik doskoczyła do tęgiego rudzielca, którego Henryka widziała wczoraj, jak raczyli się z żoną nawzajem łakociami podczas kolacji. Teraz ów mężczyzna stał w korytarzu z przestraszoną ukochaną, która na widok nieżywej Róży wczepiła się w ramię partnera.

— Wypadek? Proszę mnie przepuścić — zarządził — a ty, Halinko, najlepiej odwróć głowę i nie patrz tutaj, kochanie. To nie scena dla takiej wrażliwej myszki — zwrócił się czule do małżonki.

— Oj, Ryśku. — Halinka zawstydziła się w odpowiedzi na ów przejaw troskliwości, jednak chętnie utkwiała wzrok w kryształowym żyrandolu.

Lekarz minął kobiety, schylił się, ujął rękę denatki i wydał beznamiętnym głosem wyrok:

— Nie żyje. Ciało jeszcze nie zdążyło ostygnąć. Musiała umrzeć niedawno, nie dalej niż godzinę temu.

— Tak na pana lekarskie oko jaka mogła być przyczyna zgonu tej biednej dziewczyny? — zainteresowała się Orłowska.

— Niech pomyślę — powiedział, przybierając profesjonalną minę. Obejrzał głowę sprzątaczkę ze wszystkich stron. Delikatnie unióś ją do góry i spojrzał na podstawę czaszki. — Nie jestem patologiem, tylko stomatologiem, więc mogę się mylić, myślę jednak, że otrzymała czymś cios w prawą skroń. W wyniku odrzutu upadła na plecy, uderzając potylicą o kant biurka. — Wskazał na krwisty ślad na meblu i rozcięcie. — Nie potrafię powiedzieć, który z tych dwóch urazów spowodował zgon. Możliwe również, że się wykrwawiła.

— Więc to nie był wypadek! — jęknęła Bobrownik.

— Nie sądzę. Wezwaliśmy panie policję? — chciał wiedzieć dentysta. Wyjął z kieszeni niewielką paczkę nawilżanych chusteczek i wytarł dwiema dłońmi.

— Oczywiście — zapewniła Zofia.

— Najlepiej, gdybym poczekał z paniami na mundurowych, z drugiej strony nie chciałbym niepotrzebnie obciążać Halinki — głośno zastanawiał się, jak postąpić. — Właśnie szliśmy na śniadanie.

— Ależ Ryśku, jak możesz w takiej sytuacji myśleć o śniadaniu! — obruszyła się kobieta.

— Panie Ryszardzie, proszę zaprowadzić żonę do restauracji. Filiżanka kawy dobrze państwu zrobi. Zostaniemy we dwie. Naprawdę nie ma potrzeby, żebyśmy wszyscy tu tkwili — powiedziała Henryka.

— Sam nie wiem... — Jeszcze przez chwilę się wahał.

— Pani Orłowska ma rację, proszę iść. Nie ma tutaj już nic do zrobienia — przekonywała Bobrownik.

— W takim razie pójdziemy. Będziemy w sali restauracyjnej. Gdybyście panie czegoś potrzebowały, proszę się nie krępować. — Mężczyzna wyszedł z gabinetu, objął ramieniem żonę, po czym oddalili się w pośpiechu.

— Lepiej stąd wyjdźmy, i tak nic tu po nas, a nieprzyjemnie patrzeć na biedną Różę. Druga rzecz, że zaraz zaczną przechodzić korytarzem pozostali goście na śniadanie. Trzeba zamknąć drzwi, żeby nie zaglądali do środka. — Orłowska, która powoli zaczynała się otrząsać z pierwszego szoku, przytomnie oceniła sytuację. — Jeszcze tylko jedno. — Podeszła do sprzątaczkę, zgrabnie ominęła plamę krwi i zamknęła dziewczynie powieki.

Zosia odwróciła się twarzą do drzwi, widać dłużej nie chciała przypatrywać się martwej pracownicy. Henryka miała wychodzić, kiedy zauważyła wystający z kieszonki fartuszka zmarłej świstek papieru. Wyjęła go i przyjrzała mu się uważnie. Na karteluszkę zapisany był numer telefonu komórkowego.

— Idziemy? — ponagliła coraz bardziej roztrzęsiona Zosia, do której zaczęło powoli docierać znaczenie tego, co zaszło w jej gabinecie.

— Tak, oczywiście, chodźmy. — Henia ruszyła do wyjścia z kartką trzymaną w dłoni.

ROZDZIAŁ 6

Panie przycupnęły na fotelach nieopodal recepcji, sposób bowiem, w jaki przyłgnęły jedynie półdupkami do mebli, trudno było nazwać siedzeniem w pełnym tego słowa znaczeniu. Obie co i rusz zerkają na drzwi wejściowe, oczekując, że za chwilę pojawią się w nich przedstawiciele władz.

— Udało ci się stworzyć naprawdę magiczne miejsce, moja droga — pochwaliła starsza pani, chcąc odwrócić uwagę swoją i towarzyszki od krwawego miejsca zbrodni.

— Słucham? — zapytała roztargniona Zofia. — A tak, magiczne, przynajmniej taką mam nadzieję — przytaknęła, wracając na ziemię.

— Dziwne, że przyjeżdża do was tak niewielu gości — próbowała podtrzymać rozmowę Henryka.

— Niewielu? — Wyglądało na to, że Bobrownik nadal jest myślami gdzieś indziej. — Sprawa przedstawia się tak tylko obecnie. Normalnie mamy komplet. Na czas rozbudowy wysłałam obsługę na urlopy i zawiesiłam działalność, nie chciałam, żeby prace budowlane przeszkadzały gościom w odpoczynku. To by źle wpłynęło na wizerunek pensjonatu. Jednak ekonomia, sama pani rozumie. Koszt przedsięwzięcia niespodziewanie wzrósł i byłam zmuszona przyjąć kilka osób i oczywiście pracowników. Rozlokowaliśmy wypoczywających w pokojach, gdzie nie słychać huków, stuków. — Na chwilę zamarła, po czym zaczęła załamywać ręce. — Matko Boska, przecież na pewno policja będzie wszystkich maglować, goście zażądają zwrotu pieniędzy i pouciekają. W try miga rozniesie się, że u nas mordują, więc ludzie przestaną przyjeżdżać, a rezerwacje, które mamy, zostaną anulowane!

Orłowska pospieszyła z pocieszeniem:

— Myślę, że nie będzie tak źle. Ludzie szybko zapomną, a zresztą są i tacy, których sensacje przyciągają jak miód pszczoły. Sama zobacz, ile się mówi w radio i telewizji o tragediach, dla niektórych to jest prawdziwa pożywka, woda na ich młyn. Zresztą, nie myśl o tym teraz, moje dziecko, zobaczysz, wszystko się ułoży. Lepiej powiedz mi, kim jest ten miły starszy pan, którego widziałam w restauracji. Taki z siwą brodą. — Henryka pomyślała, że nie zaszkodzi dowiedzieć się tego i owego o gościach pensjonatu. Był to również doskonały sposób na zajęcie czymś niepokojąco bladej Zosi.

— Pewnie mówi pani o panu Mieczysławie. Przyjeżdżał tutaj razem z żoną jeszcze w czasach, kiedy Yorkshire było Skalką. Jeśli nie zna pani historii pensjonatu, może ją pani przeczytać w naszej regionalnej gazecie. Zaraz pokażę. — Bobrownik wstała i sprężystym krokiem sportowca podeszła do recepcji. Wzięła z kontuaru jeden egzemplarz i wróciła do współrozmówczyni. — Napisali o nas obszerny artykuł w ostatnim numerze.

Henryka zaczęła przerzucać strony zadrukowane na niskiej jakości papierze, choć po prawdzie bez okularów do czytania niewiele widziała. Właścicielka zaś kontynuowała:

— Pan Miecio z sentymentu odwiedza nas raz do roku, niestety już sam, bo jakiś czas temu został wdowcem. Pamiętam, jak za życia małżonki skoro świt przychodzili we dwoje do kuchni po suchy prowiant, zakładali plecaki, wygodne buty i aż do obiadu, a czasem nawet do kolacji ich nie było. Ech, szkoda tej jego Anieli. — Westchnęła na wspomnienie zmarłej. — Pan Mietek jest wspaniałym człowiekiem, takim uprzejmym i sympatycznym. Jeszcze nie widziałam go w złym nastroju, na nic się nie skarży, wszystko mu pasuje i smakuje. Szkoda, że każdy z gości taki nie jest — powiedziała właścicielka z kwaśną miną.

— Ma pani na myśli to eleganckie małżeństwo? — zapytała bez owijania w bawełnę Orłowska.

— Ojej, ja nie chciałam... — Kobieta zawstydzila się. — Nie powinnam źle mówić o gościach.

— Ale pewnie czasami mimo szczerych chęci trudno inaczej — zaśmiała się starsza pani.

— Prawda — zawtórowała jej Zosia. — Przyznam, że z panem od dzieł sztuki i jego żoną mamy trochę kłopotu.

— O, zatem ten mężczyzna zajmuje się dziełami sztuki?

— Podobno. I antykami, ogólnie wartościowymi starociami. Wszystko drogie, z najwyższej półki. Słyszałam, że jest doskonałym specjalistą w swojej dziedzinie, cieszy się dużą renomą w środowisku.

— Jeśli się zastanowić, nawet pasuje do tej roli z wyglądu, taki schludny, dobrze ubrany. Pewnie macie w pensjonacie wiele wpływowych i znanych person.

— Nigdy o tym nie myślałam. Dla mnie gość to gość, polityk, weterynarz czy zdun, nie ma znaczenia. Byle tylko przyjezdni byli zadowoleni z pobytu i regulowali rachunki. — Po ostatnich słowach lekko się zarumieniła. — Ale wracając do pana Cezarego i jego żony Liliany. Przyjechali do nas po raz pierwszy i obawiam się, że ostatni. Zameldowali się tydzień temu, a już dwa razy zmieniali pokój. Najpierw skarżyli się na remont, hałas był podobno nie do zniesienia. Od razu przenieśliśmy ich w najdalszą część korytarza. Tam z kolei przeszkadzał im pan Miecio. Wedle ich słów niemożliwie się kręci, trzaska drzwiami, bierze prysznic po nastaniu ciszy nocnej, do późna ogląda telewizję i ciągle głośno się śmieje. W zaistniałej sytuacji nie pozostało nic innego jak ponownie zmienić im pokój. Wydaje się, że w kwestii zakwaterowania w końcu sprościliśmy ich oczekiwaniom. Niestety na tym nie koniec zażaleń. Jedzenie jest podobno za tłuste i zbyt mało rozmaite, okolica źle skomunikowana... Zresztą, długo by wymieniać. Ale płacą, więc wymagają. To w końcu biznes, a nie kółko wzajemnej adoracji, nie musimy być najlepszymi przyjaciółmi, chociaż przyznam, że gdybym mogła wybierać, wolałabym, żeby na wypoczynek przyjeżdżali tylko tacy jak pan Miecio albo doktor z małżonką.

— Mówi pani o tym stomatologu, który oglądał w gabinecie ciało Róży?

— Tak, o nim. Kiedyś doktor opowiadał mi, jak poznał swoją Halinkę. Wzruszająca historia. On urodziła się i całe życie mieszkała za granicą, on wyjechał jakoś chyba po studiach. No i niech pani sobie wyobrazi, że każde z nich pracowało w innym kraju. Całe lata ich noga nie dotknęła polskiej ziemi i wtedy właśnie traf chciał, że przyjechali na ten sam turniej rycerski organizowany niedaleko pensjonatu Yorkshire pod zamkiem. Oboje są zafascynowani średniowieczną i renesansową kulturą rycerską. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Jedno spojrzenie w oczy, a od razu zaiskrzyło. Nim się obejrżeli, byli małżeństwem. Okazało się, że poza hobby łączy ich również wykształcenie. Pan Rysio jest stomatologiem, a pani Halinka takim pomocnikiem stomatologa, nie wiem, jak dokładnie nazywa się ten zawód. W każdym razie ona przeniosła się do pana Ryszarda. Teraz pracują razem. Widziała pani, jacy są zakochani? Coś cudownego — zakończyła wypowiedź Zofia, wzdychając z rozmarzeniem.

— Miło popatrzeć na ich szczęście — przyznała żywo zainteresowana opowieścią Henryka.

Pogrążone w rozmowie kobiety na chwilę zapomniały o mało przyjemnym powodzie, dla którego siedziały w foyer. Widok wchodzących do pensjonatu policjantów skutecznie odświeżył im pamięć. Obie w ułamku sekundy skoczyły na równe nogi.

— Dzień dobry, kapitan Zborowski. To panie zgłaszałyście odkrycie zwłok? — zapytał znudzonym głosem mężczyzna o obfitych kształtach i sumiastym wąsie zdobiącym jego twarz.

— Ja dzwoniłam, Zofia Bobrownik, właścicielka pensjonatu — powiedziała przejęta kobieta. — Zwłoki są na podłodze w moim biurze.

— W takim razie proszę nas tam zaprowadzić.

— Dobrze, niech panowie pójdą za mną.

Panie i podążający za nimi mężczyźni ruszyli w stronę gabinetu.

— To tutaj. — Zosia otworzyła na oścież zamknięte drzwi.

— Zaraz, chwileczkę. A kim pani jest? — zwrócił się do Henryki policjant w randze kapitana.

Postawny stróż prawa szerokimi plecami blokował kobietom dostęp do pomieszczenia. Pozostali mundurowi mijali go bokiem i bezzwłocznie zabierali się do działania.

— Henryka Orłowska. Gość pensjonatu — odpowiedziała starsza pani, która zwykła odnosić się z najwyższym szacunkiem do osób reprezentujących zawód policjanta.

— Pani znalazła ciało? — dociekał.

— Nie jako pierwsza. Akurat szłam... — zaczęła tłumaczyć Orłowska i właśnie wtedy przypomniała sobie o powodzie, dla którego znalazła się w korytarzu. Na myśl o żalośnie zawodzącym z głodu kotku zamilkła i wystraszonym wzrokiem popatrzyła na Zborowskiego.

Dobroduszny kapitan, który nietrafnie zinterpretował mimikę jej twarzy jako przejaw doznanego szoku na wspomnienie sceny zbrodni, poważnie się o nią zaniepokoił.

— Już dobrze, proszę się nie męczyć. Na przesłuchanie jeszcze przyjdzie czas. Na razie nie

będzie nam pani tutaj potrzebna — powiedział szybko, chcąc uniknąć ewentualnego omdlenia obywatelki. Tyle się mówiło w ostatnim czasie w mediach o bezwzględności i bezduszości policji, a obecny na miejscu zbrodni kapitan nie zamierzał potwierdzać owych oszczerstw dręczeniem wiekowego świadka. — Później panią poprosimy. Teraz proszę odpocząć, zrelaksować się, wrzucić coś na ząb, napić się meliski albo kawki. O właśnie, pani Bobrownik, czy dałoby się i dla nas załatwić dzbanek kawy? — zapytał z nadzieją w głosie.

— Zaraz się tym zajmę. — Przejęta Zosia pospieszyła do kuchni.

— I może jeszcze jakieś kanapeczki, oczywiście jeśli to nie za duży kłopot... — zawołał nieśmiało w kierunku oddalających się w pośpiechu pleców.

— W takim razie jeśli nie będę teraz potrzebna, faktycznie chętnie bym poszła — powiedziała zadowolona z takiego obrotu sprawy Henryka. Róży w niczym obecnie nie mogła pomóc, zgoła inaczej sprawa miała się w przypadku kota. Biednemu zwierzątku pewnie już dawno brzuszek zdążył przyrosnąć do kręgosłupa.

— Smacznego — rzucił na odchodne policjant, wciskając na niemałe dłonie jednorazowe rękawiczki.

ROZDZIAŁ 7

Ku zaskoczeniu Henryki poranne wydarzenia nie odebrały jej apetytu. Na widok suto zastawionych stołów poczuła ssanie w żołądku. Zanim jednak przeszła do konsumpcji, w pierwszej kolejności zadbała o stawę dla biednego dachowca. Kelner nie widział przeciwwskazań, żeby uszczknęła porcyjkę z całych ton jedzenia dla zwierzęcia. Nawet więcej, obiecał, że osobiście zajmie się wyborem smakowitych kąsków i przyśle je do pokoju. Spokojna o byt kota Orłowska zabrała się więc za śniadanie, które zgodnie ze zwyczajem rozpoczęła dwiema filiżankami mocno słodzonej, czarnej (niestety ku jej niezadowoleniu nie sypanej, tylko z ekspresu) kawy. Szybko uporała się z jedzeniem i poszła do siebie.

Po otwarciu drzwi zobaczyła śpiącego na łóżku buraska z pyszczkiem ułożonym tuż obok wygryzionej kostki żółtego sera, która uratowała się z podróży. Emerytka popatrzyła z zadowoleniem na sprytnego dachowca. Zwierzę w obliczu głodu doskonale potrafiło zadbać o swój los. Jej samej nawet nie przyszło do głowy częstować go żółtym serem, który intuicyjnie skreśliła z listy pożywienia właściwego dla kotów.

Po cichu, żeby nie obudzić współlokatora, weszła na paluszkach do środka. Delikatnie zamknęła drzwi i usiadła przy biurku. Założyła okulary i w oczekiwaniu na obiecany malcowi przydział pożywienia oraz wezwanie na przesłuchanie zabrała się do czytania regionalnej gazety. Opisana w niej historia pensjonatu niewiele więcej wносиła nad wiedzę uzyskaną wcześniej przez Henrykę w biurze podróży. Pracownica Niezapomnianych Doznań okazała się doskonale zorientowana w historii tego miejsca.

Dopiero na trzeciej stronie periodyku pojawiała się ciekawostka, określona przez autora w tytule artykułu jako sensacyjny news. W pensjonacie Yorkshire od pewnego czasu przebywała tajemnicza kobieta, której niewyraźne zdjęcie zamieszczono u dołu strony. Pomimo innej chustki na głowie niż ta, którą miała o poranku, Orłowska bezbłędnie rozpoznała w niej zjawę z pokoju na końcu korytarza. Dziennikarz z zaufanego źródła dowiedział się, że jest to aktorka występująca w jednym z topowych seriali. Jak się nazywa namierzona celebrytka i o którym serialu mowa? Akurat tego źródło mu nie zdradziło. Jednak zdeterminowany autor, chcący odkryć prawdę, na podstawie własnych obserwacji i przemyśleń wytypował trzy telewizyjne tasiemce. Pochodzące z nich pojedyncze oraz zupełnie przypadkowe kadry urozmaicały artykuł.

Może to któryś z wymienionych, jak państwo sądzicie? I co najważniejsze: jak nazywa się gwiazda przebywająca w naszej malowniczej krainie? Odpowiedzi przysyłajcie SMS-em, wśród głosujących rozlosujemy nagrodę! — zachęcano czytelników do aktywności.

Na tym nie kończyły się dociekania. Pismak podjął również próbę wskazania prawdopodobnego powodu wypoczynku sławy w pensjonacie. Ponoć aktorka miała w otoczeniu lasów, ciszy i świeżego powietrza przechodzić rekonwalescencję po bliżej nieokreślonym zabiegu z zakresu chirurgii plastycznej bądź medycyny estetycznej. Przezorna gwiazda, żeby nie zostać rozpoznana, praktycznie nie wychodziła z pokoju.

Właśnie wtedy kiedy Orłowska skończyła czytanie i zamknęła gazetę, zadzwonił telefon. To policja zapraszała ją na przesłuchanie. Kobieta pospieszyła we wskazane miejsce, nie chciała, żeby ten uprzejmy kapitan marnował swój cenny czas na czekanie.

— Pani Henryka Orłowska? — zapytał Zborowski zaraz po tym, kiedy wygodnie usadził naprzeciwko siebie starszą panią i upewnił się, że świadek nie ma ochoty na kawę, herbatę, wodę ani nic do przekąszenia.

Przesłuchanie odbywało się w jednym z pokoi pensjonatu, którego nie używano w czasie rozbudowy, zatem warunki były wręcz komfortowe. Obecni siedzieli w wygodnych fotelach najwyższej klasy. Na niskim stoliku przed kapitanem stał talerz z górą smakowicie wyglądających kanapek oraz filiżanka z kawą. Zborowskiemu podczas przesłuchania towarzyszył młody mężczyzna w wygniecionym mundurze. Podkrążone oczy i włosy w nieładzie sugerowały, że jego zmiana powinna się skończyć dawno temu.

— Raz, dwa się uwiniemy i będzie po wszystkim. Kolega spisze pani wersję wydarzeń. Proszę

opowiedzieć, co się stało dziś rano.

— Więc panie kapitanie, to było tak — zaczęła mówić podekscytowana starsza pani, która pierwszy raz w życiu była przepytwana przez mundurowych (nie licząc tych kilku rozmów z drogówką na okoliczność łamania zasad ruchu drogowego, ale kto by pamiętał o drobnych wykroczeniach w obliczu sprawy morderstwa!). — Niedługo po wybiciu godziny szóstej kot, którego znalazłam wczoraj po przyjeździe do tego miejsca, zaczął głośno miauczeć. Obudził mnie swoim zawodzeniem. Pomyślałam, że biedaczek jest na pewno głodny, ale czym go nakarmić, jeśli nie miałam na zbyciu...

— Pani Heniu, ja bym prosił tak w skrócie — przerwał jej Zborowski. — Może pomińmy kwestię kota. Przejdźmy od razu do momentu, kiedy zobaczyła pani zwłoki.

— Oczywiście. Rozumiem. Zatem szłam korytarzem, gdy zobaczyłam panią Zosię Bobrownik stojącą w drzwiach gabinetu. Wiecie, panowie, chodzi mi o to pomieszczenie, gdzie na podłodze leżała Róża, to znaczy nieboszczka.

— Mhy — przytaknął kapitan, próbując powstrzymać ziewnięcie.

— Wydawała się być czymś przejęta, więc podeszłam do niej i zapytałam.

— Pani Heniu, to jest na pewno bardzo ważne i ciekawe, ale goni nas czas. Jak by tak można było w dwóch zdaniach — grzecznie poprosił mężczyzna. — Wszyscy jesteśmy tacy zmęczeni, a i po co panią narażać na niepotrzebny stres? Więc zobaczyła pani denatkę w kałuży krwi, co nastąpiło później?

— Och tak. — Kobieta wzdrygnęła się na wspomnienie tego straszego widoku. — Coś okropnego, taka biedna, krucha, młoda dziewczyna...

Zborowski popatrzył na Henrykę wzrokiem spaniela, milcząco błagając o streszczenie się.

— Tak, tak, pamiętam, w dwóch słowach — przywołała się do porządku. — Zapytałam panią Zosię, czy sprawdzała, czy Róża żyje. Zaprzeczyła i wtedy zmierzyła jej puls, którego nie było. Potem... — Henryka zawahała się.

Czy powinna powiedzieć o skrawku papieru, który Bobrownik wyjęła z dłoni pokojówki? A jeśli jej się to tylko wydawało i niepotrzebnie wystawi dziewczynę na podejrzenia ze strony policji? Z pomocą przyszedł kapitan. Na widok konsternacji na twarzy sympatycznej obywatelki powiedział uprzejmie:

— Wszystko rozumiem, przejdźmy dalej. Widok miejsca zbrodni musiał być dla pani bardzo nieprzyjemny. Nie ma potrzeby, żebyśmy zatrzymywali się przy tym dłużej, niż jest to absolutnie konieczne. Zatem po upewnieniu się, że nie ma pulsu, zadzwoniłyście panie na policję. Co było dalej?

— Później przechodzili obok gabinetu stomatolog z żoną. Pan Ryszard jako medyk od razu zainteresował się sprawą. On również upewnił się, że ta biedna dziewczyna nie żyje i że powiadomiłyśmy o tej strasznej tragedii stróżów prawa. Następnie pani Halinka z mężem udali się na śniadanie, a my z panią Zosią zamknęłyśmy drzwi do gabinetu i usiadłyśmy w foyer. Nie było sensu narażać pozostałych gości na widok martwej Róży, kiedy będą szli do stołówki. — Na chwilę zamilkła, po czym dodała przejętym głosem: — Ma pan absolutną słuszność i dla mnie to nie był najprzyjemniejszy widok.

— To zupełnie normalne. Ja, pomimo wielu lat służby, też za każdym razem czuję niesmak na widok zwłok — przyznał kapitan, po czym upił słuszny łyk kawy. — Czy dotykała pani ciała?

— Tak. Raz. Wie pan, kapitanie, ta dziewczyna miała taki przerażający wzrok... Zamknęłam jej powieki.

— Niedobrze, niedobrze, pani Heniu. Nie należy dotykać zwłok, tak się zaciera cenne ślady, ale przymknijmy na to oko, rozumiem, że miała pani jak najlepsze intencje. — Policjant był nad wyraz wyrozumiały wobec tej konkretnej obywatelki.

— I jeszcze fartuszka... — dodała nieśmiało.

— Słucham? — zdziwił się mężczyzna z kanapką trzymaną tuż obok ust.

— Dotknęłam fartuszka. Zobaczyłam, że coś wystaje z kieszonki, i odruchowo sięgnęłam ręką. Znalazłam taką karteczkę. — Wyjęła z kieszeni papier i podała Zborowskiemu.

Mężczyzna zerknął tęsknym wzrokiem na kanapkę, z żalem odłożył ją na talerzyk, otarł dłoń w spodnie, wziął do ręki karteczkę, obejrzał z obu stron i na koniec stwierdził:

— Zapisano na niej jakiś numer.

— Myślę, że telefonu — odpowiedziała pani Henia.

Mężczyzna przyjrzał się cyfrom, podał znalezisko koledze, który sfotografował je, a następnie schował do małej plastikowej torebki na dowody.

— Pani Heniu, jeśli to już wszystko, możemy kończyć. Dziękujemy za pomoc i nie zajmujemy więcej czasu.

— Macie panowie jakieś podejrzenia, kto zabił to biedne dziecko? — chciała wiedzieć.

— Ech, taka bezsensowna śmierć. Młoda, ładna dziewczyna... — Kapitan westchnął, wracając do przerwanoego posiłku. — Na razie jest zdecydowanie za wcześnie na jakiegokolwiek podejrzenia. Będą wyniki sekcji zwłok, wtedy dowiemy się czegoś więcej. Może nam się poszczęści i morderca zostawił odcisk palca. Widzi pani, jest tyle pracy, a mamy tak mało ludzi. Tą garstką policjantów musimy rozwiązywać sprawy, pilnować porządku, obstawiać imprezy masowe i wykonywać wiele innych obowiązków, że o pracy papierkowej nie wspomnę. Pytam, jak w takiej sytuacji wykrywalność ma być wysoka? Jeszcze dobrze się nie rozejrzymy, ledwie zaczniemy, rozeznamy się, co do czego, a już będą kolejne wezwania. — Machnął z rezygnacją ręką.

— Nie żywi pan, kapitanie, chyba zbyt wielkiej nadziei, że znajdziecie winnego śmierci Róży. — Orłowska zasmuciła się.

— Nadzieja, pani Heniu, zawsze jest. Chociaż z wieloletniego doświadczenia wiem, że raczej nikła. Zrobimy, co w naszej mocy, będziemy szukać sprawcy, pytanie, czy odniesiemy sukces. Ach, szkoda gadać. Proszę podpisać zeznanie i to by było na tyle. Wszystkiego dobrego, pani Heniu, do widzenia. — Mężczyzna serdecznie uściśkał dłoń przesłuchiwaney.

Kobieta w stanie lekkiego oszołomienia wyszła z pokoju. Zrobiło jej się żal przepracowanego policjanta, który aż za dobrze znał realia swojego zawodu. Zamyślona dotarła pod drzwi z numerem dwadzieścia pięć. Dopiero kiedy je otwierała, przypomniała sobie o znalezionym w gabinecie Bobrownik guziku. W pierwszym odruchu chciała się wrócić i zanieść go Zborowskiemu, ale właśnie wtedy z windy wytoczył się hotelowy wózek. Pchająca go pokojówka przyspieszyła kroku na widok starszej pani.

— Pani pewnie do mnie z jedzeniem dla kotka, ale aż tyle tego? — zdziwiła się Henryka. — Malec będzie uradowany, spust ma taki, że daj mu Boże zdrowie!

— Tak, ja do dwadzieścia pięć. Przepraszam, że tak długo to trwało. Ja... ja... bardzo... ja naprawdę... bardzo przepraszam. — Dziewczyna zaczęła płakać.

— Ależ kochanie, nie płacz! Nic się nie stało, mały jest sprytny i znalazł sobie śniadanie. Wejdz, moje dziecko, wejdz do środka. Napij się wody, a od razu ci się poprawi. Najlepsza byłaby mocna kawka, niestety nie zabrałam z domu czajnika elektrycznego. — Orłowska delikatnie, razem z wózkiem wepchnęła dziewczę do pokoju i posadziła na fotelu ze szklanką wody w dłoni.

— Ja nie mogę, muszę wracać do pracy — próbowała protestować pokojówka.

— Nonsens! Jak ci na imię, kochanie?

— Arletta.

— Arletto, nic się nie bój, wstawię się za tobą u szefowej. Swoją drogą myślałam, że pani Zosia jest ludzkim człowiekiem. Żeby taka ciepła osoba źle traktowała pracowników...

— Nic mi o tym nie wiadomo. Skąd taki pomysł?

— Tak jakoś przyszło mi do głowy... Najpierw płakałaś, że za długo ci zeszło z przyniesieniem jedzenia dla kotka, zupełnie jakbyś się bała bury. Na dokładkę mówisz, że nie możesz nawet na chwilę przysiąść. Dziwne przyszły czasy, żeby człowiek w pracy nie mógł minutkę odsapnąć.

— Ale nie, to zupełnie nie tak! Szefowa jest równą babką. Złego słowa na nią nie powiem i powiedzieć nikomu nie dam. Ja przez tę śmierć płaczę. — Na nowo zaczęła szlochać. — Rano spóźniłam się do pracy, wóz nie chciał mi odpalić. Nie mam daleko, będzie z pięć kilometrów, ale na pieszo w śniegu szłabym i szła. Zanim mąż podładował akumulator, zrobiła się siódma, a przecież jeszcze musiałam porozwozić dzieciaki. W końcu przyjechałam. Ledwie przekroczyłam próg pensjonatu, a zaraz pani Czesia, znaczy się kucharka, doniosła mi o tej tragedii. Znałyśmy się z Różą

jeszcze z czasów, kiedy ciotka Bogusia pasła nas mlekiem prosto od krowy. — Na jej zapłakanej twarzy mimowolnie pojawił się wyraz obrzydzenia na myśl o jeszcze ciepłej, tłustej cieczy świeżo wydojonej z krasuli. Podczas wakacji dziewczęta codziennie zmuszano do picia rzeczzonego paskudztwa, bo podobno to samo zdrowie. — Pewnie, że Róża miała wady, jak każdy, ale jak można było ją zabić?!

— Przyznam, że i dla mnie jest to niepojęte. — Starsza pani z dezaprobatą pokiwała głową.

— Sama załatwiłam jej tu pracę. Chciała zarobić kasę na studia. Siedziała biedna całe życie u nas we wiosce w górach, o robotę tam trudno. Pogadałam z szefową i znalazło się miejsce dla jeszcze jednej pokojówki.

— Ty też jesteś pokojówką?

— Tak, ale nie tylko, głównie pomagam w kuchni. Fajna robota, człowiek się nie nudzi. Powiem pani, że właścicielka jest super. Nie dość, że przyjęła Różę i to wcale nie za najniższą krajową, to jeszcze dała jej pokój na poddaszu. Dzięki temu Róża mogła więcej odłożyć na szkołę. Początkowo bardzo się cieszyłam, że będę miała w pensjonacie koleżankę, ale potem zaczęły się z nią kłopoty. Róża nie bardzo umiała się dostosować. — Pokojówka niespodziewanie przestała mówić i wstała. — Będę szła.

— Dziecko, siadaj. Jesteś w szoku po stracie koleżanki. — Henryka była bardziej niż stanowcza.

— Może i tak. — Arletta na powrót usiadła.

— Wspominałaś, że Róża sprawiała problemy.

— Nooooo, trochę tak jaaaakbyyyy... — dukała. — Ale nieładnie źle mówić o zmarłej. Ja chyba nie powinnam...

— Jak uważasz, kochanie, nie ma przymusu — powiedziała Orłowska i uśmiechnęła się wyrozumiale. — Doleję ci wody, orzeźwi cię.

Po chwili Arletta ponownie się odezwała:

— Pani tak dobrze z oczu patrzy, a muszę się wygadać, więc wszystko opowiem. Okazało się, że Róża jest z tych, co jak coś zobaczą, to nie potrafią trzymać języka za zębami, a tym bardziej udać, że niczego nie widzieli. Od razu chciała przywracać porządek moralny. Wcześniej o tym nie wiedziałam, zorientowałam się dopiero, kiedy zaczęła pracę. Zezłościłam się na nią, bałam się, że pani Zosia będzie miała do mnie żal, że ją poleciłam.

— A co konkretnie robiła twoja koleżanka, że był z nią taki problem? — dla porządku zapytała pani Henia, której samo wspomnienie swojego spotkania z Różą dało pewien obraz postępowania denatki za życia.

— Wie pani, różne takie. Z każdą głupotą leciała do pani Zosi, żeby wypaplać — powiedziała cicho. — Tyle że to nie usprawiedliwia morderstwa! Porządna była i tyle, nie chciała patrzeć w milczeniu, jeśli ktoś źle robił. Żeby chociaż wykryli i ukarali tego, kto ją zabił, ale czy go znajdą?? Ktoś w ogóle potraktuje poważnie sprawę pokojówki? Co innego, gdyby była jakimś ważnym politykiem. To jest niesprawiedliwe! I co ja mam powiedzieć jej mamie i tacie? — Arletta na dobre się rozkleiła.

Orłowska popatrzyła na zanoszącą się płaczem dziewczynę. Pomyślała o biednej Róży oraz jej rodzicach. Wspomniała zmęczonego Zborowskiego i jego brak wiary w znalezienie mordercy. Wiedziała, co musi zrobić. Nie było innego wyjścia, a przynajmniej starsza pani go nie widziała.

— Nie płacz, moje dziecko — powiedziała uspokajająco, podając dziewczęciu paczuszkę chusteczek higienicznych. — Mam pewien pomysł, ale będę potrzebowała twojej pomocy.

Arletta uniosła zapłakane oczy i popatrzyła z niezrozumieniem na Henrykę.

— Pomożemy policji — rzekła z pełną powagą emerytka.

— Ale jak? Ja się nie znam na pracy detektywów — wyznała ze smutkiem dziewczyna. — Pani jest policjantką? — zapytała z nadzieją w głosie.

— Nie — zaśmiała się Henryka — nie jestem ani nigdy nie byłam policjantką, ale swoje w życiu widziałam, a i przeczytałam niemało powieści kryminalnych. Nie zaszkodzi spróbować. Więc jak, pomożesz mi znaleźć winnego?

— O matko! Czyli pani będzie tak jakby... Sherlockiem Holmesem, a mnie przypadnie rola Watsona! Bombowo! — Ucieszyła się.

— Coś w tym stylu — przytaknęła rozbawiona poczynionym porównaniem Orłowska.

— W takim razie wchodzę w to! Oj, już my damy mu popalić, słyszysz, Róża? Pomścimy twoją śmierć. — Arletta spojrzała w górę, przekonana, że to właściwe miejsce, gdzie należy wysłać komunikaty do nieboszczki. — Z nieba mi pani spadła, sama bym nie miała odwagi, ba, nawet by mi to nie przyszło do głowy, ale we dwie to zupełnie coś innego.

— Tylko nie zdradź się z tym przed nikim, Arletko — upomniała starsza pani.

— Jasna rzecz. — Pokazała, jak zamyka usta na kluczyk, a następnie wyrzuca go w siną dal. — Proszę mówić, co mam robić, i od razu zabieram się do działania.

— Na początek pokażę ci coś. — Henryka wyjęła z kieszeni guzik i podała pokojówce. Pewnie lepiej byłoby, gdyby oddała go policji, jednak mundurowi wydawali się tacy zapracowani, że nie chciała im dokładać kolejnej sprawy do długiej listy zadań. Druga rzecz, że szkoda jej było tracić dowód, który mógł mieć znaczenie w prowadzonym amatorskim śledztwie.

— Guzik — stwierdziła zdecydowanym głosem Arletta. — Ładny. Jakby od marynarki, swetra czy szlafroka.

— Też mi się tak wydaje — przytaknęła kobieta. — Znalazłam go w gabinecie twojej szefowej. Może to nie jest ważne, ale trzeba zbadać każdą poszlakę. Ty, złotko, masz wstęp do pokoi gości, widzisz też wszystkich z personelu. Popatrz, komu go brakuje, a jeśli się czegoś dowiesz, proszę, daj mi znać.

— Dobrze. — Dziewczyna ochoczo przyjęła powierzone jej zadanie. Pieczołowicie, niczym największy skarb, owinęła guzik w czystą chusteczkę higieniczną i schowała do kieszonki fartuszka.

— Z tego, co mówił dentysta, Róża musiała umrzeć między szóstą a siódmą, może kilka minut przed szóstą. Wiesz, kto wtedy był w pensjonacie i komu z tych osób mogła zająć za skórę?

— Hm... jak na złość dziś przyjechałam później. No, ale myślę, że jak codziennie powinni być wtedy wszyscy goście, recepcjonista, kucharka, kelner i pani Zosia. A komu zaszła za skórę? Z tym mam większy problem, bo szczerze przyznam, że ja tam się w nic nie mieszam. Coś czasami pani Czesia, kucharka, mi powiedziała albo Róża się raz od wielkiego dzwonu poskarżyła i tyle. Przychodzę, robię swoje i idę do domu, dlatego dokładnie tego, jak było między nią a gośćmi, nie wiem. Róża nie plotkowała. Jak coś zobaczyła, to od razu szła zakablować szefowej. Mnie tylko radziła się, co zrobić, jeśli się dowiedziała czegoś o innych z obsługi, ale zawsze jej mówiłam: „Róża, nie wtrącaj się, nie za to nam płacą”. Wiem, że panią Czesię oskarżała o kradzież. Podobno podpatrzyła ją kiedyś, jak wynosiła jedzenie. Pana Zygmunta, recepcjonistę, złapała na spaniu za kontuarem podczas zmiany. Ale najbardziej miała przechlapane chyba właśnie u szefowej.

— Pani Zosia ci powiedziała?

— Nie, ale widziałam, że krzywo patrzyła na Różę. Sama Róża też ostatnio mi się żaliła, że z dobrego serca informuje właścicielkę o niecnym poczynaniach gości, a nie ma za to żadnej wdzięczności, przeciwnie: spotykają ją upomnienia i reprimendy. Niechętnie bąknęła, że pani Zosia kazała jej przestać wściubiać nos w nie swoje sprawy, bo w przeciwnym razie czeka ją wypowiedzenie.

— A jak było z kelnerem?

— Z Mateuszem?

— Tak, z nim. Widziałam wczoraj, że się kłócili. Chłopak ze złością mówił twojej koleżance, żeby trzymała język za zębami, bo inaczej się doigra.

— Teraz mi pani zabiła ćwieka. Nie mam bladego pojęcia. — Arletta zadumała się. — Gdybym miała coś na siłę wymyślić, powiedziałabym, że to może urażona męska duma. Pani wie, jak czasami jest z mężczyznami — oceniła z lekką pogardą w głosie. — Nasz Mateuszek lata za babkami, więc pewnie zarywał i do niej, aż dała mu kosza. Co innego mogło być? Może wymyknęło jej się do kogoś, że go nie chciała? Nic więcej nie przychodzi mi do głowy.

— A wspominała ci kiedyś, że ten kawaler smalił do niej cholewki? — dopytała kobieta.

— Że co robił? — Dziewczyna wytrzeszczyła oczy.

— Innymi słowy, zalecał się, stawał w konkury, zabiegał o jej względy.

— Znaczy się, czy zarywał do niej?

— Tak, chyba właśnie w ten sposób teraz mówicie, wy młodzi. — Emerytka ucieszyła się, że się zrozumiwały.

— Nic mi nie mówiła. — Arletta zamyśliła się, po czym dodała: — Ale jak by dłużej pomyśleć, nie była też pleciugą... Poważnie, nie mam pojęcia, o co im poszło. Niewiele wiem... — Zasmuciła się.

— Oj tam, zaraz niewiele, nic się nie martw, Arletko. Dobre i to. A powiedz mi, moje dziecko, wspomniałaś coś o pokoju Róży. Masz do niego klucz?

— No pewnie, nawet przy sobie. Mam karty do każdego z pokoi.

— Zaprowadź mnie tam, dobrze? Może znajdziemy w środku coś, co nam pomoże w śledztwie. Dziewczyna wahała się tylko przez chwilę.

— Jeśli to miałyby pomóc, chodźmy. — I ruszyła do wyjścia.

Chwilę później trzęsącą się z przejęcia dłonią otworzyła drzwi pokoju martwej koleżanki.

— Jakoś dziwnie tu wchodzić, wiedząc, że Róża nigdy więcej nie przekroczy tego progu — powiedziała drżącym głosem.

— Jeśli to dla ciebie za trudne, wejdę sama. — Pani Henia doskonale rozumiała rozterki pokojówki.

— Mogłaby pani? — Dziewczynie kamień spadł z serca. — Ja już bym wróciła do pracy, w sumie długo mnie nie ma. Z guzikiem dowiem się co i jak, i wtedy przyjdę do pani.

— Tak zróbmy.

Orłowska weszła do pokoju Róży. Pierwsze, co rzucało się w oczy, to panujący tam porządek. Pomieszczenie może nie należało do największych, ale mieściło się w nim wszystko, co potrzebne: łóżko, biurko, krzesło, regał na książki, szafa, komoda, nocny stolik i telewizor na ścianie. Duże okno nad biurkiem wpuszczało do środka ciepłe, słoneczne promienie. Poza kilkoma bibelotami Henryka w zasadzie nie znalazła wielu dziewczęcych akcentów.

Starsza pani poświęciła dobre pięć minut na dokładne obejrzenie zdjęcia w ozdobnej ramce ustawionej na nocnym stoliku. Z fotografii zerkano na nią kilka uśmiechniętych, obejmujących się osób w różnym wieku z Różą stojącą w centralnym punkcie. Podobieństwo całej gromadki, najtrafniej wyrażone sformułowaniem „jak dwie krople wody”, dawało wszelkie podstawy do uznania ich za rodzinę.

Do pokoju przynależała niewielka łazienka, również utrzymana w czystości i pachnąca świeżością, i właśnie od niej kobieta postanowiła zacząć. Niestety, nie znalazła niczego interesującego, trudno bowiem wiele wyczytać na temat morderstwa z podstawowych przedmiotów toaletowych i kosmetyków używanych do higieny. W tej sytuacji Henryka szybko znów znalazła się w głównej części pokoju.

Do dalszego przeszukiwania zabrała się metodycznie. Na pierwszy ogień poszły meble, które miały drzwiczki. W następnym kroku starsza pani zajrzała do każdej dziury, jaka przyszła jej do głowy, nie zapominając o przestrzeni pod łóżkiem i za telewizorem. Ich zawartość, podobnie jak łazienki, nie przyniosła nic więcej poza wielkim, tłustym rozczarowaniem. Zostały zatem tylko regał i biurko, z premedytacją, niczym wisienka na torcie zostawione na sam koniec. Orłowska była przekonana, że z całą pewnością te miejsca nie sprawią jej zawodu.

Najpierw zbliżyła się do regału. Stały na nim ustawione pod linijkę książki o tematyce medycznej. Tytuły: *Rehabilitacja dla opornych*, *Tajniki rehabilitacji*, *Budowa stawu skokowego*, *Masaż leczniczy w pigułce* i temu podobne, w dość oczywisty sposób nasuwały przedmiot zainteresowania Róży. Potwierdzał to również znaleziony przez Henrykę na biurku folder reklamowy uczelni z jej rodzimego miasta z opisem studiów z zakresu rehabilitacji oraz na dokładkę medycyny, stomatologii i pielęgniarstwa. Kobieta przekartkowała broszurę pełną sloganów, zachęt oraz kolorowych zdjęć uśmiechniętych twarzy absolwentów, którzy po kilku latach wymagających studiów nareszcie otrzymali upragnione dyplomy i wyposażeni w niezbędną wiedzę mogli wyruszyć w pełen zagadek świat medycyny.

Z drugiej strony biurka leżała zielona teczka zamykana na gumkę. Orłowska zajrzała do środka. W jej wnętrzu znalazła okazałą stertę wycinków z gazet o cieszącej się sławą aktorce Petroneli von Sztumpelfelt — jak dodawano w nawiasie przy nazwisku w każdym z artykułów — lat czterdzieści sześć. Była to kobieta wspaniałej urody z lśniącymi, długimi włosami, alabastrową cerą, pełnymi ustami i jeszcze pełniejszym biustem. Na zdjęciach uśmiechała się zalotnie do obiektywu, przyjmując wyszukane pozy, o które mogłaby się pokusić jedynie tak wysportowana i nadal młoda osoba. Henryka nieraz widziała ją w telewizji, nie miała jednak bladego pojęcia o życiu prywatnym Petroneli. Dopiero z wycinków z kolorowych magazynów przechowywanych przez Różę dowiedziała się o dziesięciu rozwodach gwiazdy, jej zagranicznej karierze oraz miłości do zwierząt. Czyżby Róża rozpoznała w niej tajemniczą aktorkę z pensjonatu? — zastanowiło emerytkę. W każdym razie z pewnością była zagorzałą fanką von Sztumpelfelt, skoro zadała sobie trud zbierania makulatury na jej temat. Henryka musiała jednak z żalem przyznać, że nie wносиło to niczego do prowadzonego śledztwa.

Pod teczką znajdował się jeszcze rachunek telefoniczny, kilka ulotek o destrukcyjnym wpływie marihuany na życie i zdrowie człowieka oraz repertuar pobliskiego kina na bieżący miesiąc, niestety również i to wydawało się nie mieć związku z morderstwem dziewczyny.

Kobieta odłożyła wszystko zgodnie ze stanem zastanym, raz jeszcze, tak na wszelki wypadek, spojrzała pod łóżko i rozczarowana brakiem jakichkolwiek wskazówek, które pomogłyby jej odnaleźć winnego zabójstwa, wyszła z pokoju. Ledwie zamknęła drzwi i postąpiła pół kroku w stronę windy, kiedy na korytarzu pojawił się policjant, który sporządzał protokół w czasie przesłuchania.

— A co pani tutaj robi? — zapytał, podchodząc do starszej pani.

— Ja? — Tym mało inteligentnym pytaniem próbowała zyskać na czasie. Kłamać nie lubiła, lecz co innego pozostawało w tej sytuacji? Miała się przyznać do szperania w rzeczach denatki? To nie wchodziło w grę.

— Tak, pani. — Mundurowy wpatrywał się wyczekująco w jej oczy.

Nie było szans, żeby odpuścić. Henryka ciężko westchnęła i w końcu odrzekła:

— Zgubiłam się.

— Zgubiła się pani? — Mężczyzna uniósł do góry brew. — I ja niby mam w to uwierzyć?

Orłowska milczała, patrząc przeproszająco na przedstawiciela prawa.

— Myślę, że wcale się pani nie zgubiła, tylko myszkowała w pokoju ofiary. Od razu uprzedzę, że będziemy tutaj zbierali odciski palców. Proszę mi wierzyć, policjanci nie są głupi, w przeciwieństwie do tego, jak nas pokazują w wielu pseudodetektywistycznych serialach. Zapytam raz jeszcze, ale dla odmiany proszę powiedzieć prawdę — nakazał ostrym tonem. — Co pani tutaj robi?

Po chwili zastanowienia emerytka przyznała ze skrucą:

— Dobrze, powiem prawdę. Chciałam pomóc panom w szukaniu mordercy tego biednego dziecka, dlatego trochę rozejrzałam się w środku.

— Pomóc nam??? W jaki niby sposób chciała nam pani pomóc? Może nie jesteśmy dość dobrze wyszkoleni, żeby samodzielnie sobie poradzić? — Zdenerwował się.

— Ależ młody człowieku! Przecież nie o to chodzi. Widzę po prostu, jacy jesteście zapracowani... — zaczęła nieśmiało.

— Wystarczy — przerwał jej bezceremonialnie. — Proszę się nie tłumaczyć, nawet nie chcę tego słuchać. — Nagle go olśniło i zapytał: — A jak pani w ogóle tam weszła?

Henryka absolutnie nie mogła wydać biednej Arletty. Dziewczyna z pewnością miałyby przez nią kłopoty.

— Nie powiem — oznajmiła stanowczo.

— Jak to pani nie powie? — Zagotowało się w nim.

— Nie powiem i już — zawzięła się. — Koniec i kropka.

— To są jakieś żarty? Jesteśmy w ukrytej kamerze? — Coraz bardziej się bulwersował, teatralnie rozglądając się dookoła w poszukiwaniu wspomnianej kamery.

PIINNNG! Wtem rozległ się dźwięk obwieszczający przyjazd windy. Ze środka wyszedł kapitan ze swoją świtą.

— Witam ponownie, pani Heniu. — Zborowski ucieszył się na widok kobiety. — Czy mogę w czymś pomóc? — zwrócił się do niej.

Zanim zdążyła otworzyć usta, przepytujący ją policjant uprzejmie oraz bezzwłocznie doniósł:

— Ta oto obywatelka weszła do pokoju ofiary, gdzie przeglądała jej rzeczy. Zapytana o powód powiedziała, że cytuję: „Chciała pomóc policji w szukaniu mordercy”. Nam pomóc!!! Wyobraża pan to sobie, panie kapitanie? Nam! Na tym nie koniec. Obywatelka odmówiła udzielenia wyjaśnień, w jaki sposób dostała się do środka.

— Pani Heniu, czy kolega mówi prawdę? — zapytał starszy stopniem mundurowy.

— Tak, panie kapitanie — przyznała odważnie, choć pełna obaw o konsekwencje. Oczyma wyobraźni widziała siebie zakutą w kajdanki w drodze do aresztu.

— Oj, pani Heniu, ładnie pani narozrabiała — zaśmiał się mężczyzna ku zaskoczeniu zebranych. — Żeby wszyscy podatnicy byli tak chętni do pomocy władzy w wyjaśnianiu przestępstw, byłoby o stokroć łatwiej oraz weselej. Jeśli chodzi o sposób, w jaki pani się tam dostała, rozumiem, że istnieje zapewne ważne i w pełni uzasadnione wytłumaczenie, dlaczego nie chce pani tego zdradzić? — odpowiedział.

— Jak najbardziej — przyznała z powagą.

— W takim razie zostawmy to.

— Ależ panie kapitanie! — policjant, który złapał Henrykę na gorącym uczynku, oburzył się. — Przecież tak nie można! Trzeba spisać protokół, przesłuchać, pobrać odciski palców. Pani Orłowska pewnie kryje mordercę, a kto wie, czy sama nie jest mordercą!

— Pani Henryko, proszę mi powiedzieć tu i teraz niczym na spowiedzi: czy zamordowała pani denatkę albo kryje mordercę? — zapytał zupełnie poważnie kapitan.

— Absolutnie nie! — Emerytka szczerze obruszyła się na te insynuacje.

— Więc mamy jasność. Chłopcze, z czasem nauczysz się nie wysnuwać pochopnych wniosków. Nic się nie martw, każdy na początku był w gorącej wodzie kąpany, ja również. Och, ile to było lat wstecz — wspomniawszy z sentymentem dawne czasy. — Niech się pani nie gniewa na kolegę, jest wspaniałym policjantem, tylko jeszcze bardzo młodym. Wróżę ci, chłopcze, wielką karierę — zapewnił pocziwy Zborowski, poklepując kolegę po plecach.

Twarz niedoświadczonego stróża prawa przybrała kolor dojrzałej truskawki smaganej gorącym czerwcowym słońcem, jednak nie powiedział ani słowa.

— Gdzieżbym śmiała się gniewać na takiego miłego pana władzę. Wykonuje swoją pracę. Ja to nie tylko rozumiem, ale i doceniam. Macie panowie taki trudny i wymagający zawód — powiedziała z podziwem w głosie Henia.

— Wspaniała z pani kobieta — pochwalił kapitan. — Przypomina mi pani moją babcie, oczywiście nie wiekiem — zapewnił gorliwie, na co Orłowska zachichotała. — Jednak trzeba ci, chłopcze, przyznać rację w kwestii odcisków palców. Pani Heniu, kolega technik weźmie je od pani.

— Z przyjemnością, choćby nawet zaraz — zgodziła się ochoczo.

Widziała pobieranie odcisków palców w filmach, ale w najśmielszych marzeniach nie sądziła, że kiedykolwiek w życiu przyjdzie jej poczuć się niczym bohaterka jednego z nich.

— Skoro wszystko mamy załatwione, panowie, zabieramy się do roboty. Tyle jeszcze przed nami pracy, że nie wiadomo, w co włożyć ręce. Pani Heniu, raz jeszcze życzę miłego dnia i do zobaczenia — tymi słowami Zborowski pożegnał się i wszedł do pokoju Róży razem z podwładnymi.

Skonsternowany młody policjant postać jeszcze dłuższą chwilę w tym samym miejscu. Patrzył z założonymi na piersiach rękoma i wyrazem niezrozumienia na twarzy, jak od podekscytowanej Orłowskiej pobierają odciski palców. Usilnie starał się zrozumieć, co zaszło tu przed momentem. Ostatecznie odwrócił się na pięcie i zabrał do działań właściwych dla mundurowego. Nie bez oporów zaakceptował słabość kapitana do Henryki, miał jednak na tyle oleju w głowie, żeby zostawić ją w spokoju. Słyszał pogłoski, że z kapitanem nie należy zadzierać. Choć empatyczny i wyrozumiały, kiedy zaistniała potrzeba, potrafił być również groźnym i surowym sędzią.

ROZDZIAŁ 8

Orłowska z ubrudzonymi czarnym tuszem opuszkami wróciła do pokoju. Uśmiechała się, dyskretnie zerkając na palce, które dowodziły jej udziału w poważnym śledztwie.

Wózek z jedzeniem zostawiony przez Arlettę niezbitcie dowodził, że kotek sam się obsłużył. Szczęśliwie tym razem udało mu się posilić bez powodowania nieodwracalnych strat. Wystarczyło podnieść z podłogi kilka kąsków i ułożyć je na talerzykach, żeby na nowo przywrócić porządek.

Henryka od razu zabrała się za zabezpieczenie resztek, które przydadzą się później. Ku jej niemałemu zaskoczeniu spośród wytwornych i pysznie wyglądających potraw burasek rozsmakował się nie w pachnącej szynce, ociekającym apetycznie lśniąącym tłuszczem boczkowi, chudej wędlinie z piersi kurczaka, śmietanie kremówce czy krwistej wątróbce, ale w twarożku ze szczypiorkiem. Miseczka była wylizana do czysta. Ona sama miała chrapkę na ten przysmak, ale w zaistniałej sytuacji nie pozostawało nic innego, jak obejść się smakiem.

Ucieszona Orłowska skonstatowała, że zwierzątko nie połakomiło się na pyszne herbatniki, które kelner najwidoczniej dołożył do kociego prowiantu z myślą o starszej pani. Przezornie od razu schowała je do szuflady. Będzie jak znalazł do poobiedniej kawki — pomyślała z radością. Kot skoczył na równe nogi, bacznie obserwując każdy ruch wybawczynie kręcącej się w okolicy żywności.

Kiedy z trudem udało jej się upchnąć wszystko w niewielkiej lodówce-minibarku, wytoczyła pusty wózek na korytarz i wygodnie rozsiadła się w fotelu. Dachowiec jednym susem wskoczył jej na kolana, wymościł sobie miejsce i ułożył się do snu.

— Co ja mam z tobą zrobić, maluchu? — zapytała, drapiąc go pod bródką. W końcu rzekła: — Na razie zostaniesz ze mną, będzie nam milej we dwoje. Na ostateczne decyzje przyjdzie czas później. Jedno jest pewne: każdy musi mieć imię i tobie też się ono należy. Tylko jak nazywać takiego słodziutkiego, sprytnego kotka? — W tej chwili uświadomiła sobie, że w gruncie rzeczy nie wie, jakiej płci jest jej towarzyszką bądź towarzysz. — Nazwiemy cię... Cziz. — Wybrała bezpieczną opcję doskonale pasującą do kotów obu płci. Nawet Orłowska, która nigdy nie uczyła się języka angielskiego, знаła tłumaczenie tak podstawowego słowa. Gorzej, gdyby trzeba je było zapisać, ale sytuacja tego nie wymagała, więc po co niepotrzebnie zaprzętać sobie głowę?

Henryka nie bez powodu nadała kotu imię Cziz, a ściślej ujmując: powody były cztery. Przede wszystkim podkreślało ono słabość buraska do nabiału. Poza tym, w jej opinii, znalezienie kota w prawie brytyjskim ośrodku zobowiązywało. Zwierzak musiał się nazywać tak, żeby oddawało to charakter jego dotychczasowego miejsca zamieszkania, zatem polskie imiona Ser, Twarożek czy Masełko odpadały. Po trzecie, Cziz kojarzyło się jej z komendą, na którą w amerykańskich filmach ludzie uśmiechali się do zdjęcia, co idealnie pasowało do malca, na którego widok (nie wspominając o nieopisanej przyjemności głaskania) usta same wykrzywiały się w błogim uśmiechu. Ostatni, w rzeczywistości decydujący powód takiego, a nie innego wyboru, do którego Orłowska nie chciała się przyznać nawet sama przed sobą, miał związek z Biskoptem (dla przyjaciół Bibusiem) — świnką morską czekającą na nią w domu z utęsknieniem. Sympatia, jaką emerytka zaczynała darzyć kotka, nieuchronnie przybliżała ją do przygarnięcia go na zawsze. Jak dotąd, pomimo wielokrotnego nagabywania przez dzieci sąsiadki, udawało jej się wymówić od przyjęcia pod swój dach dodatkowego zwierzęcia. W tym miejscu trzeba nadmienić, że wymagało to nie lada stanowczości i wytrwałości w postanowieniu. Rzeczne dzieciaki należały do jednostek wysoce zdeterminowanych. Szacowna mamusia absolutnie wykluczała możliwość powiększenia domowej trzódki, na którą poza rodzicami i ukochanym potomstwem składał się: lubujący się w ujadaniu o każdej porze dnia i nocy kundelek, dwa wiecznie tłukące się koty, wyliniąta świnka morska, trzy kanarki, papużki nierozłączki, uciekający z klatki przynajmniej raz w tygodniu myszokoczek, ślimak w słoju, patyczak, skrobiący po nocach w ścianę żółw i pięćdziesięciolitrowe akwarium pełne rybek. Wobec takiego stanu rzeczy maluchom o wielkich sercach do wszelkiej maści bożych stworzonek pozostawało wciskać znalezione faunę innym znanym sobie osobom. Henryka, jako jednostka zamieszkująca lokal o dużej powierzchni i co najważniejsze: ciesząca się powszechnie opinią osoby o złotym sercu, nadawała się wprost idealnie na opiekunkę przybłąd na gwałt potrzebujących

domu. Nie zamierzała ona jednak zaburzać spokoju milusiego Biszkopta dostarczaniem mu stresów, czyli dodatkowych lokatorów. Jednak tym razem argument w postaci wielkookiego, pociesznego malca, już całkiem nieźle wkupionego w jej łaski, mógł okazać się nie do odparcia. W takiej sytuacji zabawnie byłoby mieć u boku futrzastych przyjaciół, których imiona pasowałyby do siebie w zakresie przynależności do kategorii spożywczej. Póki jednak była taka możliwość, pani Henia odsuwała od siebie myśl o powiększeniu swojej „rodziny”. Przechodziły jej po plecach w pełni uzasadnione ciarki na myśl o tym, w jaki sposób zaborczy Bibuś zareaguje na nowe towarzystwo. Kiedy w ubiegłym roku zgodziła się na czas wyjazdu przyjaciółki przez pięć dób zająć się jej pieskiem, świnka urządziła strajk głodowy. Nie pomogły prośby, groźby ani nawet podsuwanie pod sam pyszczek smakołyków, które w innych okolicznościach zostałyby spałaszowane z głośnym mlaskaniem. W odpowiedzi na wszelkie działania podejmowane przez zdesperowaną opiekunkę obrażony prosiaczek odwracał się do niej zadkiem. W obawie o stan zdrowia ważącego półtora kilograma Biszkopta przejęta Henryka po dwóch dniach skapitulowała i przekazała psa sąsiadce.

Problem imienia dla kota, czyli sprawa niecierpiąca zwłoki, został rozwiązany. Kobieta mogła w spokoju przemyśleć sprawę morderstwa Róży. Nie potrzeba było dużego wysiłku, żeby w umyśle bystrej emerytki zaczął się klarować plan kolejnych działań.

Przeszukanie pokoju Róży miała za sobą. Znała również godzinę zgonu. Należało jeszcze sprawdzić, czy winnego szukać wśród osób obecnych w tym czasie w pensjonacie, czy może raczej wśród ludzi z zewnątrz. Koniecznie musiała również ustalić, czy zabrane z miejsca zbrodni przedmioty mają związek ze śmiercią dziewczyny. Guzikiem zajęła się Arletta, pozostała kartka z (prawdopodobnie) numerem telefonu. Henryka razem z komórką wyjęła z kieszeni swetra oderwany róg krzyżówki, na który przezornie przepisała ciąg cyfr, zanim oddała pierwotny dowód policji. Mrużąc oczy pozbawione teraz okularów do czytania, wybrała właściwy numer i przycisnęła symbol zielonej słuchawki.

— Izba lekarska, słucham — zapytał głos po drugiej stronie.

— Przepraszam, pomyłka — odpowiedziała Orłowska i rozłączyła się.

Kolejny ślepy zaułek — pomyślała, na powrót chowając karteluszek. Skoro dziewczyna chciała szkolić się na rehabilitanta, wydawało się naturalne, że zbierała wszelkie informacje w tym temacie, poczynając od broszurek i folderów uczelni, kończąc (może trochę nazbyt nadgorliwie) na izbie lekarskiej. Starsza pani odkreśliła grubą kreską w swojej głowie wykonane zadanie i ochoczo zabrała się do następnego. Z czułością przełożyła Cziza na łóżko, szczelnie się opatulila, założyła na ramię torebkę, do której włożyła absolutnie konieczny na każdą okazję aparat fotograficzny, i wyruszyła na przechadzkę.

Po pensjonacie kręcili się policjanci. Henrykę kusilo, żeby podpytać ich, czy dowiedzieli się czegoś więcej o zabójstwie, ale ostatecznie powstrzymała się. Lepiej dać im więcej czasu, w końcu nie są cudotwórcami. Uznała, że dopiero kiedy zbiorą wystarczająco dużo informacji, będzie mogła co nieco z nich wyciągnąć. Liczyła, że jeśli jej się poszczęści, to dzięki odegraniu roli niepozornej i zupełnie niegroźnej emerytki osłabi czujność stróżów prawa, a wtedy nieświadomi podstępny uchylą rąbka tajemnicy. Nastawiona optymistycznie do pomysłu, wyszła z budynku.

W nocy spadło kilkanaście centymetrów śniegu i gdzie okiem sięgnąć bieleł się zimny, połyskujący w słońcu puch. Pomimo nadzwyczajnej sytuacji pensjonat działał w takim samym trybie jak co dzień, dlatego ścieżki i podjazd były odśnieżone. Orłowska bez problemu okrążyła budynek i znalazła się przy pokrytym śniegiem trawniku nieopodal okna gabinetu Bobrownik. Trzeba było sprawdzić, czy nie ma na nim śladów stóp: morderca z powodzeniem mógł, omijając monitoring, dostać się lub uciec tą drogą. Kobiecie wystarczyło jedno spojrzenie — nienaruszona gruba śnieżna pokrywa nie pozostawiała złudzeń, że hipoteza nie ma poparcia w dowodach. Ten, kto zabił Różę, musiał wejść i wyjść drzwiami, a nie przez okno — pomyślała. Na wszelki wypadek dokładnie, klatka po klatce, sfotografowała cyfrowką każdy centymetr trawnika.

— Widzę, że interesuje się pani fotografią. — Usłyszała za sobą męski głos.

— Tak jakby — przytaknęła, odwracając się.

— Jestem Mietek. — Z wyciągniętą przed siebie dłonią w geście powitania niespiesznie podszedł

do niej siwobrody amator frytek z keczupem.

— Henia — odpowiedziała, po czym silnie uścisnęli sobie ręce.

— Pierwszy raz tutaj?

— Tak.

— To pewnie nie widziałaś jeszcze tych starych dębów od strony, gdzie teraz trwa budowa?

— Nie, nie widziałam.

— Obowiązkowo musisz zobaczyć! To jest coś, co warto sfotografować. Chodźmy, wszystko pokażę. Znam to miejsce niczym własną kieszeń, ze mną, Heniu, nie zginiesz — zapewnił nowo poznany i nie czekając na odpowiedź, ruszył przed siebie.

Orłowskiej nie pozostało nic innego, jak podążyć za nim.

Mieczysław okazał się z gatunku tych osób, które lubią dużo mówić. Na szczęście dla słuchaczy to, co miał do powiedzenia, zawsze było ciekawe i zabawne. W krótkim czasie mężczyzna streścił historię swojego życia, zaprezentował w samych superlatywach postać zmarłej żony, omówił warte obejrzenia w okolicy obiekty i nakreślił historię pensjonatu. Wszystko przedstawił w barwny sposób, więc Henryka słuchała go z niemałą przyjemnością.

Kiedy przytaczał historię wiekowej piwniczki na wino znajdującej się na tyłach pensjonatu, zapytała z zaciekawieniem:

— Czy jest ona usytuowana gdzieś obok fontanny?

— Fontanny? — Zatrzymał się w pół kroku. — Tu nie ma żadnej fontanny.

— Ależ jest, z tyłu budynku — obstawała przy swoim. Doskonale pamiętała słowa recepcjonisty, który zachwalał walory estetyczne miejsca parkingowego wybranego specjalnie z myślą o niej.

— Hm... mówisz, Heniu, fontanna? — Mietek w zamyśleniu pocierał dłonią brodę. — Przyjeżdżam tutaj od tylu lat, zauważyłbym fontannę. Ale chwilka, chwileczka, moment, momencik! Jasne, ta moja skleroza — zaśmiał się, uderzając dłonią w czoło, i wskazał palcem na okazałych rozmiarów bezkształtny twór z czarnej folii owinięty sznurkiem, który był doskonale widoczny ze stojącego na tyłach pensjonatu opla Henryki. — Musi ci chodzić o to. Skąd wiedziałaś, że tu w ogóle mają fontannę?

— Pan z recepcji mi powiedział, podobno jest piękna.

— Piękna? Hm... zależy, co się komu podoba. Jak dla mnie nic specjalnego, jeśli dobrze pamiętam, były tam jakieś rybki z kamienia i inne fiu-bździu, które sika wodą na wszystkie strony. Będzie z pięć lat, od kiedy zabezpieczyli ją na okoliczność spodziewanych wielkich mrozów. Od tamtego czasu tak sobie stoi i czeka, aż ktoś ją w końcu odpakuje. Mają kupę roboty i pewnie brakło rąk, żeby się tym zająć. Teraz z kolei ubył im pracownika przez śmierć Róży. Słyszałaś, Heniu, o sprawie?

— Niestety tak, nawet więcej, na własne oczy widziałam zwłoki. — Wzdrygnęła się.

— Taka młoda pannica, czysta, szybka, pracowita. Jeszcze dobrze nie weszła do pokoju, a zaraz wszystko było wyglancowane na błysk.

— Tylko trochę jakby... wścibska — powiedziała Orłowska, badawczo przyglądając się Mieczysławowi.

— Wścibska, mówisz... — zawiesił głos, podkręcił węża. W końcu przyznał niechętnie: — Może trochę. — Zerknął na zegarek i aż podskoczył. — O ludziska, jak późno! Tośmy się nieźle zagadali. My tu stoimy na mrozie, a w stołówce od pięciu minut serwują ciepły obiad. Heniu, wracamy, bo nas ominą pyszności. Zdradzę ci, że pani Czesia z kuchni obiecała mi na dzisiaj zrobić goloneczkę w piwie. Do tego będzie wiejski chleb i musztarda chrzanowa. Kucharka z niej prima sort, każda potrawa, która wychodzi spod jej rączki, to delikatesy!

Wizja rarytasów podziałała mobilizująco na Miecicia i w drodze powrotnej narzucił takie tempo, że nawet bardzo sprawnej fizycznie Orłowskiej trudno było za nim nadążyć. Rozstali się w foyer — Mietek potrzebował wziąć coś z pokoju, Henia udała się prosto do restauracji.

Kucharka okazała się osobą słowną, gdyż wśród zaserwowanego jedzenia pyszniła się cała góra apetycznie wyglądającej golonki. Emerytka uszczknęła co nieco tego smakołyku, który obficie polala sosem, i z apetytem zabrała się do konsumpcji. Niestety, ku niezadowoleniu Henryki nie przyszło jej

długo raczyć się posiłkiem w samotności. Ledwie kilka razy uniosła do ust widelec, a przy stoliku zmaterializował się kelner.

— Czy wszystko pani smakuje? — zapytał, poprawiając wypielęgnowane włosy, podobnie jak poprzednio związane w kucyk.

— Tak, dziękuję — odpowiedziała i wróciła do jedzenia.

Mateusz najwidoczniej nie zamierzał odejść, niezrażony brakiem zainteresowania swoją osobą nadal tkwił w miejscu.

— Trzeba przyznać, że mamy świetną kucharkę — zagadywał.

— Tak, to prawda — przytaknęła starsza pani, przeżuując pieczone ziemniaczki.

Akurat ten chłopak nie przypadł jej do gustu. Jako osoba dobrze wychowana i uprzejma starała się nie dać mu tego odczuć, ale też nie zamierzała udawać, że ma ochotę na kontynuowanie konwersacji.

— A pokój? Podoba się pani pokój? Jeśli nie, jestem w stanie załatwić lepszy. — Kelner nie ustępował w próbach wciągnięcia Orłowskiej w rozmowę.

— Nie, dziękuję. Naprawdę wszystko jest doskonale, zarówno pokój, jak i jedzenie — powiedziała nieco już zirytowana niechcianym towarzystwem.

— Nasze Yorkshire jest wyjątkowym miejscem. Z przyjemnością oprowadzę panią po terenie, pokażę nieznanne innym gościom zakamarki. Od piętnastej mam przerwę, więc jeśli i pani by wtedy pasowało, to ja jestem chętny.

Henryka odłożyła na bok sztuce i przyjrzała się podejrzliwie chłopakowi, mrużąc powieki. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że nie powinna wierzyć w jego bezinteresowność. O co mogło mu chodzić? Zagadka nie wydawała się trudna do rozwikłania. Ceny w pensjonacie sprawiały, że ściągali tu jedynie ludzie majątni. Ze względu na dzielącą ich różnicę wieku od razu odrzuciła możliwość, jakoby była podrywana przez młodego, przystojnego kelnera. Zapewne liczył, że jeśli odpowiednio przypodoba się starszej pani, ta w dowód wdzięczności za okazane zainteresowanie i opiekę zapisze mu bardziej lub mniej pokaźną sumkę w testamencie. Twoje niedoczekanie — zaśmiała się w duchu. Szkoda było jednak nie skorzystać z nadarzającej się okazji przepytania chłopaka, a nuż wiedział coś w sprawie morderstwa Róży.

— Faktycznie piękne miejsce, jestem nim wprost oczarowana. Tylko niestety klimat zepsuła śmierć waszej pokojówki.

— Och tak, nasza kochana Różyczka. — Teatralnie załamał ręce. — Myślę, że tym bardziej w zaistniałej sytuacji spacer dobrze pani robi. Albo nawet lepiej! Zabiorę panią na przejażdżkę po okolicy. Całkiem blisko jest jedna taka baszta...

Henryka bezceremonialnie przerwała mu w pół zdania:

— Tak, baszta, to z pewnością bardzo ciekawe — zbyła go, po czym zapytała: — A dobrze znał pan Różę?

— Czy dobrze? — Uwadze Orłowskiej nie umknęło, że chłopakowi niespecjalnie przypadła do gustu zmiana tematu.

— Tak, dobrze się znaliście? — dopytywała.

— Nie była u nas długo, ale zdążyliśmy się zaprzyjaźnić. Zawsze służyłem jej radą i pomocą. Nawet jeśli mam natłok własnych obowiązków i tak nie zostawiam nikogo w potrzebie — reklamował się. — Będzie nam, a szczególnie mnie, jej bardzo brakowało. Widzę, że przejęła się pani losem Róży. Może zaparzę pani rumianku?

— To bardzo miłe z pańskiej strony, ale myślę, że obejdę się bez tego. A nie było tutaj z nią kłopotów? Obiło mi się o uszy, że się państwo wczoraj pokłóciliście.

Mateusz starał się zachować kamienny wyraz twarzy, ale po słowach Henryki wyraźnie drgnęła mu prawa powieka.

— Ja miałbym się kłócić z naszą Różyczką? Niemożliwe. Bardzo się zawsze lubiliśmy. To była taka kochana istotka, delikatna i wrażliwa. Ktoś pani naopowiadał, za przeproszeniem, strasznych bzdur — zaśmiał się nerwowo.

— Tyle że... wstyd przyznać, ale troszkę skłamałam, bo ja... — powiedziała przymilnym

głosikiem, udając mało rozgarniętą osóbkę — ...na własne oczy widziałam, jak pan ją wczoraj szarpał za rękę i groził jej.

— Och, to musi być pomyłka, z pewnością chodziło o kogoś innego, bardzo podobnego do mnie — szedł w zaparte. — Wracając do tematu wycieczki, piętnasta będzie dla pani odpowiednia?

Henryka nie widziała szansy, żeby coś jeszcze dało się z niego wydusić. Trafił jej się twardy zawodnik, dlatego długo nie myśląc, odpowiedziała:

— Doskonała. A wie pan, gdzie tutaj serwują najlepsze owoce morza?

— Znam jedno takie miejsce, jest bardzo blisko dworku. — Zaświeciły mu się oczy, w końcu sprawa zaczęła iść po jego myśli.

— Moglibyśmy ich skosztować. Mam ochotę na homara z ostrygami, a do tego oczywiście szampan, ale nie byle jaki zza wschodniej granicy, tylko prawdziwy z Szampanii. Na deser truskawki w czekoladzie, w wykwintnej restauracji mają je pewnie również poza sezonem. Jak szaleć, to szaleć! — roześmiała się głośno. — I chcę, żeby na stołach stały wielkie świeczniki i wazy z bukietami świeżych róż, a w tle muzyk grał na żywo na fortepianie albo pianinie.

— Pani życzenie jest dla mnie rozkazem — powiedział szarmancko.

— Ale zaskoczenie! — Klasnęła w ręce z uciechy, dzielnie odgrywając swoją rolę. — Nawet nie sądziłam, że spotka mnie takie miłe zaproszenie. Dla mnie, biednej wdowy, która wydała oszczędności całego swojego życia na ten wyjazd, to wielkie wydarzenie. Żeby taki wspaniały mężczyzna zapraszał mnie, starą kobietę bez grosza przy duszy, na wycieczkę, na dokładkę z wykwintnym poczęstunkiem! W życiu bym się nie spodziewała! Dzięki pańskiej hojności po raz pierwszy w życiu będę miała okazję spróbować egzotycznych potraw, które widziałam w telewizji. Żałuję, że nie mogę zrewanżować się niczym poza dobrym słowem.

Orłowska nie należała do osób złośliwych, ale tym razem nie mogła się powstrzymać, żeby nie zobaczyć miny kelnera na wieść, że spodziewana dojna krowa okazała się biedna niczym mysz kościelna. Zapewne już w duchu planował, na co wyda schedę po Heni, a tu taka niemiła niespodzianka. Nie dość, że nie mógł liczyć na zysk, to jeszcze czekał go niemały wydatek na lekko szurniętą staruszkę. Mateusz absolutnie nie mógł do tego dopuścić.

— Ja również z niecierpliwością czekam na naszą wycieczkę — stwierdził nieszczerze — tyle że właśnie sobie uświadomiłem, że przecież dzisiaj o szesnastej mam BARDZO ważne spotkanie. Na śmierć zapomniałem, zupełnie wypadło mi z głowy! — Delikatnie wyswobodził dłoni z silnego uścisku wdzięcznej kobiety. — Przepraszam, ale muszę wracać do pracy, choć tak miło się z panią rozmawia.

— Zatem może jutro? — zapytała, pozorując, że naprawdę bardzo na to liczy.

— Postaram się — powiedział, szybko się ewakuując.

Emerytka popatrzyła na oddalającego się w pośpiechu kelnera. Z satysfakcją pomyślała o odegranej przez siebie roli, która bezsprzecznie zasługiwała na Srebrnego Niedźwiedzia przyznawanego na festiwalu w Berlinie dla najlepszej aktorki.

Słusznie posilona Henryka opuściła restaurację, skąd skierowała się do recepcji. Najwidoczniej pan Zygmunt gdzieś się oddalił, ponieważ nikogo nie było za kontuarem. Pod ladą kusząco połyskiwała w świetle zamknięta księga w skórzanej oprawie, do której wpisywano dane gości podczas meldowania. Orłowska dyskretnie rozejrzała się dookoła, w zasięgu wzroku nie dostrzegła żywej duszy. Szybko wyciągnęła rękę i przerzuciła zapisane strony. Miała fotograficzną pamięć, więc jedno spojrzenie pozwalało jej wiele zapamiętać. Trudność polegała jednak na tym, że nie bardzo wiedziała, czego szuka, no ale skoro nadarzała się okazja do przejrzenia księgi, grzechem było z niej nie skorzystać, nawet jeśli nie miałyby to żadnego sensu.

Przy imieniu i nazwisku każdego z gości wpisane były numer zajmowanego pokoju, PESEL, adres zameldowania i data planowanego pobytu oraz podpis delikwenta. Ze względu na obecnie niewielkie obłożenie w pensjonacie nie było tego dużo. Właśnie skończyła czytać ostatnią rubrykę, kiedy usłyszała zbliżające się kroki. Zatrzasnęła księgę i jak gdyby nigdy nic oparła się o kontuar. To recepcjonista wracał z kuchni, gdzie udał się po filiżankę zielonej herbaty z nutką opuncji. Urzekający aromat egzotycznej rośliny wypełnił pomieszczenie.

— Mam nadzieję, że szanowna pani długo na mnie nie czekała — rzekł, kłaniając się w pas. Wszedł na swoje stanowisko pracy i delikatnie postawił na blacie porcelanową, ręcznie malowaną, mikroskopijną filiżankę. — Lubię po obiedzie zaparzyć sobie zieloną herbatę. Jest nie tylko smaczna, ale i zdrowa, dobrze robi na trawienie. Cała sztuka parzenia polega na doborze właściwej temperatury wody. Błędem jest zalewanie liści wrzątkiem. Wodę trzeba ostudzić do sześćdziesięciu, maksymalnie osiemdziesięciu stopni Celsjusza.

— Zapamiętam — powiedziała kobieta.

Pan Zygmunt wrzucił do napoju kostkę cukru trzcinowego i delikatnie zamieszał, następnie ujął filiżankę za uszko i upił niewielki łyk.

— Doskonała. — Zachwycił się. — W czym mogę pomóc szanownej pani? — zapytał po chwili, odstawiając naczynie na spodeczek.

Henryka była przygotowana na takie pytanie. Podczas zajadania się soczystą golonką obmyśliła sposób przeprowadzenia rozmowy.

— Czy ma pan na zbyciu mapę okolicy?

— Ależ oczywiście. Służę pomocą, natychmiast zabieram się za szukanie. Z pewnością coś się znajdzie. — Po tych słowach otworzył szufladę i zaczął przeglądać jej zawartość. Po chwili wręczył emerytce poskładany arkusz. — Proszę uprzejmie.

— Dziękuję! — odparła ucieszona Henia. Założyła na nos okulary, rozłożyła mapę i zaczęła się jej przyglądać.

Recepcjonista zerkał z zainteresowaniem na Orłowską, sącząc herbatkę. W jednej dłoni trzymał spodeczek, a w drugiej filiżankę. Oczywiście mały palec miał wyprostowany.

— Czy mogę w czymś jeszcze pomóc? — zapytał, widząc, że kobieta nie zamierza odejść.

— Bo widzi pan... trochę krępuję się przyznać, ale chciałam podpytać... czy to bezpieczne, żebym sama jedna chodziła po okolicy?

— Ależ jak najbardziej! Nasze Yorkshire jest zlokalizowane w spokojnym miejscu, gdzie praktycznie nie ma przestępczości.

— Naprawdę? Wie pan, bo ja się wystraszyłam po tej historii ze śmiercią Róży, pokojówki. W pensjonacie nie ma żadnej ochrony! Strach pomyśleć, że ktoś obcy bez problemu wszedł rano do budynku i ją zabił, a później bezkarnie wyszedł. Skoro taka rzecz zdarzyła się w ekskluzywnym ośrodku wypoczynkowym, to co musi się dziać poza nim! — Umiejętnie udąla wielkie zatrwożenie. Uczęszczanie na zajęcia amatorskiego teatru w pobliskim domu kultury przynosiło owoce.

Recepcjonista ledwie zauważalnie poczerwieniał na twarzy. Zbulwersowany podważaniem jego kompetencji przez Orłowską nie miał oporów przed udzieleniem wyczerpującej odpowiedzi, w końcu bronił swojego dobrego imienia. Inna rzecz, że jako wieloletni pracownik rozlicznych hoteli był oswojony z najróżniejszą klientelą. Nieobce były mu więc starsze panie, które lubiły wiedzieć absolutnie wszystko na każdy temat. Mężczyzna błędnie sądził, że przesłuchanie, które właśnie prowadzi Henryka, jest przejawem zwykłego wścibstwa. Uznał, że im szybciej zaspokoi ciekawość gościa, tym szybciej się go pozbędzie.

— Ależ szanowna pani, nikt z zewnątrz tutaj nie wtargnął! Taka sytuacja absolutnie nie mogła mieć i nie miała miejsca! Ja we własnej osobie jestem odpowiedzialny za to, żeby obcy nie wchodzili do budynku, i proszę mi wierzyć, że należycie wypełniam swoje obowiązki — rzekł nastroszonym tonem. — W dniu dzisiejszym rozpocząłem zmianę o godzinie piątej i zapewniam, że od tego czasu do Yorkshire weszli rano tylko kucharka około szóstej, kelner w pół do siódmej i właścicielka przed siódmą, a do przyjazdu policji nikt nie wychodził. Ręczę za to swoim słowem! — Na dowód uderzył się pięścią w pierś.

— Czy na pewno? Przecież ktoś mógł minąć pana niepostrzeżenie, no i z pewnością jest więcej niż jedno wejście do budynku — drażyła Orłowska.

— Ależ na pewno, wiem, co mówię. — Pan Zygmunt szybko odzyskał zachwianą równowagę i uśmiechnął się uspokajająco. — Nie ma powodu do niepokoju. Osobiście, minuta po minucie, razem z przedstawicielem władz obejrzelśmy nagrania z monitoringu zamontowanego przy obu wejściach.

— O, nie wiedziałam, że tutaj są kamery! — Henia rozejrzała się po suficie w poszukiwaniu kolejnych, jednak niczego nie zauważyła. — A czy poza tymi przy wejściach są również inne? — nie ustawała w wypytywaniu. Nieświadoma, że mężczyzna ma ją za wścibską starszą panią, kuła żelazo póki gorące, nie siląc się na subtelności. W każdej chwili recepcjonista mógł stracić chęć do współpracy.

— Nie ma takiej potrzeby. Nasz pensjonat jest porządnym miejscem, gdzie nie szpieguje się gości. Dbamy o państwa prywatność. Monitoring jest nad drzwiami jedynie ze względu na wymóg firmy ubezpieczeniowej.

— Ojej — Henryka dla odmiany tym razem udała przerażenie — zatem mordercą jest ktoś z obecnych! Albo z obsługi, albo z gości.

— Co też pani mówi? — Pracownik hoteliku zbulwersował się na takie przypuszczenie. — Cóż to znowu za niedorzeczność!

— Proszę się przez chwilę zastanowić. Skoro nikt obcy rano nie wchodził ani nie wychodził, a faktem jest, że pokojówka została zabita, jaką widzi pan inną możliwość?

Mężczyzna zmarszczył brwi i zamarł z filiżanką i spodeczkiem w dłoniach.

— Nie myślałem o tym. Hm... ale to przecież nieprawdopodobne — Zaskoczony odkryciem usiadł.

— Czy w nocy i nad ranem wszyscy goście byli na terenie Yorkshire?

— Tak, wszyscy. — Wydawało się, że pan Zygmunt jest w szoku.

— Może uda nam się ustalić, kim mógł być zabójca. Proszę pomyśleć, czy któryś z gości mijał pana rano? Musiałby go pan widzieć koło schodów albo windy. Chyba nie da się przejść z pokoi niezauważonym z pańskiego miejsca?

— Nie da się. — Choć recepcjonista wyraźnie był myślami gdzieś daleko, odpowiedź nie sprawiła mu trudności. — Czy ktoś tędy szedł? — Zadumał się. W końcu przemówił zdecydowanym tonem: — Jestem w stu procentach pewien, że dziś przed godziną siódmą nikt nie szedł ani w stronę gabinetu właścicielki, ani z powrotem. Pierwsza była pani Zofia. Kelner wraz z kucharką weszli drzwiami na tyłach budynku.

— W takim razie o której godzinie Róża zeszła ze swojego pokoju na dół? — zdziwiła się Orłowska.

— Niestety, nie potrafię udzielić odpowiedzi na zadane pytanie — rozłożył ręce — nie widziałem jej.

— Jak to? — Tym razem to Henryka była zaskoczona. — Przecież musiała schodzić z góry i przechodzić przez foyer.

— Hm... rzeczywiście dziwne. — Mężczyzna raz po raz odtwarzał w pamięci poranek. — Z pewnością nie widziałem jej w dniu dzisiejszym. Rano mijala mnie tylko pani Zofia, bo Mateusz i pani Czesława wchodzili wejściem dla personelu. Może Róża zeszła przed godziną piątą rano, zanim rozpocząłem pracę?

— Wcześniej też schodziła przed piątą?

— Nie, nigdy. Była skrupulatną osobą, codziennie szła do restauracji między siódmą trzydzieści a za piętnaście siódma.

— Może pan... przysnął i jej nie zauważył? — nieśmiało zapytała Orłowska, gdyż wspomniała swoją rozmowę z Arlettą. Jeśli Róża miała rację i panu Zygmuntowi zdarzały się drzemki za kontuarem, to może i dziś go zmogło.

Jeśli tak było w istocie... Wtedy któryś z gości mógł niepostrzeżenie minąć recepcjonistę, zabić pokojówkę i niezauważony wrócić do pokoju... — pomyślała starsza pani.

Najwidoczniej trafiła w czuły punkt, ponieważ mężczyzna obraził się nie na żarty. Wytrącony z równowagi przez chwilę zapomniał o hołubionej przez siebie zasadzie, że bez względu na okoliczności gościom należy zawsze odpowiadać uprzejmie i z uśmiechem na twarzy.

— Szanowna pani, co też pani mówi! Ja miałbym spać w miejscu pracy?! Wypraszam sobie takie bezpodstawne oskarżenia. Zupełnie niczym policjanci — burknął.

— Och! Bardzo przepraszam, nie chciałam pana urazić. Osądziłam pana moją miarą, z racji

wieku zdarza mi się czasem przysnąć. No, ale gdzieżby taki dorodny mężczyzna w kwiecie wieku miał drzemać niczym starowinka! Toż to absurd, ma pan zupełną rację. — Połechtala jego próżność.

Komplement udobruchał pana Zygmunta, który doceniony przez Henrykę wypiął dumnie pierś i na nowo przyjął profesjonalną pozę.

— Szanowna pani, proszę się nie przejmować. Nie uraziła mnie pani. Wszyscy czasem się mylimy, nic wielkiego.

— Całe szczęście — powiedziała zadowolona z siebie. Po zażegnaniu chwilowego kryzysu zmieniła temat: — A co pan mówił o policji? Pana też przesłuchiwali?

— Niech pani sobie wyobrazi, że tak! Zupełnie niczym jakiegoś przestępcę! Insynuowali, że mogłem spać na swojej zmianie i nie widziałem, kiedy ktoś schodził z góry. Bezcelność! Lepiej zajęliby się szukaniem winnego niż oskarżaniem porządnych obywateli. Róża zasługuje na to, żeby sprawiedliwości stało się zadość. To była rzetelna i sumienna pokojówka, jakie rzadko się trafiają. Na jej zmianie zawsze lśniło. I nie rozglądała się za mężczyznami. Ech, gdybyśmy mieli tylko takich pracowników... — Rozmarzył się. — Róża była grzeczna dla gości i taka praworzadna, w przeciwieństwie do tej, proszę mi wybaczyć nieeleganckie określenie, zgrai.

Henryka słuchała zachwytów recepcjonisty na temat martwej pokojówki. Pan Zygmunt wydawał się mówić szczerze. Orłowska nie potrafiła rozsądzić, czy jest tak wyśmienitym aktorem, czy może nie był świadom zarzutów wysuwanych pod jego adresem przez dziewczynę. Rozważania postanowiła zostawić na później. Wykorzystując sposobność popchnięcia swego śledztwa, zapytała cicho, mimowolnie przysuwając głowę bliżej niego:

— Zgrai? Kogo pan ma na myśli.

— Ależ czy nie jest oczywistym, o kim myślę? — Był autentycznie zaskoczony, lecz natychmiast pospieszył z wyjaśnieniem: — Nie chciałbym się wdawać w szczegóły, wystarczy, że podam kilka swoich spostrzeżeń. Arletta w mojej ocenie nie słynie z nadmiernego zamięłowania do czystości. Zauważyłem, że nie lubi sobie brudzić wypielęgowanych rączek pracą. Z kolei kucharka, pani Czesława, choć nie przeczę, że gotuje wybornie, to ma o sobie zbyt wysokie mniemanie. Prosta kobieta ze wsi, a myśli, że zna życie najlepiej ze wszystkich ludzi na całym globie. Tylko by plotkowała, że nawet nie wspomnę o tej pozał się Boże pospolitej mowie... Za grosz dbałości o poprawność językową! Na koniec kelner, który ma się chyba za następcę Don Juana. Tyle i ani słowa więcej nie powiem. Szanowna pani, oni myślą, że ja nie dostrzegam nieprawości z ich strony. Mówią za moimi plecami, że udaję wielkiego pana. Słyszałem, jak śmiali się, cytując: „Zygmunt bułkĘ przez bibułkĘ” — przedrzeźniał jednego ze współpracowników. — Nie robi to na mnie żadnego wrażenia. Doskonale wiem, że jest to po prostu przejaw zazdrości. Brak im oglady, ot co! Dobre maniery wynosi się z domu. Oczywiście można się uczyć *savoir-vivre*'u, jednak pewnych rzeczy nie da się wtórnie wyuczyć. — Zygmunt puszył się niczym paw, popijając chłodną już herbatkę.

— A szefowa? — przerwała mu przydługi wywód Henryka.

— Szefowa? — Potrzebował chwili, żeby wrócić na ziemię. — Szefowa jest porządną osobą. Zadbala o dworek, potraktowała ten zabytek z należnym mu szacunkiem i zrobiła z niego porządny pensjonat. Pracowałem w najlepszych hotelach, gdzie pani Bobrownik mnie po raz pierwszy spotkała. Od razu wiedziała, że doskonale będę pasował do Yorkshire. Tutaj, szanowna pani, przyjeżdżają goście na najwyższym poziomie, którzy zasługują na najlepsze warunki oraz obsługę. Z panią Zofią czynimy wielki wysiłek, żeby im je zapewnić. Róża nam w tym bardzo pomagała.

Henryka miała jeszcze wiele pytań do pana Zygmunta, ale jak na złość do recepcji podszedł sprzedawca dzieł sztuki. Stał na końcu dwuosobowej kolejki z naręczem papierzysek. Nie ulegało wątpliwości, że nie były to warunki służące kontynuowaniu zbierania zeznań, konwersacja się urwała.

Dobre i to, czego udało mi się dowiedzieć — uznała ukontentowana Orłowska i oddaliła się do swojego pokoju.

ROZDZIAŁ 9

W komfortowym zaciszu Henryka zamierzała spisać fakty oraz zebrane dotychczas informacje o Róży i podejrzanych. Żywiła nadzieję, że pomoże jej to ujrzeć obraz sytuacji. Początkowo pełna zapału i energii, szybko zaczęła jednak odczuwać niedobór kofeiny we krwi. Rozpraszenie się wycieczką do restauracji po filiżankę kawy nie wchodziło w grę. Usługa *room service* była jej obca. W myślach zrugowała się, że nie wzięła na wczasy elektrycznego czajnika o pojemności dwustu pięćdziesięciu mililitrów. Sprzęt pysznił się teraz w domu w ostatnim pokoju na półce przydasiów, podczas gdy ona, biedna emerytka, miała otwarte powieki już tylko siłą woli, pozbawiona chociaż malusieńkiej szklanusi mielonej arabiki z trzema (czubatymi) łyżeczkami cukru. Henryka nie zamierzała poddawać się bez walki. W obliczu braku kawy cóż może być lepszym źródłem energii niż glukoza? Starsza pani uniosła się z krzesła i wyjęła z szafki herbatniki ukryte przed żarłocznym Czizem.

Po kilku minutach pierwsza garść smakołyku dała oczekiwany efekt. Henryka zyskała nowe siły i z zapamiętaniem gryzmołała na kartkach, odruchowo dorzucając do ust kolejne paliwo w postaci prostokątnych ciasteczek, gdy zniemacka zdarzyła się rzecz straszna. Wśród apetycznych herbatniczków zaplątał się jeden, pomimo że łudząco podobny do pozostałych, to zgoła inny. Niespodziewająca się niczego Orłowska mocno go nagryzła. Zanim poczuła silny ból, zdążyła jeszcze usłyszeć nieprzyjemne chrupnięcie. Wysuszone na kość ciastko ukruszyło jej ząb.

— Auuuu! — zawyla przeciągle i złapała się za policzek.

Bezwłocznie porzuciła dotychczasowe zajęcie i pobiegła do łazienki ocenić straty. Niestety, nie chciało być inaczej: czwarty ząb z prawej strony był ułamany.

I co teraz? — zaczęła się zastanawiać. No jasne! Puknęła się w czoło, założyła buty i wyruszyła na drugą stronę korytarza. Z księgi gości zapamiętała numer pokoju zajmowanego przez dentystę i jego małżonkę. Lekko zapukała. Drzwi otworzyła pani Halina, która zapytała uprzejmie:

— Tak?

— Przepraszam, że przeszkadzam, ale mam kłopot. Pomyślałam, że może pani mąż będzie mógł mi pomóc. Przed chwilą ukruszył mi się ząb. — Na dowód Henryka otworzyła szeroko usta i wskazała na ubytek w uzębieniu.

Halinka zerknęła z profesjonalnym zainteresowaniem do ust ofiary wysuszonego na wiór herbatnika i pokiwała głową ze współczuciem.

— Natychmiast go wołam. Proszę wejść — zaprosiła do środka. — Że też takie sytuacje zazwyczaj zdarzają się podczas wypoczynku. Rysiu, pani... — Tu pytająco popatrzyła na gościa.

— Henryka Orłowska — odpowiedziała domyślna kobieta.

— Pani Henia do ciebie!

— Chwileczkę, zaraz przyjdę. — Usłyszały głos dobiegający zza zamkniętych drzwi łazienki.

— Proszę sobie spocząć.

— Dziękuję pani. — Orłowska wybrała fotel, a naprzeciwko niej wygodnie rozsiadła się Halinka.

— A jakaż tam ze mnie pani. Halinka jestem.

— W takim razie mów mi Henia.

— Nic się nie martw, Heniu, nie mogłaś lepiej trafić. Mój Rysio jest doskonałym specem w swojej dziedzinie. Pracujemy razem, więc widzę, jaki z niego profesjonalista. Pacjenci nachwalić się nie mogą, jaki on delikatny i precyzyjny. Tyle zębów wyleczył!

Drzwi od łazienki otworzyły się i wyszedł stomatolog. Henryka zauważyła, że tym razem do jasnoblękitnej, idealnie wyprasowanej koszuli dobrał spinki do mankietów w kształcie lusterek dentystycznych.

— Oj Halinko, ty nigdy nie możesz się mnie nachwalić — rzekł zawstydzony reklamą, którą zrobiła mu ukochana. — Pani do mnie? — zwrócił się do gościa.

— Tak, ja... — zaczęła emerytka, ale nie było jej dane dokończyć, ponieważ gospodyni weszła jej w słowo, dokonując prezentacji.

— Nie żadna pani, tylko Henia, a to jest Rysio. Nie będziemy sobie tak paniowali, w końcu

jesteśmy na wakacjach, pełen relaks i rozprężenie — zaśmiała się, prezentując garnitur śnieżnobiałych, zgrabnych zębów godnych żony dentysty. — Heni ukruszyła się czwórka, więc przyszła do ciebie po ratunek.

Mężczyzna od razu zabrał się do oględzin.

— Ciężka sprawa. — Westchnął. — Bardzo niefortunnie ukruszony. Można oczywiście odbudować, pytanie tylko, czy warto. Koszt leczenia kanałowego oraz korony jest niebagatelny. Do tego trzeba wstawić śrubę, szykuje się poważny zabieg. Rozważyłbym możliwość wyrwania i założenia protezy. Tutaj, poza gabinetem, trudno mi pomóc. Sama rozumiesz, Heniu, bez sprzętu stomatolog niewiele jest w stanie zrobić.

— No tak... — przyznała mu rację zmartwiona emerytka.

— Dzisiaj mamy chyba pechowy dzień. Rano morderstwo, teraz twój ząb... Ciekawe, co jeszcze się wydarzy do wieczora. Chociaż trzeba przyznać, że ta dziewczyna sama się prosiła o kłopoty. Nie zrozumcie mnie źle, nie usprawiedliwiam morderstwa, absolutnie nie, ale kto wie, czy komuś za bardzo nie zaszła za skórę i się jej nie pozbył — wyraziła zdecydowanie swe zdanie Halinka.

— Myszo... — Mąż łagodnie próbował przywołać ją do porządku.

— Ryśku, po co owijać w bawełnę? Sam wiesz, że tak było. Heniu, nie uwierzysz, Róża oskarżała Miecicia o palenie marihuany! — Kobieta chętnie uchyliła rąbka tajemnicy.

Orłowska zdębiała na tę rewelację.

— Na własne uszy słyszałam! Nasze pokoje ze sobą sąsiadują, ściany są cienkie. To było może ze dwa, trzy dni temu. Skończyła sprzątać u nas i poszła tam. Drzwi ledwie się za nią zamknęły, a jak nie zaczęła wrzeszczeć! Rabanu narobiła, że zna ten zapach i Mietek jej nie zwiedzie. Krzyczała coś o bibułkach, suszonych liściach, narkomanii, policji. Ale by było, gdyby naprawdę nasz Miecicio popalał trawkę — zachichotała.

— A co na to Mietek? — chciała wiedzieć emerytka, której uwadze nie umknęło, że pomimo swej wylewności mężczyzna nawet się o tym nie zająknął podczas porannej pogawędki.

— Nie pytałam go, ale może powinnam. — Halinka dalej podśmiewała się w najlepsze.

— Aniele mój, może lepiej zostawić ten temat. Jakoś tak nieelegancko źle mówić czy żartować o zmarłych — przemówił słabo Ryszard, nie chcąc urazić anioła.

— Oj Ryśku. — Ukochana tylko machnęła ręką. — Wiesz, Heniu, my chcieliśmy pomóc tej dziewczynie. Rysio obiecał zrobić dla niej co w jego mocy w sprawie studiów. Planowała uczyć się tam, gdzie Rysio zrobił dyplom. Mój kochany mąż o wielkim sercu! — Pogładziła jego ramię, patrząc na mężczyznę z czułością.

— Zawstydzasz mnie, Halinko — powiedział dentysta, czerwieniąc się. — Niewiele mogłem zdziałać. Coś podpowiedzieć, poradzić i tyle. To była mądra dziewczyna, sama doskonale podobałaby sytuacji.

— Jak zawsze skromny — zaśmiała się dumna żona.

Rozbawieni rozprawiali jeszcze przez dłuższy czas o świecie, życiu, sobie nawzajem, pensjonacie, inscenizowanych w ruinach zamków turniejach, na które od dwóch lat rokrocznie ściągają małżonkowie. Nawet dla mało spostrzegawczego obserwatora jasne było, że ta trójka przypadła sobie do gustu.

Kiedy Henryka wróciła do pokoju, na dworze zrobiło się już ciemno. Doskonały humor nieopuszczający jej jeszcze chwilę temu znacząco się pogorszył na widok rozsypanych na biurku herbatników. Przypomniało jej to o koszcie naprawy uzębienia. Wyjęła telefon i wybrała numer do dalekiej krewnej, która od dawien dawna należycie zajmowała się kwestiami jej otworu gębowego. W kilku słowach pokrótce streściła problem.

— Wyrwać? Wstawić protezę? — ryknęła do słuchawki zaufana stomatolog. — Jakie wyrwać? Jaką protezę? Niech ciocia się nie wygłupia! Co to w ogóle za pomysły, żeby wyrwać zdrowe zęby! Jak się ukruszył, to się odbuduje. Koronę zrobimy, będzie pięknie. Coś mnie ominęło? Znowu zapanowało średniowiecze? Może ciocia pójdzie do kowala i obcęgami załatwi sprawę, he? — Emocjonowała się. — Kto cioci takich głupot nagadał?

— Ale moje dziecko, spokojnie. To była tylko jedna z opcji. Ot, luźna rozmowa z takim miłym dentystą. Wyobraź sobie, że od słowa do słowa i wyszło na jaw, że wy się znacie! Byliście na jednym roku. — Henia pomyślała, że upiecze dwie pieczenie na jednym ogniu: poza ustaleniem dalszych kroków w sprawie rozwiązania problemu z uzębieniem dowie się tego i owego o szanownym Ryszardzie i jego Halince. W końcu wszyscy obecni rano goście i pracownicy byli podejrzanymi, zginęła młoda dziewczyna, więc osobiste sympatie nie powinny wpływać na jej osąd sytuacji.

— A jak się nazywa?

— Ryszard... nazwisko jak na złość akurat wyleciało mi z głowy... Na pewno zaraz sobie przypomnę. Taki elegancki mężczyzna, interesuje się rycerstwem średniowiecznym. Ma przezabawne spinki do mankietów, a to w kształcie zębów, a to znowu lusterek dentystycznych.

— Wiem, o kim ciocia mówi! Jak bym mogła zapomnieć Ryśka! Ale z niego był przystojniak — powiedziała z sentymentem w głosie krewniaczka. — Wszystkie za nim szalałyśmy. Na ostatnim roku gdzieś wyjechał za granicę i tyle go widzieliśmy. Może i uczyć mu się niespecjalnie chciało, aż dziw, że skończył studia i robi karierę, hen daleko, ale towarzysz na tańce był z niego pierwsza klasa. — Zaśmiała się głośno. Po chwili dodała: — No, ale jak się wykłada opuszczało, nic dziwnego, że później człowiek tylko by zęby usuwał, zamiast je leczyć. A co to niby są, marchewki na polu, że za rok człowiek posadzi sobie nowe? Żeby mi ciocia czasem tego zęba nie wyrwała!

— Gdzież bym śmiała, moje dziecko, bez ciebie nic nie zrobię — gorliwie zapewniła stała pacjentka.

— No ja myślę! — Energiczna dentystka ochłonęła. — A co ciocia w ogóle robi w tej głuszy?

— Odpoczywam. Dostałam w spadku sporą sumę, więc korzystam z uroków bogactwa — dworowała sobie Henia.

— I to właśnie mi się podoba! — pochwaliła krewniaczka. — Należy się cioci odpoczynek. Po powrocie przyjdzie ciocia do mnie do gabinetu, tylko bez ociągania.

— Dobrze, skoro tak trzeba. — Starsza pani niechętnie zgodziła się z wyrokiem. Znała przyjemniejsze rozrywki niż bolesna posiadówka na fotelu dentystycznym, ale skoro mus, to mus. — Dziękuję ci za pomoc, moje dziecko.

Rozłączyła się i zerknęła na zegarek.

— O matko... — wyrwał jej się z piersi żalony jęk.

Jeszcze dziesięć minut i pora kolacji nieubłaganie dobiegnie końca!

Henryce zaburczało w brzuchu. Wyjedenie resztek kociego przydziału nie wchodziło w grę, Ciz mógłby nie przeżyć takiego okrucieństwa, a na herbatniki, z wiadomej przyczyny, nawet nie chciała spojrzeć. W tej sytuacji pozostawało jedynie wierzyć w dobre serce pracowników restauracji, u których Orłowska planowała wyprosić małe co nieco. Przeczucie jej nie zawiodło. Co prawda kelner na widok nietrafionej inwestycji niebezpiecznie szybko zbliżającej się w jego kierunku ukrył się za parawanem, ale z pomocą przyszła kucharka.

— Nie zdążyła pani na kolację, żadne zmartwienie. Musiałabym nie mieć sumienia, żeby głodnemu odmówić jedzenia. Usiądzie sobie pani tutaj, a ja zaraz wyszperam coś pysznego. — Pani Czesia zaprosiła Henrykę do kuchni i zaczęła przeglądać zawartość garnków oraz patelni. Niespodziewanie wychyliła głowę zza drzwi lodówki, badawczo zerknęła przez ramię na emerytkę i zapytała, podejrzliwie mrużąc oczy: — Pani chyba nie z tych nowomodnych, co mięsa do ust nie biorą, a tylko zieleninę chrupią niczym jakieś króliki?

— Gdzieżby tam! — gorliwie zaprzeczyła Orłowska.

— No. — Czesławę zadowolili taka odpowiedź. Radośnie podśpiewując, kontynuowała nakładanie na kilka talerzy słusznym porcji dotychczas nieznanym Heni dań obiadowych. Jako dobra gospodyni nie zapomniła również o deserze. — Do wyboru, do koloru. — Postawiła talerze na stole przed gościem.

— Ale luksusy! W życiu nie jadałam takich smakołyków. Pewnie mieszkała pani w Anglii i stamtąd zna te wszystkie przepisy? — zapytała emerytka, z apetytem pałaszując wysokokaloryczne i ciężkostrawne dary.

— Pani kochana, za granicą byłam tylko przez dwa dni w osiemdziesiątym drugim, w NRD. Ja tam się do obcych krajów nie pcham, bo i po co? Czego mi tu niby w ojczyźnie brakuje? Pierwszy raz po zagranicznemu gotuję, receptury przynosi szefowa. Młoda jest, zapał ma, grzebie tam w tych internetach i co ciekawe daje na kartkach.

— Nie może być! Wystarczy, że zobaczy pani przepis i od razu gotuje takie cuda?

— Wielka mi filozofia. Proporcje spisane, kolejność, co po czym robić, jest, czego więcej potrzeba?

— A nie wolałaby pani sama układać jadłospisu? Nie przeszkadza pani, że szefowa do wszystkiego się wtrąca?

— A w czym niby miałyby mi to przeszkadzać? Pracowałam tu jeszcze za starych właścicieli, wtedy w Skalce. Przyszła nowa władza, pewno, że człowiek na początku nie wiedział, jak będzie, może i trochę kręciłam nosem na zmiany, ale widzę, że fajnie jej wyszło. Zmyślna babka z tej Bobrownik, nie żałuje grosza na produkty, a co najważniejsze: wypłata zawsze jest na czas. Jak dla mnie przepych za duży i nazwę trudno spamiętać, ale reszta prima sort, no i najwidoczniej się podoba, skoro goście przyjeżdżają na potęgę. A że szefowa mądruje się, to i nie dziwota. Jej firma, jej wola. Całe życie na kuchni pracuję, więc mam doświadczenie w gotowaniu. Wszystko jedno, co każą zrobić, żadna mi różnica, jakie składniki wrzucam do garnka. Skoro ludziom smakują angielskie frykasy, więc na zdrowie niech im idzie. Widzę, że apetyt dopisuje — powiedziała zadowolonym głosem na widok sukcesywnie znikającego posiłku. — Tak to ja lubię. Jeśli gość przyjedzie i je jak człowiek, wtedy aż serce rośnie. O, na przykład taki pan Mietko, który jest u nas teraz na wypoczynku.

— Poznałam pana Mietka. Bardzo miły człowiek — przyznała Orłowska, przeżuując kolejny kęs pieczeni suto polany gęstym sosem.

— Taki to potrafi docenić dobrą kuchnię! Spust ma, oj ma — rzekła z podziwem kobieta. — Zawsze mu na wieczór szykuję paczuszkę do pokoju. Nigdy nie wiadomo, o której złapie człowieka chętka na serniczek albo pajdę chleba ze smalczykiem i kwaszeniakiem. Chłop jak się patrzy, więc zjeść musi. Gdyby nie mój ślubny, nie wiem, czy bym na niego parolu nie zagięła. Pamiętam żonę pana Mietka, była z niej równa babka, silna, zdrowa, taka rumiana. Nagle jednego roku Mietko przyjechał od stóp do głów w czerni. Zmarło się biedaczce. Pewnie zawał, mówili w telewizji, że co trzeci teraz na to umiera. Prawdziwa plaga.

— A doktor z żoną? Co pani o nich sądzi? — zapytała Henia, przysuwając do siebie talerzyk z ciastem.

— Doktor? Znaczący się pyta pani o pana Ryszarda?

— Tak.

— A jaki tam z niego doktor. U nas się przyjęło na takich, co w gębach grzebią, mówić wyrwijzab. W dużych miastach przyszła moda, żeby dentystę od doktorów wyzywać. A gdzie niby lekarz z jednego czy drugiego? Serca nie naprawi, nogi nie zoperuje, gipsu nawet nie założy. Ta pokojówka, którą ktoś zabił dzisiaj rano, świec Panie nad jej duszą, kręciła się koło niego. Podobno mizdrzyła się, jakby żony nie miał. Ona chciała gdzieś tam nauki pobierać. Mówiło się, że zwietrzyła, że pomoc jej może, i uczepiła się jak rzep psiego ogona. Ale czy to prawda, na sto procent nie powiem, bo na własne oczy nie widziałam, tyle wiem, co przypadkiem obilo mi się o uszy.

— A kto tak mówił? — Zaciekawiała się Henryka.

— A bo ja wiem? — Kucharka się zamyśliła. — No, nie powiem pani. Ktoś gadał, ale kto? Naprawdę nie mam pojęcia. Ale czy to normalne, żeby dorośli ludzie bawili się jak dzieci? — Pani Czesia skakała po tematach z charakterystyczną dla siebie żywotnością. — Przebierają się w starodawne stroje, latają pod zamkiem z całą bandą innych takich. Raz z moim poszliśmy z ciekawości na turniej. Nie powiem, było na co popatrzeć, widowisko, że ho, ho! Serwowali pyszności: miód pitny i pieczonego na ruszcie dzika. Skąd oni w dzisiejszych czasach wzięli dzika? Pani kochana, zbroje ciężkie, a i tak mieli siłę, żeby pół dnia ganiać się z kijami i mieczami, trzeba mieć kondycję. Kobitki chodziły dumnie wyprostowane w takich zmyślnych kapelusikach z trenami. I konie! Ile tam było koni różnej maści, a jakie zadbane, czyste. Kiedy biegały, każdy mięsień się na nich prężył. Słysząc było wołanie ludzi:

„Bóg, honor, ojczyzna”. Miłe to, trzeba przyznać.

— Ale zaraz, myśli pani, że oni mieli romans? — zapytała zniecierpliwiona i poniewczasie Henryka, która z zapartym tchem słuchała analizy postaci podejrzanych według pani Czesi.

— Kto niby? — Czesława była zdezorientowana.

— No Róża z panem Ryszardem.

— Pani kochana, jaki tam romans? On nie taki głupi, żeby byle kiecce dać się zwieść. Zresztą widać, że nie dostrzega świata poza swoją Halinką. Ledwo przyjdę do pracy, z płaszczą się rozbiore, a już tu w drzwiach mi stoi. Przychodzi prosić o kawkę dla małżonki, bo podobno z rana ona lubi ją jeszcze w łóżku łyknąć. Sama nie wiem, co o tym myśleć, żeby chłop aż tak o żonę dbał? Po rączkach całuje, a ona cała w skowronkach, zachwycona. Zresztą, może i dobrze. Zakochani tacy, pamiętam jeszcze, jak to było, kiedy mój się o rękę starał — zaszcebiotała niczym podlotka. — W konkury stawał. Dopiero kiedy rok cały minął, zdecydowałam się ulec i zgodziłam na zamążpójście. Jedna z najlepszych decyzji w moim życiu, złego słowa na tego mojego nie mogę powiedzieć.

— Dziś rano też przyszedł? — zapytała ponownie z opóźnieniem Orłowska.

— W sensie mój ślubny?

— Nie, pan Ryszard.

— A jakżeby inaczej!

— Która mogła być godzina?

— Która? A jak co dzień, chwila po szóstej.

— Jest pani pewna?

— A co mam nie być? Przyszłam o szóstej, pokręciłam się dookoła i zjawił się pan Ryszard.

Uzyskana przed chwilą informacja potwierdziła podejrzenia Orłowskiej, że recepcjonista mógł przysnąć i nie zauważyć, kiedy mijał go któryś z gości. Jeśli kucharka nie kłamała, z całą pewnością należało szukać mordercy zarówno wśród personelu, jak i gości.

— Może dokładkę? — Czesława wyrwała starszą panią z zadumy.

— O nie, dziękuję, jestem pełna!

— W takim razie zapakuję kawałek krismaz kejk na później.

— A czym jest ten krismaz kejk?

— Taki tam nasz keks. Mój za nim przepada. Powiem pani, że nawet dobrze z tym angielskim jadłem, bo człowiek na stare lata zasmakuje nowości.

— Więc pani teraz w domu też po angielsku gotuje?

— A gdzie tam! Tak w domu udziwniać by mi się nie chciało. — Pani Czesia, która dotychczas krzątała się po kuchni, przysiadła na krześle obok Henryki. Zarzuciła sobie na ramię kraciastą ścierkę do naczyń, nachyliła się do kobiety i powiedziała konspiracyjnym szeptem: — Ja coś pani powiem. Jak co tutaj zostanie, w torbę pakuję i biorę. Inaczej nawet byśmy z moim nie wiedzieli, co po świecie jedzą, tylko te kurze albo indyjskie cycki bym tłukła i obtaczała: mąka, jajko, bułka, i tak w koło Macieju. Żadna to kradzież ani grzech, bo gościom wczorajszego dawać nie wolno, przepisy ot co, wszystko na śmiecie każą wyrzucać. Tyle dobrego do wiadra? Wstydu by trzeba nie mieć. No, niech sama pani powie.

— Racja. I mnie serce się kraje, kiedy jedzenie idzie do kubła.

— A niech mi pani wierzy, każdy jeden, który w gastronomii pracował, powie, że do kropki nie wymierzysz, ile ludzie zjedzą. Zawsze coś zostanie. Zawsze. Żeby było jasne, z niczym się nie kryję po kątach, wszystko robię jawnie. Róża weszła tu kiedyś, akurat pakowałam pojemniki do siatki. Myślałam, że i ona ma ochotę, zaproponowałam, że dam jej trochę. Jak się zaperzyła! Zaraz zaczęła, że szefowa o wszystkim się dowie. Mówię na to: „A leć, leć, zobaczymy, co Bobrownik ci powie”. Zorientowała się, że mnie nie zastraszy, i zmiękła. Będzie mi młódka groziła. Ja nie z tych lękliwych. Ona wszędzie nos wściubiała, ech, szkoda gadać. — Machnęła ręką, po czym dodała, wskazując na stertę brudnych naczyń: — Noc mnie zastała, a garów tyle nastawiane, roboty jeszcze dzisiaj huk. Normalnie Arletta była ze mną, ale teraz musi za Różę odpracowywać.

— Chętnie pomogę, chociaż w taki sposób odwdzięczę się za pyszną kolację — zaofiarowała się Orłowska i zakasała rękawy.

— Kto widział, żeby gość zmywał brudne skorupy — przemówiła oburzonym tonem kucharka, sadowiac się wygodnie koło okna.

Henryka stanęła przy zlewozmywaku, odkręciła kran i przysunęła do siebie pierwszą stertę.

— Co ja mam innego do roboty? Chętnie czymś zajmę ręce. Pani taka spracowana po całym dniu, należy się pani chwila oddechu — nalegała, biorąc do ręki płyn do mycia naczyń i zmywaczek.

— A w sumie czemu nie. Skoro pani sama proponuje, niech i tak będzie. — Pani Czesi nie trzeba było długo namawiać. — Nie ta butelka, pani weźmie płyn z zieloną nakrętką — zarządziła, kładąc nogi na krześle. Zdjęła z włosów ochronny kapelusik i zapaliła papierosa. Mocno zaciągnęła się i wydmuchnęła kształtne kółeczko dymu wprost przez uchylone okno.

— Czyli Róża miała z panią na ostrzu noża — stwierdziła niby od niechcienia zajęta zmywaniem naczyń emerytka.

— Ze mną? E tam, ja mściwa nie jestem. Młoda, nie zdążyła się jeszcze życia nauczyć. Wszystko by przyszło z czasem. Szefowa jest mądrą kobitką, nie będzie mi byle głupstwami głowy zaprzętać. Na pieńku to ona miała właśnie z Bobrownik. Arletta w dobrej wierze ściągnęła dziewczynę do nas, a potem musiała się wstydzić. Mateusz mi mówił, że podobno Róża ciągle chodziła do szefowej z głupotami, na każdego miała coś do powiedzenia.

— A z Mateuszem jak jej się układało w pracy? Nie chciałabym wyjść na wścibską, ale przypadkiem widziałam wczoraj, że się kłócili. Arletta podejrzewała, że może wściekał się za odrzucone przez nią awanse.

— Co też ta dziewczyna opowiada za niestworzone rzeczy! On Różę traktował jak powietrze, ani go grzała, ani ziębiła. — Czesława wydawała się pewna swego. — Nasz Mateuszek za pannami się ogląda, nie przeczę, ale jego raczej interesują majątniejsze. Przystojny jest, aż miło popatrzeć, baby same lgną do niego. Na ten przykład ta gwiazda, co na górze mieszka. Mówili, że liftingi czy inne botoksy sobie porobiła i żeby się nie wydało, siedzi w zamknięciu. Podobno celebryci majstrują przy twarzach, odsysają sobie tłuszcz, a mówili rano w radio, że boli to jak sto smyków. W telewizji piękni tacy, zmarszczek zero, spojrzysz i wieku nie ocenisz. Pięć razy dziennie Róża nosiła do niej miski z zieleniną. Mateusz szaleju dostawał, że nie chce się z nim zamienić. Ja się domyślam czemu. Zapewne chętnie przygruchałby ją sobie, bo po co inaczej by tak tam chciał latać?

— Ładne rzeczy.

— Ano. — Kucharka znacząco kilkukrotnie uniosła do góry brwi. — Teraz Arletta przejęła ten obowiązek, zamiast pomagać mi w kuchni. Zresztą, ta aktorka to nie jest jedyna wymagająca. Znawca sztuki z żoną nie lepsi. Nosem kręcą, to takie, tamto szmakie. Zawsze mogą się gdzieś indziej stołować, jeśli im nie pasuje. Wielcy państwo! Ale wie pani, jak to jest z TAKIMI — powiedziała z naciskiem, nieoczekiwanie przerywając monolog.

Orłowska nie miała bladego pojęcia, jak też może być z TAKIMI, dlatego zamarła z na wół wyszorowaną brytfanną w dłoni i pokornie popatrzyła znad zlewozmywaka na dobrze zorientowaną w temacie panią Czesię. W napięciu czekała na wyjaśnienie, które nie przychodziło. Dłużej nie mogąc wytrzymać niepewności, poprosiła:

— No niech pani w końcu powie jak.

Kucharka jeszcze przez chwilę milczała, inhalując się dymem z nie najwyższej jakości tytoniu, w końcu zdusiła niedopałek w popielniczce i autorytarnym głosem, głośno i dobitnie stwierdziła:

— Mają coś do ukrycia.

— Co? — koniecznie chciała wiedzieć Henryka.

Czesława z namaszczeniem wyjęła z paczki kolejnego papierosa i odpaliła go od palnika gazowego.

— Akurat tego nie wiem, ale jestem za stary wróbel, żeby mnie nabrać na plewy. Nie zwiódą mnie. Tak jak i ten nasz niby arystokrata Zygmunt — kontynuowała zadowolona, że ma takiego zaangażowanego słuchacza.

— Poza Arletką chyba z nim Róża najbardziej się trzymała — zauważyła Orłowska.

— Dobrali się jak w korcu maku. Inteligenci, z pospółstwem się nie zadają. Szczególnie on

zapomniał, że miejsce personelu jest tuż obok nas, pozostałych pracowników, a nie wielkich państwa.
— Kucharka uniosła się z krzesła i pstryknęła guzik w czajniku. — Napije się pani herbaty?

— Wolalabym kawki, cudownie, gdyby miała pani mieloną.

— Kawa na noc??? W naszym wieku? Toż to zabójstwo! O tej godzinie nawet herbata powinna być słomkowa — zawyrokowała.

— A gdzie tam, nie ma to jak wieczorna kawka na dobry sen — zaśmiała się Henryka.

— No, jak pani uważa. — Pani Czesia ustąpiła nie bez oporów. — Ile łyżeczek?

— Jedną płaską kawki i trzy cukru.

W czajniku zaszumiało. Czesława wyłączyła go i zalała wrzątkiem dwie szklanki. Ustawiła je na stole i chuchając powoli, zaczęła pić swój napój. Henryka kończyła zmywanie ostatnich talerzy.

— Teraz, kiedy o tym myślę, to nie powiedziałabym, żeby między Różą i Zygmuntem była taka znowu wielka przyjaźń. I u niego znalazła skazę. Żadna tajemnica, że jeśli ludzi nie ma, wtedy za kontuarem podsypia, on wcale nie taki święty, jakiego zgrywa. Ale nikomu poza młodą nie przyszłoby do głowy, żeby robić z byle bzdury sensację.

Drzwi do kuchni uchyliły się nieznacznie i do środka zajrzała Arletta.

— Pani Czesiu, ja skończyłam. Idę grać silnik — poinformowała, nie ruszając się jednak z miejsca.

— O ludziska! Jest tak późno? — Pani Czesia skoczyła na równe nogi. — W takim razie jutro dopiję herbatę, a pani sobie weźmie kawę na górę. Szklankę można oddać przy okazji.

— Będę w samochodzie — uprzedziła dziewczyna, wymownie zerkając to na Henrykę, to na kucharkę.

Emerytka domyślała się, że pokojówka daje jej jakieś znaki, jednak nie była w stanie niczego z nich wydedukować. Niestety nie posiadała również cennej umiejętności czytania w myślach, dlatego po prostu z niezrozumieniem malującym się na twarzy przypatrywała się dziwacznie zachowującej dziewczynie. Nieudolne wysiłki przekazania wiadomości przerwała zaniepokojona Czesława:

— Arletta, co ty tak mrugasz? Coś ci do oka wpadło?

— Nie, nic. To ja pójde — odpowiedziała z ociąganiem. Na odchodne raz jeszcze zamrugła do Orłowskiej i wyszła.

Henryka odstawiła ostatni talerz na suszarkę, ujęła w dłonie swoją szklankę z kawą i pakunek z ciastem przygotowanym przez Czesławę.

— Aleśmy się nagadały! — powiedziała zadowolona kucharka. — Proszę wpadać, jeśli najdzie panią ochota na pogaduszki albo kawałek placuszka — zachęciła, zapinając dwurzędowy, ciepły, damski płaszcz z karakułów.

Nagle Henrykę poraziło. W jednej sekundzie domyśliła się, co chciała jej przekazać Arletta. Guziki przy płaszczu były ładząco podobne, żeby nie powiedzieć identyczne, do tego, który znalazła na podłodze w gabinecie Zofii.

— Gdzie pani kupiła taki ładny płaszcz? — zapytała, dokładnie monitorując, czy nie ma braków w zapięciu.

Nie było.

— Nie pamiętam. Noszę go całe lata. No, czas na mnie — ucięła rozmowę Czesława. Zgasiła w kuchni światło, zamknęła drzwi i potruchtała do wyjścia dla personelu.

Orłowska, która jeszcze przed momentem gotowa była poręczyć własnym majątkiem, ręką, nogą, a nawet ukochaną świnką morską za to, że kucharka nie miała nic wspólnego z morderstwem, teraz poważnie zwątpiła. Być może istniał ukryty motyw, który sprawił, że pozbyła się problematycznej współpracownicy, ale jeśli nawet tak, dlaczego guziki były w komplecie? Coś poważnie się nie zgadzało.

Oszołomiona odkryciem nawet nie wiedziała, kiedy na powrót znalazła się w pokoju. Rozparta w fotelu, po raz drugi tego dnia próbowała poukładać w głowie zebrane informacje, co ze względu na późną godzinę i nierozzerwalnie związane z tym narastające zmęczenie nie było łatwe. Aż nie mogła uwierzyć, że od śmierci Róży minęły mniej niż dwadzieścia cztery godziny, tak wiele się w tym czasie zdarzyło. Z zaciekawieniem popatrzyła przez otwarte na oścież drzwi łazienki, w której na samym

środku pyszniła się wielka wanna. Relaks, tego mi potrzeba — zdecydowała starsza pani. Rozmyślanie o śledztwie postanowiła zostawić na jutro; uważała, że jak na jeden dzień i tak wiele udało jej się ustalić.

ROZDZIAŁ 10

Odprężona długą kąpielą Orłowska zasnęła jak dziecko. Wylegiwanie się w wannie na lwich łapach znacząco przedłużyło odkrycie niepozornych przycisków zainstalowanych pod kranami. Kiedy właśnie Henryka planowała wyjść z ciepłej wody, z czystej ciekawości nacisnęła jeden z nich. Efekt tego działania przeszedł jej najśmielsze marzenia. Najpierw coś zabzyczało, później zabulgotało, a na koniec z otworów rozmieszczonych na dnie i po bokach wanny zaczęły się wydobywać bąble, czyniąc przy tym wielki hałas. W pierwszej chwili owa nieoczekiwana reakcja ustrojstwa wprawiła kobietę w przestrach. W ułamku sekundy niczym sarenka zerwała się na równe nogi. Nie była jej obca wiedza w temacie przewodzenia prądu przez wodę i konsekwencji, jakie mogłoby to mieć dla jej życia i zdrowia, a to, co się działo, kojarzyło jej się właśnie w ten sposób i było co najmniej niepokojące. Ratując się ucieczką, nieopatrznie upuściła książeczkę z krzyżówkami. Kartki w mgnieniu oka zaczęły namiękać i marszczyć się. Starsza pani zapomniała o strachu i zabrała się za łowienie. Otrzeputując mokre jolki, popatrzyła na łydki po kolana zanurzone w spienionej cieczy. Zdumiała się, że wbrew obawom nic jej się nie stało, a co więcej: smaganie nóg było nawet przyjemne. To zatem musi być jacuzzi — domyśliła się i bez lęku rozsiadła na dnie, żeby korzystać z luksusu.

Zbadanie wszystkich funkcji i możliwości, które kryły się pod niepozornymi przyciskami, zajęło jej dobre czterdzieści minut. W konsekwencji, zanim położyła się do łóżka, było naprawdę późno. Przed pójściem spać rozmyślnie nakładła Czizowi na talerzyk różne przysmaki w nadziei, że małec o poranku obsłuży się sam, nie wrywając pani z pościeli o jakiejś nieprzyzwoitej godzinie. Nie pomyliła się. Wstała rano wypoczęta, niespiesznie ubrała się i gotowa do rozpoczęcia dnia otworzyła drzwi na korytarz.

— Lilka, idę na jogging. Wrócę za jakąś godzinę. — Usłyszała głos sprzedawcy antyków ubranego w sportowy strój, który właśnie zegnał się z żoną i wychodził z pokoju.

Henrykę tknęło przecucie. To był impuls. Chwyciła z wieszaka torebkę oraz odzienie wierzchnie, odczekała, aż mężczyzna zniknie na schodach, i popędziła za nim. Niespecjalnie potrafiła sobie odpowiedzieć na pytanie, czemu chciała go śledzić, a tym bardziej jak miałyby to wyglądać w praktyce. Poza dbaniem o tężyznę fizyczną bieganie przez godzinę ramię w ramię z Cezarym, oczywiście przy śmiałym założeniu, że utrzymają zbliżone do siebie tempo, nie wydawało się nieść wielkiej korzyści dla prowadzonego dochodzenia. Inna rzecz, że strój Orłowskiej — długa spódnica, wyjściowy płaszcz, eleganckie botki, wełniany szal i kapelusz — odbiegały od stroju sportowego, czym z dużą dozą pewności budziłyby nie tylko podejrzliwość, ale i sensację. Nie było jednak czasu, żeby się nad tym teraz zastanawiać, dlatego nie bacząc na wspomniane niuanse, Henryka szybkim krokiem przemierzyła foyer. W głównych drzwiach zdążyła jeszcze zobaczyć plecy specja od dzieł sztuki, podczas gdy ona sama udała się do wyjścia dla personelu. Bez przeszkód wydostała się na zewnątrz, wskoczyła do samochodu i ruszyła najszybciej, jak to było możliwe.

Objechała budynek i wypadła na główną drogę prowadzącą do bramy wyjazdowej. W oddali zamajaczył srebrny SUV. Czyżby to był nasz biegacz? Ale gdzie on jedzie? Za mało mu tutaj przestrzeni? — zastanawiała się, myśląc o całych hektarach zielonych terenów okalających pensjonat. Postanowiła zaryzykować i trzymając się w bezpiecznej odległości, podążała za dostrzeżonym volvo.

Szybko wyjechali na drogę krajową prowadzącą do najbliższego miasteczka. Orłowska po raz pierwszy występowała w roli ogona, jednak nieskromnie musiała sama przed sobą przyznać, że sprawdzała się w niej bardzo dobrze. Niewielkie natężenie ruchu dodatkowo ułatwiało zadanie.

Zanim Henryka na dobre zdążyła zwątpić w sens podjętego przedsięwzięcia, śledzony zaparkował auto przy głównym rynku. Wsiadł z eleganckiego wozu z napędem na cztery koła, a w dłoni dzierżył dużą żółtą kopertę. Zatrzasnął drzwi i niespiesznie ruszył w kierunku zielonego parterowego budynku, gdzie znajdowała się firma specjalizująca się w przesyłkach krajowych i zagranicznych. Sprawa była podejrzana. Poczynania mężczyzny odbiegały od wyobrażenia starszej pani o joggingu. Teraz na dobre poczuła się zaintrygowana. Żeby nie stracić z oczu Cezarego, najchętniej porzuciłaby opła na środku ulicy. Na czas udało jej się jednak dostrzec funkcjonariuszy straży miejskiej, którzy kręcili się nieopodal. Obawa przed odholowaniem wozu skutecznie zniechęciła ją do pierwotnego

pomysłu. Na ile to było możliwe, szybko wyszukała pełnoprawne miejsce parkingowe, gdzie zostawiła samochód.

Siedziba firmy była niewielka i jak przystało na taką instytucję — o każdej godzinie urzędowania wypchana po brzegi klientami. Dzięki tłumowi posłusznie ustawionych gęsiego w trzech kolejkach osób kobieta z ukrycia mogła obserwować poczynania śledzonego.

Żeby zaś nie budzić podejrzeń co do zasadności swojej obecności w tym miejscu, ustawiła się na końcu ogonka do okienka „PACZKI, LISTY, INNE”, w którym stał też przestępujący z nogi na nogę obiekt jej obserwacji. Wszyscy, niczym zahipnotyzowani, w milczeniu wpatrywali się w wykonujące swoje obowiązki panie. Poza zdawkową wymianą zdań między obsługiwanym a obsługującą ciszę zakłócało jedynie stukanie stempli. Pracownice niespiesznie zajmowały się kolejnymi petentami. Dla podniesienia efektywności przepijały poszczególne czynności szatańsko mocną kawą.

— Następny! — ryknęła na cały głos tęga dama w krwście czerwonych koralach na szyi, obwieszczając tym sposobem, że przyszła kolej Czarka.

Henryka wyteżyła słuch, żeby nie uronić ani słowa z rozmowy.

— Przyspieszony. — Podał jej kopertę i świstek papieru.

— Paczka czy list?

— List. Kiedy dojdzie do adresata?

— Zaraz, moment! Przecież się nie rozerwę. Albo nadaję list, albo odpowiadam na pytania. Będzie mnie zagadywał, to jeszcze się pomylę i potem będą pretensje. — Pracownicę wzburzyła niecierpliwość klienta.

Mężczyzna zamilkł. Kobieta siorbnęła napoju z filizanki, z hukiem odstawiła ją na spodeczek i zabrała się do zadania. Orłowska wyciągnęła szyję, żeby lepiej widzieć, co się dzieje, jednak wysyłanie listu przyspieszonego nie prezentowało się jakoś szczególnie spektakularnie. Po chwili pani w okienku silnie uderzyła stemplem w kopertę i rzuciła nią przez ramię do tyłu. Przesyłka z impetem wpadła do właściwej skrzynki.

— Delikatniej — syknął Cezary.

— To co od razu nie mówi, że to delikatne?! Na te, z którymi trzeba się obchodzić ostrożnie, nakleja się *fragile*, ale to wtedy drożej kosztuje i należy wypisać inny kwitek. — Spojrzała na niego znad okularów, najwidoczniej oczekując jakiejś reakcji. — Więc jak? Chce te *fragile*, czy nie? — zapytała w końcu.

— Nie, niech będzie tak, jak jest. — W jego głosie dało się wyczuć irytację.

— To jak tam sobie uważa. Dziesięć dziewięćdziesiąt trzy.

Mężczyzna zapłacił i odwrócił się w kierunku wyjścia. Henryka skuliła się za plecami stojącego przed nią pana w kufajce i czapce uszance, nie chciała zostać zdemaskowana.

— Zaraz! — zawołała pracownica. — Chwileczkę!

— Tak? — Cezary odwrócił głowę.

— Pytał przecież o coś. Już go nie interesuje, kiedy dojdzie list?

— Interesuje. W takim razie kiedy?

— A dokąd wysyłał?

— Przecież jest napisane na kopercie!

— A ja niby czytam, co jest napisane na każdej kopercie, uczę się tego na pamięć, a później przy kolacji powtarzam sobie dla utrwalenia? Ot, taki tam trening mózgu — marudziła pod nosem, odjeżdżając do tyłu na obrotowym krześle na kółkach. Schyliła się po kopertę i nie wstając, ponownie podjechała z nią do biurka. — Pojutrze.

Transakcja ostatecznie dobiegła końca. Cezary odwrócił się na pięcie i szybkim krokiem podszedł do drzwi, mamrocząc pod nosem coś niezrozumiałego. Orłowska nie wiedziała, co robić. Co było ważniejsze? Dalsze podążanie za mężczyzną czy uzyskanie informacji o wysłanym przez niego liście? Trzask zamykających się drzwi wyrwał ją z rozważań. Zrobiła krok w stronę okienka.

— A pani gdzie? Obowiązuje kolejka — przywołał ją do porządku jegomość w kufajce.

— Ja tylko chciałam zapytać o jedną rzecz — próbowała negocjować.

— Każdy tak mówi. Niby chce tylko zapytać, a później wciska się poza kolejnością. — Pan z dużym doświadczeniem życiowym nie dawał się zwieść byle argumentom.

Pokonanie strażnika w uszance pilnującego dostępu do okienka i szybki rzut okiem na kopertę wydawało się niemożliwe. Nie było sensu się kłócić. Emerytka odwróciła się i postąpiła o krok ku wyjściu.

— Stoi pani czy rezygnuje? Żeby potem nie było, że pani tylko na chwilę wyszła, i będzie się potem upierała, że tu cały czas stała. — Tym razem z kolei to pan stojący za nią starał się ustalić status sprawy.

Henryka zerknęła przez szybę w drzwiach, dzięki czemu zdążyła zobaczyć odjeżdżający drogą w kierunku pensjonatu srebrny SUV sprzedawcy dzieł sztuki. Gonienie go mijało się z celem. Zanim udałoby jej się dopaść do swojego auta i wykręcić, najpewniej dawno straciłaby go z oczu, a potem szukaj wiatru w polu. Machnęła ręką, ustawiła się na swojej poprzedniej pozycji i niezrażona przeciwnościami losu odpowiedziała z uprzejmym uśmiechem:

— Stoje.

Cierpliwie odczekała wysyłkę stu pięćdziesięciu dwóch paczek do różnych miast Polski, przedłużający się w nieskończoność wybór bożonarodzeniowej pocztówki przez miłą starowinkę, która ostatecznie zdecydowała się zrezygnować z zakupu (może ładniejsze znajdzie w „markiecie”), krótką przerwę na dolewkę wrzątku do filiżanki (akurat zagotowała się woda, żal nie skorzystać), nadanie trzech listów kolejno do Pszczyny, na Reunion (istnienie wspomnianego kraju należało zbadać kolektywnie wraz z innymi paniami z okienek przy aktywnym udziale pozostałych klientów) oraz do Zduńskiej Woli i już po dwudziestu ośmiu minutach stanęła oko w oko z pracownicą.

— Dzień dobry pani — przywitała się serdecznie Henryka.

— Dobry. Co potrzeba, aniołeczku? — zwróciła się w niniejszy sposób do emerytki kobieta z okienka, nie zważając na to, że klientka jest od niej starsza o dobrych dwadzieścia wiosen.

— Nie będę owijała w bawełnę. Przed chwilą wysyłał list w żółtej dużej kopercie taki młody chłopak w sportowym stroju, może zapamiętała go pani?

— Pewnie, że zapamiętałam. Mam pamięć do twarzy jak mało kto — zdradziła z dumą.

— Muszę zobaczyć ten list, to bardzo ważne — wyznała szczerze Orłowska. Mówiła cicho, żeby jej słowa nie dotarły do uszu ogółu zebranych.

— Ha! Intuicja mnie nigdy nie zawodzi! Od razu wyczułam tego faceta! Ani dzień dobry, dziękuję czy do widzenia. Same oczekiwania i roszczenia. Człowiek raz zerknie na facjatę i wie, z kim ma do czynienia. Lata doświadczenia, złociutka. Czy coś przeszkrobał? Zdradź mi, aniołeczku, cóż to za sprawa? Albo nie, nic nie mów. Lepiej wiedzieć mniej niż za dużo. Bardzo bym chciała pomóc, ale tajemnica korespondencji, sama rozumiesz, kochaniutka — westchnęła ze smutkiem.

— Ojej, tajemnica korespondencji. Nie pomyślałam o tym — zmartwiła się starsza pani.

— Nie mogę, naprawdę nie mogę, aniołeczku. — Pracownica spojrzała na leżącą na biurku dużą żółtą kopertę i głośno zabębniła w nią palcami. — A kopertek nie potrzeba? Na zapleczu mam takie ładne lilaróż z bąbelkami w środku. Kiedy się je potrze w prawym górnym rogu, wtedy pachną niczym maciejka w lipcowe wieczory! Piękne i wręcz niezastąpione, żeby wysłać na przykład glinianą misę. Wiem, ponieważ sama wysyłałam w ubiegłym tygodniu jedną do bratanek. Doszła na czas i to cała! Nic a nic się nie ukruszyło. A śliczna taka była, w drobny wzorek. Cudeńko. Stała u mnie na strychu i się kurzyła, a bratanek dał córce w prezencie. Podobno dziewczynka nie mogła się nachwalić, że taka precyzyjna robota. Włożyła sobie do niej wisiorki i kolczyki.

Do okienka znienacka przysunęła się młoda kobieta, zupełnie pozbawiona instynktu samozachowawczego, czego dowód dała chwilę później, mówiąc:

— Nie można szybciej? Przecież ludzie spieszą się do pracy.

Dama w koralach zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głów, upiła łyk kawy i przeszła do ataku:

— Co mi tu głowę wtyka??? Czy ja jej do pracy przychodzę i przeszkadzam wykonywać obowiązki?! Nie zagaduje mnie, wtedy będzie szybciej, a tak tylko kolejkę opóźnia. Jeśli każdy jeden będzie mi tutaj podchodził i wciągał w dyskusję, to będzie jeszcze dłużej. Ludzie przez panią stoją i tracą

cenne minuty — zrugła zniecierpliwioną klientkę. Zaalarmowani zagrożeniem wydłużenia czasu obsługi oczekujący spoglądali na nią nieprzychylnie i szeptali między sobą. — Widzisz, aniołeczku, w jakich warunkach przyszło nam pracować? — zwróciła się do Henryki. — Ale co to ja miałam?

— Mówiła pani o zapachowej kopercie bąbelkowej — odpowiedziała Orłowska.

— Właśnie. Więc jak? Może być taka kopertka z zapleczka? Skoczyłabym po nią na jednej nóżce, chwilka mi zejdzie, a ty, kochaniutka, tutaj sobie poczekaj. — Zerknęła na żółtą kopertę z ukosa i ponownie zabębniła w nią palcami, tym razem jeszcze głośniejszą niż poprzednio.

— Jeśli to nie za duży kłopot... — Orłowska w lot dostrzegła nadarżającą się możliwość.

— Jaki tam kłopot! W takim razie idę.

Pracownica odsunęła krzesło od biurka, wstała i zniknęła na zapleczu. Henryka szybko włożyła na nos okulary do czytania i przyjrzała się listowi wysłanemu przez Cezarego. Adresat nagryzmołony był drobnym maczkiem, nie miała szans go przeczytać. Co innego nadawca: Półkownik Alojzy i nic niemówiący jej zagraniczny adres. Żeby dobrze zapamiętać, przeczytała zapis dwukrotnie.

Starsza pani wyszła na chodnik przed budynkiem z pioruńsko drogą i zupełnie niepotrzebną jej do niczego kopertą pachnącą letnim ogrodem oraz całą listą pytań bez odpowiedzi. Nie miała bladego pojęcia, o co mogło chodzić. Zaintrygowana, snuła rozważania, dlaczego mężczyzna okłamał żonę, mówiąc, że idzie biegać, a zamiast tego pojechał tutaj. Wydawać by się mogło, że to przecież żaden wstyd wysłać list. Chociaż... Pytanie, do kogo i jakiej treści miałby być list. Niewyjaśnione pozostawało również, o co chodziło z „półkownikiem”. Nawet przy śmiałym założeniu, że taki świątły osobnik jest na bakier z ortografią i stąd to „ó”, to i tak od imienia Cezary do Alojzego był niezły kawałek drogi. Kobieta poczuła, że od zagadki, w którą wmieszała się na własne życzenie, zaczyna co nieco głupieć, dlatego dla rozluźnienia postanowiła pozwiedzać miasteczko, a korzystając z okazji, zrobić niewielkie zakupy.

W pobliskim sklepie wielobranżowym zaopatrzyła się w wór kocich puszek. Pomna upodobań nowego pupila do nabiału, dołożyła do sprawunków dwieście gramów twarożku i po małym kawałku różnych gatunków żółtych serów do zdegustowania. Dla siebie wybrała słodkie przekąski, pełną torbę francuskich rogalików i największą dostępną w spożywczaku paczkę mielonej kawy. Przez chwilę rozważała nabycie czajnika elektrycznego, dzięki czemu stałaby się niezależna od wrzątku dostępnego tylko w kuchni pensjonatu, ale po namyśle zrezygnowała. Pomyślała, że byłby to grat użyteczny jedynie przez dwa tygodnie, który następnie wzbogaciłby i tak przepełnioną półkę w ostatnim pokoju. Inna rzecz, że każdorazowa wizyta u pani Czesi stanowiła wyśmienitą sposobność do zebrania nowinek tak ważnych dla dochodzenia.

Obkupiona w prowiant dla siebie i kota Orłowska wróciła do Yorkshire. Zaparkowała na wyznaczonym jej przez recepcjonistę miejscu i swoim zwyczajem skorzystała z wejścia dla personelu. Żeby niepotrzebnie nie dźwigać, zostawiła większość zakupów w bagażniku, a ze sobą zabrała niewielką reklamówkę z produktami pierwszej potrzeby.

Korytarz podobnie jak poprzednio był słabo oświetlony. Henryka minęła spiżarnię. Miękkie wykładziny sprawiały, że nie było słyhać kroków starszej pani. Kiedy znalazła się na wysokości składziku alkoholi, do jej uszu dotarła przyciszona rozmowa. W kobiecym i męskim głosie rozpoznała Bobrownik oraz długowłosego kelnera. Już pierwsze zasłyszane słowa sprawiły, że starsza pani wstrzymała oddech i zaczęła nasłuchiwać.

— Na jakiś czas musimy przystopować — powiedziała zatrwożona Zofia. — Wszędzie u nas aż roi się od policji.

— Nie histeryzuj. Gliniarze mają ważniejsze sprawy na głowie — uspokajał Mateusz.

— I co z tego, że mają ważniejsze? Złapią nas przypadkiem, przy okazji, a wtedy naprawdę się narobi. Łatwo ci mówić „nie histeryzuj”, bo co ty masz do stracenia? — Emocjonowała się. — Nie! Ja się nie zgadzam. To jest ostatni raz.

— Już to wcześniej słyszałem. — Mężczyzna nawet nie próbował powstrzymać się od złośliwego komentarza.

— Nie bądź bezczelny! Koniec z tym. Ta partia i więcej nie chcę słyseć o sprawie. — Uwaga

kelnera najwidoczniej musiała wyprowadzić Zofię z równowagi, bo podniosła głos.

— A co ja niby mam powiedzieć Bupsjanowi?

— Powiedz mu po prostu, że więcej nie wezmę.

— Wyluzuj, dziewczyno, po co zaraz tak nerwowo? — Głos męski nagle złagodniał. — Na chwilę się przyczaimy, poczekamy, aż sprawa ucichnie, a potem na spokojnie dalej będziemy robić swoje.

— Nie! — ostro zaprotestowała. — Dosyć tego. Kompletnie mi odbiło, że w ogóle dałam ci się namówić. Róża o wszystkim się dowiedziała. Skoro ona nas namierzyła, jest tylko kwestią czasu, kiedy i policja nas nakryje.

— Ale spoko luz, ona nikomu nie powie. Raczej trudno zeznawać z zaświatów — zadrwił.

— Jesteś okropny!

— Nie miała żadnych dowodów. Gadać każdy może.

— Jak to nie miała dowodów? A faktura, którą mi wymachiwała przed twarzą?

— Jaka znowu faktura? Nie wymyślaj głupot. Daj sobie spokój, panikujesz — zbył ją. — Zresztą, sprawa jest załatwiona — zaśmiał się.

— Chyba nie powiesz mi, że to ty??? — zapytała złękzionym głosem.

— Nie bądź głupia! Nie jestem mordercą.

Henryka zmarszczyła brwi. Po prostu musiała zobaczyć, co dzieje się w środku. Przykleiła się plecami do ściany i powoli podsunęła do samej futryny. Z duszą na ramieniu palcem wskazującym prawej ręki delikatnie odchyliła niedomknięte drzwi o kolejnych kilka centymetrów. Zmierzyła pomieszczenie wzrokiem. Na zielonej plastikowej skrzynce po napojach tyłem do niej siedział Mateusz i rozlewał bezbarwną ciecz z pięciolitrowego baniaka do butelek po wódce. W powietrzu unosił się zapach alkoholu. Nad nim stała Zofia z pustą butelką w ręce. Orłowska zanurkowała dłonią w czeluściach torebki, skąd usiłowała wydobyć aparat fotograficzny. Zaaferowania grzebaniem po omacku, nieopatrznie stuknęła o ścianę reklamówką z mięsną puszką kocięj karmy.

— Co to było? — spłoszyła się właścicielka pensjonatu.

— O czym mówisz?

— Ten dźwięk! Chyba nie ogłuchłeś?

— Znowu zaczynasz? Pani Czesia wali garami. Lepiej podaj mi ostatnią butelkę i na dzisiaj będzie fajrant.

— Trzymaj. — Wetknęła mu ją w rękę. — Żeby było jasne, nie na dzisiaj, tylko na zawsze. Zrozumiano?

— Mnie tam wszystko jedno — powiedział obrażonym tonem. — Tylko żebyś później nie żałowała.

Nastał właściwy czas na ucieczkę. Energiczna emerytka rakiem, uważnie stawiając stopy, ruszyła do wyjścia. Co prawda wstępnie planowała, że przechodząc obok kuchni, zajrzy na minutkę do pani Czesi. Tliła się w niej niebezzasadna nadzieja, że gościnna kucharka nie odmówi strudzonej starszej pani talerzyka czegoś na ząb oraz szklanki wrzątku w ramach rekompensaty za niezjedzone śniadanie. Pal lichu kawę i burczenie w żołądku — pomyślała. Miała ważniejsze sprawy na głowie niż gastronomiczne zachcianki organizmu. Zamiast tego od razu zabrała się do pracy umysłowej. Z podsłuchanej rozmowy wynikało, że Bobrownik z Mateuszem mieli żywy interes w uciszeniu Róży. To, że nie zdradzili się przed sobą z zabicia dziewczyny, wcale nie musiało oznaczać, że kiedy zaczęło się robić gorąco, jedno z nich nie załatwiło sprawy za plecami drugiego, a teraz odgrywało farsę. Właścicielka i jej pracownik w oczach Orłowskiej znaleźli się na szczycie listy podejrzanych.

Henryka żałowała, że nie udało jej się zrobić zdjęć podpatzonego rozlewania alkoholu. Zawsze była jednak szansa, że znajdzie fakturę, o której mówili, wtedy miałyby z czym zwrócić się do kapitana Zborowskiego. Tylko gdzie szukać i skąd wiedzieć, o którym konkretnie dokumencie była mowa? — zachodziła w głowę. Dodatkowo niepokoiło ją, że jeśli współnicy mieli wystarczająco dużo zdrowego rozsądku, to na pewno dawno temu spalili niebezpieczny dla nich papier.

ROZDZIAŁ 11

Orłowska wjechała windą na pierwsze piętro i bez zbytecznego pośpiechu wyszła z wnętrza dźwigu.

— AA!!!!!!

Korytarz wypełnił przerażający krzyk kobiety, przywodzący na myśl coś pomiędzy zawodzeniem, trwogą a przerażeniem.

Matko boska, znowu kogoś mordują! — przeraziła się Henryka. Na krótką chwilę zamarała w bezruchu, aby ustalić, skąd dobiega głos. Z uwagi na natężenie hałasu nie stanowiło to trudnego zadania.

Bezwłocznie zdjęła z ramienia torebkę, chwyciła jej pasek w połowie długości (wypchany dobrem różnej maści skórzany wór nie bez przyczyny jawił jej się jako doskonałe narzędzie do obrony) i pocwałowała na przeciwległy koniec korytarza. Wycie przybierało na sile. Orłowska przyłożyła ucho do zamkniętych drzwi pokoju numer trzydzieści jeden, skąd niezaprzeczalnie dobywał się wrzask. To w nich starsza pani poprzedniego dnia widziała zjawę w okularach i chustce na głowie. Setną sekundy później emerytka bezpardonowo przycisnęła klamkę i wparowała do środka z orężem dzierzonym w dłoni na wysokości głowy oraz bojowym okrzykiem na ustach:

— Mam cię, gagatku! Porachuję ci wszystkie kości!

W tej samej chwili wycie ustało, a na starszą panią popatrzyły dwie pary oczu w stanie absolutnego zdziwienia. Scena, którą Orłowska spodziewała się zobaczyć po przekroczeniu progu, diametralnie odbiegała od tego, co zastała. Nie opuszczając torebki i pozostając w szoku, Henryka wydukała:

— A co TY tutaj robisz?

Odpowiedź na wydawałoby się proste pytanie z dość obiektywnego powodu nie nadeszła, wiadomo bowiem, że koty nie potrafią mówić. Było to więc pytanie retoryczne, dlatego niepotrzebnie nie zwlekając, pani Henia przeniosła wzrok z Cziza na nienaturalnie opuchniętą i zaczerwienioną na twarzy najpewniej kobietę. Dla odmiany tym razem zwróciła się do niej:

— Skąd ma pani MOJEGO kota?

Burasek, który dotychczas leżał splaszczony pod stolikiem kawowym, przeczołgał się do stóp swojej wybawczyni i z niewinną miną spojrzał na nią, cichutko pomiaukując.

— A zatem to bydlę należy do pani??? — huknęła kobieta o opuchniętym licu, nadal stojąc bez ruchu obok wspomnianego stolika, ze zwiniętym w rulon czasopismem w dłoni.

— Jakie bydlę? Moje dziecko, przecież Cziz jest zwykłym małym dachowcem. Nie ma się czego bać — uspokajała Orłowska, która nie miała pewności, czy jej rozmówczyni nie pomyliła czasem tego malca z panterą, tygrysem albo przynajmniej rysiem.

— Mówi pani zwykły mały dachowiec? — mruknęła, próbując opanować gniew. — Kiedy poinformuję, co też uczynił TEN zwykły mały dachowiec, jestem ciekawa, czy nadal będzie pani w nim widziała niewinnego koteczka — wycodziła przez zęby.

Henryka miała złe przeczucia. Przed oczyma stanął jej widok zniszczeń, jakich dopuścił się kot w dzień ich pierwszego spotkania. Kątem oka zobaczyła uchylone okno i przypomniała sobie, że i ona zostawiła niedomknięte jedno skrzydło, żeby zwierzak miał zapewniony stały dopływ świeżego powietrza. W myślach dodała dwa do dwóch i pełna obaw zapytała:

— Cziz, coś ty znowu narobił?

Malec, jak gdyby nigdy nic, łąsił się do jej nóg.

— Zaraz pani powiem, co też narobił ten słodki koteczek! Zresztą lepiej niech pani sama zobaczy. — Kobieta wskazała przewróconą na bok torebkę, leżącą na podłodze u nóg krzesła, z której część rzeczy wysypała się na podłogę, tworząc niewielkie pobojuwisko.

— Zrzucił pani torebkę? — zapytała emerytka, łudząc się, że na tym kończy się ta cała sensacja. — Moje dziecko, zaraz wszystko pozbieram i będzie po kłopotcie.

— Pozbieram? Gdyby chodziło o pozбиieranie, sama bym się tym zajęła, a potem przepędziła

futrzonego szczura gdzie pieprz rośnie. — Dama ze wszystkich sił starała się nad sobą panować, niestety nie bardzo jej wychodziło.

Orłowska, która zdążyła się już schylić, chcąc uprzątnąć bałagan i upchnąć dobra do wnętrza designerskiej torebki przypominającej kuferek, w mig domyśliła się, w czym rzecz. Faktycznie, w obliczu zaistniałych faktów porzucenie rzeczy było najmniejszym problemem.

— ON MI TAM NA-SI-KAŁ — bardzo wolno wycedziła przez zęby ofiara niesfornego dachowca. W tej sytuacji nie ulegało wątpliwości, że jej wzburzenie było w pełni usprawiedliwione.

— Tak mi przykro... — wyraziła szczery żal emerytka, jednocześnie starając się oszacować straty. — Cziz, ty świnió — zwróciła się do kota, który ufnie zerknął w oczy właścicielki. Na widok niezadowolonego malującego się na jej twarzy zdezerterował pod szafę.

— To jest oryginalna torebka od GRUBCZINIEGO! Czy zdaje sobie pani sprawę, ile kosztowała?

— Odkupię ją.

— Przecież jej nie da się ot tak odkupić! Takie torebki szyje się na zamówienie, są jedyne w swoim rodzaju. Czekałam na nią kilka miesięcy.

Henryka dokładnie przyjrzała się niewielkiemu kuferkowi z wizerunkiem siedzącego na chmurce myszokoczka, który smakowicie chrupał bordowy kłos pszenżyta. Na własne oczy widziała, że podobne, a może nawet ładniejsze można było kupić na ryneczku za dwadzieścia złotych i to bez czekania przez kilka miesięcy. W oczach Orłowskiej torebka nie prezentowała się szczególnie okazale czy zachęcająco. No, ale jak mówią: *de gustibus non est disputandum*. Ponieważ starsza pani nie zamierzała dodatkowo irytować i tak zirytowanej damy, dlatego powstrzymała się od zbędnego komentarza. Bez słowa zgarnęła wszystko z podłogi, chwyciła kuferek za uszy i ruszyła do łazienki. Aktorka podążyła za nią w milczeniu, oparła się ramieniem o szafkę na ręczniki i z założonymi na piersiach rękoma obserwowała poczynania Heni.

Emerytka tymczasem wyjmowała po jednej rzeczy i układała na brzegu wanny. Te, które wymagały natychmiastowego czyszczenia, obficie polewała mydłem w płynie i przemywała pod kranem ciepłą wodą.

Perfumy w szklanym flaconie, klucze (prawdopodobnie) do mieszkania i samochodu oraz kosmetyki do makijażu wyszły z tej historii bez szwanku. Gorzej było z terminarzem w formie małej książeczki oraz portfelem, które już na pierwszy rzut oka prezentowały sobą obraz nędzy i rozpaczki, że o unoszącej się z nich woni lepiej było nie wspominać. Orłowska odłożyła terminarz na bok, pocieszając się myślą, że dane osób można na nowo przepisać, i skupiła uwagę na eleganckiej portmonetce. Karty bankomatowe i kredytowe wystarczyło przemyć. Podobnie sprawa miała się z dowodem osobistym. Henryka odruchowo zerknęła na niego z obu stron.

— Moje dziecko, przecież ty jesteś tą znaną aktorką Petronelą von Sztumpelfelt — powiedziała, z trudem starając się przypisać twarz postaci z fotografii na dokumencie do stojącej przed nią żywej osoby.

Von Sztumpelfelt nic nie odpowiedziała, zamiast tego zwinnie podskoczyła do emerytki i wyjęła jej z rąk portfel wraz z dowodem. Mimowolnie zmarszczyła nos, poczuwszy odór, jaki dotarł do jej nozdrzy, a następnie z obrzydzeniem odłożyła przedmioty na deskę klozetową, gdzie przykryła je ręcznikiem.

— Widzę, że straty nie są tak duże, jak początkowo sądziłam — stwierdziła, siląc się na uśmiech.

Najwidoczniej nagle coś przyszło jej do głowy, ponieważ odwróciła się do Henryki plecami i w pośpiechu wyszła z łazienki.

Orłowska ruszyła za aktorką, trzymając w dłoni cuchnący kuferek. Petronela chwyciła z komody okulary przeciwsłoneczne i wcisnęła je na nos.

— Moje dziecko, nie ma się czego wstydzić, nikt z nas nie ma idealnej cery. To na pewno minie — pocieszała starsza pani, której zrobiło się szkoda kobiety.

— Cera? — powtórzyła von Sztumpelfelt roztargnionym głosem. — A tak, cera. — Szybkim ruchem nagarnęła pięknie wypielęgnowane włosy do przodu.

— Obawiam się, że terminarz trzeba będzie przepisać, chętnie się tym zajmę — zaofiarowała się Henryka. — Jeśli chodzi o torebkę... Oddam ją do pralni, sądzą jednak, że na niewiele się to zda. Ten, hm..., specyficzny zapach będzie raczej trudny do usunięcia — dodała uczciwie. — W każdym razie zapłacę za wszystko, co nabroił ten łobuz.

Aktorka wyjęła jej delikatnie kuferek z dłoni. Zniesmaczona trzymała go za uszy kciukiem oraz palcem wskazującym możliwie najdalej od siebie.

— Proszę się tym nie przejmować. Co się stało, to się nie odstanie. Tylko mam taką prośbę, żeby na drugi raz uważniej pilnować kotka — powiedziała, zerkając z niechęcią pod szafę, po czym podeszła do drzwi i otworzyła je.

— Ależ nie mogę pozwolić, żeby była pani przeze mnie stratna! Moje dziecko, tak się nie godzi. Proszę obciążyć mnie kosztami — nalegała emerytka, przesuając się bliżej wyjścia, do którego wyraźnie kierowała ją Petronela.

— Nie ma takiej potrzeby. Dajmy temu spokój. A teraz przepraszam, ale muszę wykonać ważny telefon.

— Oczywiście, już nas nie ma. Cziz, chodź, ty łapserdaku — zawołała do zwierza Henryka, a ten wyłonił się spod szafy i podbiegł do pani. Schyliła się, żeby wziąć go na ręce. Odruchowo pogłaskała malca po łebku.

Kiedy pani oraz jej kot wyszli na korytarz, von Sztumpelfelt wychyliła się jeszcze na chwilę z pokoju, prosząc:

— Gdyby była pani tak uprzejma zachować w tajemnicy moją obecność w pensjonacie... Sama pani rozumie, zaraz się zlecą paparazzi, a chciałam w spokoju odpocząć. — Wyszczrzyła drobne, równiutkie zęby w uśmiechu.

— Nie ma problemu. Nawet nie wiem, czemu miałabym o tym komukolwiek mówić — stwierdziła zgodnie z prawdą emerytka. — Raz jeszcze przepraszam cię, moje dziecko, w imieniu swoim i łobuziaka.

Orłowska odstawiła Cziza do pokoju. Wchodząc, nadepnęła zadrukowaną kartkę, którą ktoś najwidoczniej musiał wsunąć pod jej nieobecność przez szparę pod drzwiami.

Szczelnie zamknęła okno i spokojnym głosem, z dużą dozą wyrozumiałości, zaledwie w kilku słowach przestrzegła malca przed kolejnymi ekscesami. Usatysfakcjonowana udzieloną mu reprimendą, którą uznała za absolutnie wystarczającą w zaistniałej sytuacji, pogładziła kota po puszystym futerku. Następnie wydobyla z futerału okulary do czytania i schyliła się po papier.

Pensjonat Yorkshire ma zaszczyt i wielką przyjemność

*zaprosić wszystkich Gości na BIESIADĘ!!!!,
która odbędzie się w dniu dzisiejszym po zapadnięciu zmroku.*

W ramach niniejszego wydarzenia przewidziano dla Państwa wiele atrakcji:

— przejazd saniami zaprzęzonymi w konie,

— ognisko,

— pieczenie kielbasek na patyku,

— regionalną muzykę *NA ŻYWO!*

Zapewniamy również konsumpcję (m.in. bigos, szaszłyki, ziemniaczki z żaru, pieczonki z żeliwnego kociołka, wiejski chleb, masło ubijane zgodnie ze staropolską tradycją, rozliczne napoje).

Chętni do udziału proszeni są o stawienie się punktualnie o godzinie 16:00 w foyer obok recepcji.

Zapraszamy i — mamy nadzieję — do zobaczenia

Z poważaniem

Zespół Yorkshire

Po przeczytaniu ogłoszenia kobieta aż klasnęła w dłonie z uciechy. Cała ta sprawa z morderstwem sprawiła, że Henryka nie skorzystała jeszcze z żadnej z rozrywek zapewnianych przez pensjonat, o których z wypiekami na twarzy czytała w folderze reklamowym ośrodka. Ba, dotychczas nie udało jej się nawet zajrzeć do sali bilardowej, pingpongowej, kręgielni, biblioteki szczycącej się największym księgozbiorem w promieniu kilku kilometrów ani siłowni. Nie dotarła również na zajęcia aerobiku, zumbi (czymkolwiek miałyby być), zdrowego kręgosłupa, a kije do nordic walkingu stały odłogiem w rogu szafy dokładnie w tej samej pozycji, w jakiej postawiła je zaraz po przyjeździe.

Nareszcie nadarza się wspaniała okazja, żeby się trochę rozerwać — pomyślała. Zerknęła na zegarek: czasu było niewiele. Szybko naciągnęła wełniane rajstopy, dodatkowe skarpety zakupione w osiemdziesiątym ósmym na Krupówkach, grube sztruksowe spodnie, podkoszulek, bawełnianą bluzkę z długim rękawem oraz miękki sweter ze srebrną nitką. Na to narzuciła płaszcz i szczelnie owinęła się dwumetrowym szalem. Na stopy po dłuższej próbie udało jej się wcisnąć kozaki wyściełane owczym futrem sięgające przed kolano. Całość zwieńczyła wełnianym kapelusikiem i rękawiczkami z jednym palcem. Stojąc przy drzwiach, zawahała się, czy zabierać ze sobą nieodłącznego towarzysza w postaci skórzanej torebki, wypchanej kilkoma kilogramami przeróżnych rzeczy. Koniec końców zrezygnowała jednak z dźwigania niepotrzebnego balastu i w radosnych podskokach pokonała dystans dzielący ją od pokoju do foyer.

Na miejsce dotarła dokładnie na pięć minut przed wybiciem na zegarze godziny szesnastej. Obok recepcji zdążyła się zebrać większa część gości. Zaśmiewający się do rozpuku Mietek, Halina i Rysio ochoczo zaprosili do swojego grona zbliżającą się Henrykę. Wśród przyszłych biesiadników brakowało jedynie Petroneli von Sztumpelfelt oraz Cezarego z żoną, nikt jednak nie spodziewał się ich stawiennictwa. Tym większe było zaskoczenie obecnych, kiedy ze schodów zeszła opatulona po sam czubek nosa Liliana, a za nią wyłonił się równie dobrze zabezpieczony przed mrozem szacowny małżonek. Delikatnie skinęli głowami na powitanie reszcie osób. Ustawili się w pewnym oddaleniu od nich, gdzie prowadzili rozmowę przyciszonymi głosami.

— Jak miło, że tyłu z państwa się zjawilo! — Bobrownik, która właśnie weszła do budynku, ucieszyła się na widok zebranych. — Zapraszamy do powozów!

Cała grupka ochoczo wylała się na podjazd, gdzie czekały na nich dwuosobowe bryczki. Każda miała woźnicę, który pomagał gościom wygodnie się usadowić. Pierwszy pojazd zajęli Henryka z Mieczysławem, kolejne Halina z Ryszardem, dalsze — Czarek z Lilianą, a ostatnie Zofia z Mateuszem. Na wyposażeniu powozów były idealnie wpasowujące się kolorystycznie do derek

okrywających konie czerwone kraciaste koce. Ledwie pary zdążyły ułożyć je na kolanach, a już rozległy się donośne i wesołe okrzyki:

— Wiśta! Wioo!

Wyruszyli.

Konie głośno rżały, słyhać było tętent kopyt uderzających o ubity śnieg.

— Ale emocje! — uradowała się Henryka.

— Nie zaprzeczę — przyznał Mietek z szerokim uśmiechem.

— I te konie! Coś wspaniałego! — nie ustawała w zachwycie starsza pani.

Nim się obejrzeni, z impetem zajechali na oświetloną pochodniami polanę. Pośrodku niej rozpalono otoczone kamieniami ognisko, z którego na kilka metrów wzwyż buchał ogień. Dookoła rozstawiono namioty, a w nich stoły z ławkami. Z metalowych podgrzewaczy roztaczały po całej okolicy apetyczny aromat potrawy, których jakości osobiście doglądała pani Czesia. Dodatkowo, kto miał ochotę, mógł samodzielnie usmażyć sobie kiełbaskę na patyku, opalając ją tak długo, jak uważał za stosowne. Ten zachwycający sielski obrazek dopełniała skoczna muzyka, grana i wyśpiewywana przez trzyosobowy zespół, specjalizujący się w zapewnianiu oprawy dla takich imprez.

Goście zaraz po wyładowaniu się z powozów stanęli w kolejce po jedzenie. Henryka, która znalazła się w środku ogonka, spostrzegła, że zza śmietnika zakamuflowanego z boku namiotu przywołuje ją do siebie Arletta, intensywnie wymachując prawą ręką. Emerytka dyskretnie odłożyła talerz na bok i oddaliła się od towarzystwa. Pozostali biesiadnicy, wpatrzeni niczym zahipnotyzowani w skwierzącą kaszanekę, parujący bigos tudzież mięsistą karkówkę z podsmażaną kapustą, nawet nie odnotowali zniknięcia Orłowskiej.

— Arletko, moje dziecko, o co chodzi? — zapytała kobieta.

— Udało mi się ustalić, jak jest z tymi guzikami. Niech pani chwilę poczeka, zrobiłam sobie notatki, żeby się czasem nie pomylić. Byłoby wstyd, gdyby Watson wprowadził Sherlocka w błąd — zażartowała.

— Szybko się z tym uwinęłaś! — pochwaliła ją Henryka. — Tyle że ja już widziałam płaszcz pani Czesi. Wiem, że to ona ma guziki, których szukałyśmy. Tylko kompletnie nie mogę zrozumieć, dlaczego żadnego nie brakuje...

— Pani Henryko! To jeszcze nic! Zaraz przeczytam, co mam na kartce, i wtedy dopiero pani niczego nie będzie rozumiała. — Dziewczyna ekscytowała się, grzebiąc w kieszeni kurtki. — No, gdzie ja to mam!

Kryjówka za kontenerami na odpadki niesłusznie wydawała im się wprost idealnym miejscem do prowadzenia potajemnej rozmowy. Zaaferowane kobiety nie zauważyły, kiedy niespodziewanie od strony bryczek nadszedł Zygmunt. Barytonu recepcjonisty, który rozległ się za ich plecami, sprawił, że obydwie podskoczyły z przestachu.

— Arletto! Gdzie ty się podziewałaś? Proszę natychmiast wracać do pracy. Przecież pani Czesława nie da rady sama wszystkiego zrobić — pouczył wyniosłym tonem młodszą koleżankę, po czym zdecydowanie miłszym głosem zwrócił się do jej towarzyszkii: — Witam, pani Henryko. Mam nadzieję, że dobrze się pani bawi.

— Tak, wspaniale. Proszę się nie gniewać na Arletkę, to ja ją zagadałam. Dziewczyna jest niewinna. — Holmes stanął w obronie swojego Watsona.

— Dobrze, zapomnijmy o sprawie. — Zygmunt wykazał się wielkodusznością. — Arletto, proszę, żebyś bezzwłocznie wracała do pracy. A panią, pani Henryko, zapraszam do stołu. Kucharka dziś przeszła samą siebie.

Dziewczyna zareagowała błyskawicznie. Chwyając Orłowską pod rękę, przemówiła:

— Spadło dużo śniegu, kto wie, czy nie jest ślisko. Bezpieczniej będzie, jeśli zaprowadzę panią do namiotu. Okropnie byłoby się przewrócić i złamać nogę na wczasach!

— Jak to miło z twojej strony, moje dziecko. Serce rośnie, kiedy widzę, jak młodzież znajduje czas, żeby zaopiekować się starszą osobą — stwierdziła pani Henia.

— Nie przeczę — wycedził Zygmunt przez zęby. — Życzę pani miłego wieczoru, a ty, Arletto,

najpierw pomóż pani Henryce, a potem wracaj do swoich zajęć. — Recepcjonista planował powiedzieć coś zgoła innego, ale po słowach emerytki uznał, że nie spotka się to z dobrym przyjęciem.

— Dobra, dobra — mruknęła pokojówka, która niespecjalnie przejęła się szarogęszeniem Zygmunta.

Kobiety odeszły w stronę namiotu z jedzeniem.

— Tu nie damy rady spokojnie porozmawiać, nie ma do tego warunków. Ten tylko stoi i pilnuje porządku. Samozwańczy kierownik się znalazł, mądrała jeden. — Dziewczyna spojrzała przez ramię z niesmakiem na recepcjonistę. — Jutro proszę nie iść na śniadanie, przywiozę je na wózku. Powiem pani Czesi, że się pani przejadła podczas biesiady i dostała niestrawności. To norma u gości po takich zakrapianych imprezach, więc nikt się nie zdziwi, a będę miała pretekst, żeby przyjść, i zdam pani relację z tego, co wiem.

Orłowska zawahała się. Nie była pewna, czy chce uchodzić przed personelem pensjonatu za osobę nieznaną umiaru w jedzeniu, a tym bardziej w picciu. Szybko jednak uznała, że nie będzie marnować energii na przejmowanie się głupstwami. Pomysł był naprawdę dobry.

— W porządku, moje dziecko. Tak zróbmy — przystała na propozycję.

Henryka stała przy pojemnikach z potrawami i z zadowoleniem przyglądała się pani Czesławie nakładającej jej jadła od serca. Plastikowy talerz aż ugiął się od ciężaru potraw. Starsza pani z trudem doniosła go do stolika.

— Można się przysiąść? — zapytała Halinkę, Rysia i Mietka rozprawiających o czymś w najlepsze.

— Heniu, oczywiście! Śmiało, śmielutko — zachęcił Mieczysław, robiąc jej miejsce obok siebie na ławce.

— A gdzie pozostali goście? — Orłowska rozejrzała się w poszukiwaniu Cezarego oraz Liliany.

— Pojechali — zwięźle poinformował Ryszard.

— Dlaczego? — nie mogła się nadziwić emerytka.

— A kto to wie. Coś mówili o hałasie, zimnie, plastikowych naczyniach, sztuccach i o pigwówce. Potem hyc do dorożki i tyle ich widzieliśmy — zdradziła jak zawsze dobrze zorientowana Halinka. — Ich strata — podsumowała, chrupiąc wysuszone na wiór skrzydełko kurczaka umazane musztardą.

— A skoro mowa o pigwóweczce, Heniu, to poleję ci na rozgrzewkę? — zaproponował brodac.

— Odrobinę, tak dla zdrowotności — zgodziła się starsza pani.

— Nam również przyda się kapka na rozgrzewkę — dodała Halinka, podstawiając kubki małżonka i swój.

Posilone i rozbawione procentami towarzystwo przesiadło się do ogniska, gdzie w krótkim czasie udało im się ochrypnąć po kilku pełnych zaangażowania wykonaniach *Góralu, czy ci nie żal, Ogniska już dogasa blask i Czerwonych koralu*. Zmęczeni, a jednocześnie zadowoleni, zrezygnowali z dalszych śpiewów i zaczęli rozmawiać.

— Jak tu pięknie. Wszystko tak dobrze zorganizowane... — pochwaliła Orłowska.

— A z jakim rozmachem! Moja żona byłaby wniebowzięta. Zawsze lubiła bliskość natury. Nic tak nie smakuje jak własnoręcznie upieczona na patyku kielbaska ze świeżym chlebem i keczupem. Nawet nie sądziłem, że aż tak bardzo będzie mi brakować Anieli — zwierzył się Miecio.

— Dobrze, że chociaż możesz przyjechać tutaj, gdzie przez tyle lat jeździliście we dwoje, żeby powspominać stare dobre czasy. Niektórym pozostałoby tylko pomarzyć o opłaceniu pobytu w Yorkshire z emerytury — pocieszał krzepki rudzielec.

— A z jakiej tam emerytury! Z emerytury wystarczyłoby mi co najwyżej na przejazd.

— Jeszcze pracujesz? — zdziwiła się Halinka.

— Nie. Od śmierci Anieli nie — udzielił zdawkowej odpowiedzi Miecio, wgrzyzając się w gorącą kielbasę.

— Pewnie wynajmujesz mieszkania — uznała Halina. — Czytałam, że to doskonały interes. Rysiu, może i my powinniśmy kupić jakieś M-3 i znaleźć lokatorów? Trzeba dużo zainwestować na wejściu, ale jeśli by się zwróciło, wtedy warto...

— Nie, nie z wynajmu — przerwał jej Mieczysław.

— W takim razie jesteś rentierem! — nie dawała za wygraną kobieta. — Odsetki niewielkie, ale jeśli zdeponujesz w banku odpowiednio dużą kwotę pieniędzy, żyjesz niczym król.

— Nie jestem rentierem — zaprzeczył Mietek. Na widok otwierającej usta Halinki równie szybko, co niechętnie dodał: — Mam pieniądze z polisy ubezpieczeniowej Anieli. Trwało to i trwało, ale w końcu wypłacili mi niemałą sumę. Człowiekowi tylko tak się wydaje, że pieniądze wynagrodzą stratę, ale to wcale nieprawda. — Jednocześnie pociągnął nosem i bimberek.

Humory zebranych nieco się pogorszyły. Zapadła ciężka cisza, którą Henryka postanowiła sprytnie wykorzystać, żeby sprowadzić rozmowę na inne tory, korzystne dla swojego dochodzenia. Zmiana tematu nie odbyła się w najzgrabniejszy sposób, ale i tak wszyscy przyjęli ją z wyraźną ulgą.

— Słyszałam od kucharki, że jeszcze przed śniadaniem lubisz się, Halinko, napić kawki. Przyznam, że i ja jestem wielką fanką świeżo parzonej arabiki. Najbardziej smakuje mi świeżo mielona, to jest dopiero aromat!

— Ja preferuję z ekspresu. Do tego kapka mleczka albo śmietanki. Rysio mnie rozpieszcza, dlatego codziennie rano mogę liczyć na gorącą filiżankę czekającą na nocnym stoliku — spojrzała z wdzięcznością na męża — nawet tutaj, w pensjonacie. Zanim się obudzę, Rysio już jest na dole u pani Czesi. Kiedy otwieram jedno oko i czuję ten pobudzający zapach kawy, od razu chce się zacząć dzień.

— Kochani, poczekajcie! Teraz tak sobie pomyślałam... — Orłowska genialnie upozorowała olśnienie. — A w dzień, kiedy zabito pokojówkę, czy wtedy też byłeś, Rysiu, po kawę w kuchni?

— Oczywiście, że tak. Jak co dzień — zapewnił mężczyzna.

— Która mogła być godzina? — zapytała Henryka.

— Moment, niech się zastanowię. — Dentysta zadumał się. — Na śniadanie szliśmy trochę po siódmej, więc to musiało być może z dziesięć, piętnaście po szóstej. Po kilku minutach wracałem.

— I z pewnością mijalesz gabinet, w którym zginęła ta dziewczyna? — dopytywała starsza pani.

— Do czego zmierzasz, Heniu? — chciała wiedzieć Halina.

— No, bo zobaczcie: Ryszard powiedział, że Róża zmarła orientacyjnie między szóstą a siódmą. Zatem kiedy szedł chwilę po szóstej po kawę do kuchni i mijał biuro właścicielki, mógł przypadkiem być świadkiem czegoś ważnego, co pomogłoby policji złapać mordercę!

Cała trójka, z Mieciem na czele, wyraźnie się ożywiła. Tylko Ryszard nie wykazywał oznak zainteresowania tematem.

— Niestety, muszę was rozczarować. Nikogo ani niczego nie widziałem.

Naraz zrobiło się głośno niczym w ulu, każdy miał coś do powiedzenia.

— Ryśku, spróbuj się jeszcze zastanowić — nalegał Mieczysław.

— Może ktoś cię mijał albo widziałeś jakiś cień, słyszałeś głos — mnożyła możliwości Orłowska.

— O matko, a jeśli przy okazji morderca i tobie by coś zrobił? To byłoby przenajstraszniejsze. — Małżonka łamała ręce. — Rysiu, jak dobrze, że nic ci się nie stało!

— Aniele, a co miałyby mi się stać? Kochanie, niepotrzebnie się denerwujesz — uspokajał żonę Ryszard. — Zapewniam was, że nic nie zwróciło mojej uwagi — powiedział do pozostałej dwójki.

— Wielka szkoda — wyrwało się Orłowskiej. — A drzwi do gabinetu były otwarte czy zamknięte?

— Hm... chyba zamknięte. Tak. Na pewno zamknięte, przynajmniej na klamkę. — Nie dopuszczając nikogo do głosu, dodał: — I uprzedzę wasze kolejne ewentualne pytania, nie dochodził zza nich żaden dźwięk, kiedy szedłem w jedną bądź w drugą stronę.

— Dajcie już temu spokój — zarządziła Halina. — Policja prowadzi śledztwo i z pewnością znajdzie winnego. Swoją drogą z tej dziewczyny była niezła aparatka. Kiedy sobie przypomnę, że oskarżyła cię, Mieciu, o popalenie trawki... — parsknęła śmiechem.

— Halinko, nie wiem, o czym mówisz — zdziwił się Mieczysław, zerkając znad plastikowego kubka na współbiedniczkę.

— Jak to nie wiesz? Zapomniałeś? — Żona dentysty popatrzyła z rozbawieniem na mężczyznę. — Sama słyszałam. Już opowiadałam o wszystkim Heni i Rysiowi. To było wtedy, kiedy Róża skończyła u nas sprzątać i poszła do ciebie. Ściany są cienkie, więc słyszałam, jak narobiła rabanu, że palisz marihuanę. Kompletny absurd. Boki zrywać. Skąd u niej takie pomysły? — rechotała.

— Halinko, coś ci się musiało przesyśleć — obstawał przy swoim brodac.

— Ależ absolutnie nie! — Halina spoważniała. — Słyszałam na własne uszy.

— Myszko, może ci się wydawało... — nieśmiało przemówił jej mąż.

— Nic mi się nie wydawało! — obruszyła się. — Mietku, powiedz prawdę — zażądała.

Sytuacja się zaogniła. Kobieta patrzyła w oczy Mieczysława i nie wyglądało na to, żeby miała ustąpić. W mroku nocy trudno było cokolwiek wyczytać z twarzy mężczyzny, oświetlanej jedynie blaskiem ogniska, jednak uważnie przyglądająca mu się Henryka dałaby sobie odciąć rękę, że zaczerwienił się aż po czubki uszu. Poglądził się po brodzie i w końcu przemówił ze złością:

— Dobrze. Niech wam będzie. Skoro musicie wiedzieć, powiem wam. Faktycznie, ta mała przyszła do mnie i zaczęła wymyślać takie rewelacje. Nawet mówiła o policji, a potem zносиła mi jakieś dziwne ulotki. Coś sobie ubzduriała. W życiu nie miałem do czynienia z narkotykami. To, co znalazła, to były zwykłe skręty z tytoniu. Chciałem trochę oszczędzić, więc sam sobie robię papierosy. Macie świadomość, ile kosztuje jedna paczka? Moje konto nie jest studnią bez dna. Każdego dnia kwota z polisy po Anieli uszczupla się. Sami wiecie, jaki drogi jest pobyt tutaj. Poszedłem do kiosku, kupiłem tytoń, bibułki i skręciłem. Wszystko w pełni legalne. Nie chcecie, nie wierzcie, wasza sprawa. — Gdy skończył mówić, wstał i odszedł w kierunku namiotu z jedzeniem.

Pozostałym zrobiło się jakoś niewyraźnie, dlatego z ulgą przyjęli fakt, że godzina zrobiła się już dość późna, więc trzeba było się zbierać do powrotu.

W drodze do pensjonatu rozmowa między Mietkiem a Henryką nie kleiła się. Mężczyzna stracił dobry humor i dało się wyczuć, że jedynie z czystej uprzejmości podtrzymywał konwersację. Również starszej pani odpowiadanie na pytania przychodziło z niejakim trudem, gdyż jej myśli były zajęte czymś innym. Przy wtórze tętentu kopyt zastanawiała się, dlaczego Mieczysław od razu nie przyznał, że Róża niesłusznie go podejrzewała. A może rzecz w tym, że wcale nie tak niesłusznie, jak ich gorliwie zapewniał? — rozważała kobieta. No i kwestia polisy żony. A jeśli zabił ją dla pieniędzy? Emerytka spojrzała na dobrodusznego brodacza. Nie, to bzdura, szybko odsunęła od siebie tę niepokojącą myśl.

ROZDZIAŁ 12

Od bladego świtu Henia czekała na Arletę. Wraz z wybiciem na zegarze godziny siódmej, tak jak się umówiły poprzedniego wieczora, kobieta zadzwoniła do recepcji z prośbą o dostarczenie śniadania bezpośrednio do pokoju. Trochę żałowała, że ominie ją królewski posiłek rozstawiony na kilku stołach, gdzie do woli mogłaby wybierać i przebierać w smakołykach, a najbardziej ubolewała nad tym, że będzie się musiała ograniczyć do jednej filiżanki kawy zamiast trzech dolewek, które zaordynowałyby sobie w restauracji. Jednak z głośnym westchnięciem postanowiła poświęcić się dla dobra śledztwa.

Pozornie zajęta wypełnianiem krzyżówek panoramicznych, nasłuchiwała dźwięków dochodzących z korytarza, a dodatkowo raz na jakiś czas podchodziła do drzwi i wyglądała, czy dziewczyna nie idzie. Takie zachowanie nie było charakterystyczne dla zazwyczaj cierplivej Henryki, lecz trzeba uczciwie przyznać, że sytuacja nie była codzienna, a ze wszech miar wyjątkowa.

O dziewiątej Orłowska poważnie się zaniepokoiła. Próbowwała wymyślić racjonalny powód, dla którego Arletta dotychczas się nie zjawiła. Nie opuszczały jej złe przeczucia. A jeśli coś jej się stało? A jeśli znalazła ważny dowód potrzebny do wyjaśnienia sprawy, a morderca się o tym dowiedział? Może podsłuchał je podczas wczorajszej rozmowy i pozbył się niewygodnego kłopotu w postaci Bogu ducha winnej pokojówki, zanim zdradziła współpracę swoje odkrycie? Pomysły niczym historia z powieści kryminalnej. Starsza pani skrzywiła się. Że też akurat jak na złość przeszkodził im pan Zygmunt! Gdyby wczoraj wszystko wyjawiała, teraz byłaby bezpieczna. Och, a jeśli to on jest winien zabójstwa Róży? — nagle przyszło jej do głowy. Dalsze rozważania przerwało narastające z każdą chwilą skrzypienie toczących się po wykładzinie z dużą prędkością kółek. Henryka niczym porażona prądem podskoczyła z łóżka, na którym siedziała, i podbiegła do drzwi. Wstrzymując oddech, nacisnęła klamkę i odważnie postanowiła się zmierzyć z rzeczywistością. W myślach powtarzała sobie: żeby to była Arletta, żeby to była Arletta... Najwidoczniej opatrność postanowiła wysłuchać jej prośb, ponieważ pchającym wózek był nie kto inny, a właśnie energiczna dziewczyna.

— Dziecko kochane! Jaka ulga! Bogu dzięki, że nic ci się nie stało!

Arletta pędziła w kierunku starszej pani na złamanie karku, zupełnie nie zważając na fakt, że z każdym przemierzonym centymetrem korytarza co nieco wylewało się ze szklanek i wysypywało z talerzyków wprost na wykrochmalony i już nieczysty obrus. Henryka miała ochotę wyściskać pokojówkę, co też bezzwłocznie uczyniła. Zaskoczona tak miłym powitaniem dziewczyna zastygła w bezruchu, ściskając oburącz rączkę wózka.

— Też się cieszę, że panią widzę — powiedziała podekscytowanym głosem. — Niech tylko wepchnę to ustrojstwo do pokoju. Ile jest roboty! Jeśli szybko nie znajdą kogoś na miejsce Róży, to się zamęczymy. Przepraszam, że tak długo mi zeszło, no po prostu nie było się jak wyrwać. Pewnie musiała pani bardzo zgłodnieć.

— Nic nie szkodzi, moje dziecko. Zupełnie się tym nie przejmuj. Jedyne co, to martwiłam się o ciebie.

— O mnie? A dlaczego? — zapytała zdziwiona Arletta, podając emerytce filiżankę z kawą.

— Dziękuję ci, moja kochana. — Kobieta z radością odebrała napój.

— Przyniosłam pani cały dzbanek kawy, żeby było też na później — zdradziła pokojówka, uchylając obrus, pod którym na dolnej półce wózka pysznił się pękaty dzbanek srebrnego koloru.

— Jak cudownie! Jesteś kochana! — Na widok litowego termosu Orłowskiej zaświeciły się oczy. — Bałam się, że coś ci się stało. Wczoraj chciałam mi opowiedzieć o ważnym odkryciu, ale nam przerwano. Siadaj, dziecko, co będziesz tak stała. Daj odpocząć nogom, jeszcze się w życiu nachodzisz. Nalej sobie kawki.

— Nie, dziękuję. Piłam po przyjściu do pracy. Zresztą muszę wracać do obowiązków, tylko najpierw powiem, co wiem! Ale sensacja, kino, mówię pani, normalnie kino! — Dziewczyna wyjęła z kieszeni małą karteczkę i guzik. — Nie uwierzy pani! Ba, ja sama nie mogę uwierzyć, chociaż widziałam wszystko na własne oczy.

— Mów, dziecko kochane, nie trzymaj mnie dłużej w niepewności. Jeszcze znowu nam ktoś przeszkodzi — ponagliła Henryka.

— Racja. — Pokojówka podała kobiecie guzik. — Takie same guziki ma przy płaszczu pani Czesia.

— Tak, widziałam. Dziwna sprawa. Zauważyłam też, że ma pełen komplet.

— Ale na tym nie koniec! Identyczne mają jeszcze przy szlafroku pan dentysta i przy marynarce pan od staroci!

— Jak to? Trzy osoby? To przecież niemożliwe... — zdziwiła się emerytka. — Jesteś pewna, Arletko?

— Absolutnie! Sama byłam porażona odkryciem. Przykładałam ten znaleziony przez panią guzik do tamtych, patrzyłam ze wszystkich stron. Nie może być mowy o pomyłce. Trzy osoby! A na dokładkę nikomu żadnego nie brakuje. Co to może znaczyć?

— Nie wiem, moja droga. Naprawdę nie wiem — przyznała zdezorientowana Orłowska. — Muszę się dobrze nad tym zastanowić. Sprawa jest bardziej zagmatwana, niż mi się wydawało. W każdym razie dobra robota, Arletko!

— Dziękuję. Niestety niczego więcej się nie dowiedziałam.

— Dziecko kochane, jeszcze ci mało? Będę miała co rozpracowywać przez cały dzień albo i dłużej. Nie mogłabym sobie wymarzyć lepszego Watsona.

— Pani jest taka miła — zaśmiała się dziewczyna w odpowiedzi na usłyszaną od Holmesa pochwałę. — Na mnie czas.

Henryka wstała, żeby odprowadzić pokojówkę do drzwi. Arletta złożyła karteczkę na pół i schowała do kieszonki fartuszka.

— A to co? — zapytała Orłowska.

W mgnieniu oka założyła okulary do czytania i przychyliła się.

— To? — Pokojówka popatrzyła na miejsce, któremu przypatrywała się Henryka. — Plamy po soku z buraków. Tak mi przynajmniej powiedziała Róża.

— Ten fartuszek należał do Róży?

— Tak, dała mi go dzień przed śmiercią. Akurat wtedy wieczorem zaraz po pracy poszłam do niej na pogaduszki. Powiedziała, że próbowała sprać sok, ale nie schodził. Proszę sobie wyobrazić, że chciała wyrzucić ten fartuch, a następnego dnia założyć nowy. Szkoda mi było takiej ładnej rzeczy, a ponieważ jej był niepotrzebny, więc wzięłam go sobie. Trochę widać kropki, ale są takie małe, że w niczym nie przeszkadzają. Lecę. Kiedy się czegoś dowiem, dam znać.

— Dobrze.

Henryka otworzyła drzwi i coś jej się przypomniało.

— Arletko, powiedz mi jeszcze jedną rzecz.

— Tak? — zapytała dziewczyna, stojąc jedną nogą na korytarzu.

— Myślisz, że Róża mogła szantażować gości?

— Nie — odpowiedziała ze stuprocentową pewnością pokojówka — wykluczone.

— Wydajesz się być o tym przekonana.

— Bo jestem. Ona była aż do przesady porządna. Brzydziłaby się szantażem.

— Może skusiły ją pieniądze?

— Nie. Nigdy w życiu. To jest niemożliwe. Szybciej uwierzyłabym, że kosmici wylądowali u mnie w ogródku, niż zwątpiłabym w uczciwość Róży. Co można było jej zarzucić, to można było, ale z całą pewnością nie szantaż.

Henryka miała kilka ważnych kwestii wymagających przemyślenia i kroków do podjęcia. W pierwszej kolejności należało się jednak posilić. Wiadomo bowiem, że mózg, któremu dostarczonej wysokiej jakości paliwa (ze szczególnym naciskiem na odpowiednią dawkę kofeiny), pracuje zdecydowanie lepiej. Dlatego zaraz po wyjściu dziewczyny starsza pani wypila jednym haustem dwie filiżanki gorącej i mocno słodzonej kawy. Całość przegryzła kanapeczkami z masłem, ogórkiem i pomidorem, a kulkę mozzarelli oddała patrzącemu na nią błagalnym wzrokiem kociakowi. Sama chrupnęła na zakończenie chips z bekonu (pyszny!), topinamburu (jak ludzie w ogóle mogą to jeść,

nawet nie wspominając o zachwycie???) oraz kilka orzechów brazylijskich, a następnie zabrała się do pracy umysłowej. Najwidoczniej zarówno paliwo, jak i silnik były doskonałe, ponieważ po niedługim czasie Orłowska wiedziała, co robić dalej.

Na początek postanowiła zająć się właścicielką pensjonatu. Zeszła na dół i zapukała do drzwi gabinetu.

— Proszę. — Usłyszała w odpowiedzi.

— Dzień dobry, mogę zająć chwilkę? — zapytała.

— Oczywiście, zapraszam. — Zofia wyszła zza biurka, żeby odsunąć gościowi krzesło. — Proszę sobie usiąść — zachęciła.

— Dziękuję ci, moje dziecko. — Henryka szczerze zamknęła za sobą drzwi i usiadła.

Zanim zaczęła mówić, poczekała, aż Bobrownik wróci na swój fotel.

— Co panią do mnie sprowadza, pani Heniu? — Kobieta uśmiechnęła się serdecznie.

— Moje dziecko, nie będę owijała w bawełnę. Przychodzę w sprawie Róży. Chciałam wyjaśnić pewną sprawę, która nie daje mi spokoju.

— O! — zdziwiła się Zosia. — A jak ja mogłabym w tym pomóc?

— Szkoda czasu, więc powiem prosto z mostu. Widziałam cię, kiedy wyjmowałaś jakiś skrawek papieru z jej dłoni, a następnie schowałaś go do kieszeni. To było wtedy u ciebie w gabinecie, gdy już nie żyła.

Zofia zbladła.

— Ależ musiało się pani... — zaczęła, nie zdążyła jednak dokończyć, ponieważ Henryka weszła jej w słowo:

— Nie, moje dziecko. Nic mi się nie przywidziało, jeśli to chciałaś powiedzieć. Nie ma sensu kłamać. Porozmawiajmy szczerze. Trochę wstyd się do tego przyznać, ale podglądałam was wczoraj podczas rozlewania alkoholu. Mam na myśli ciebie i tego młodego kelnera. Słyszałam każde słowo. Na razie niczego nie zdradziłam policji, bo najpierw postanowiłam przyjść, że tak powiem, do źródła.

— Będzie mnie pani szantażować? — zapytała zrezygnowanym głosem właścicielka.

— Skądże znowu! Oczywiście, że nie — zaprzeczyła energicznie starsza pani. — Róża też o wszystkim się dowiedziała, prawda? Chciała was wydać.

— Tak... Skąd pani wie?

— Domyśliłam się.

— Matko, co ja najlepszego narobiłam! — jęknęła kobieta, ukrywając twarz w dłoniach. — Proponowałam, że jej zapłacę za milczenie, ale Róży nie interesowały pieniądze. Na samą propozycję oburzyła się, zresztą podobnie jak pani teraz.

— Opowiedz mi, proszę, jak to było.

Bobrownik zawahała się. Smutnym wzrokiem popatrzyła w oczy staruszce.

— W porządku. Opowiem. W sumie czemu nie miałabym tego zrobić, skoro pani i tak o wszystkim wie... To było jakiś tydzień temu. Właśnie wychodziłam do domu, kiedy zajrzała tutaj Róża. Była wzburzona. Od razu kazałam jej usiąść, podałam szklankę wody. Zapytałam, co ją tak zdenerwowało, i wtedy zaczęła. Mówiła, że ją rozczarowałam, nie spodziewała się tego po mnie. Nie wiem, w jaki sposób się o tym dowiedziała, nie zdradziła mi, a ja nie dociekałam. Zresztą, jakie by to miało znaczenie? Przyszła zapytać, czy prawdą jest, że z Mateuszem rozlewamy nielegalnie pozyskany bimber. Wystraszyłam się i zaprzeczyłam. Cała sprawa zdarzyła się tylko kilka razy, przysięgam!

— Wierzę ci, moja droga.

— To wina tego cholernego remontu! Koszty okazały się wyższe, niż sądziłam. Jedno skrzydło rozgrzebane, końca prac nie widać.

— Dlatego też zaczęliście udostępniać pokoje gościom. Potrzebne były pieniądze — odpowiedziała Orłowska.

— Tak, ale okazało się, że i to nie wystarcza. Chciałam uniknąć zwolnień. Wtedy przyszedł do mnie Mateusz, zachwycał się bimbrem, który robi jego znajomy. Na wieczorki z folklorem, kuligi taki alkohol jest jak znalazł. Skusiła mnie okazyjna cena, ale tak naprawdę oszczędność była znikoma, a ile

narobiłam sobie kłopotu... Dłużej nie chciałam brać udziału w takim idiotycznym procederze, miały być jeszcze tylko dwie partie, ostatnią widziała pani wczoraj. Nigdy więcej. Obiecuję pani, że nigdy więcej tego nie zrobię. — Głos Bobrownik zdradzał, że jest na skraju płaczu.

— Domyślałam się, moje dziecko — powiedziała ze współczuciem emerytka. — Ale wracając do Róży: czy uwierzyła ci, kiedy zaprzeczyłaś?

— Nie wiem. Trudno powiedzieć. W każdym razie poszła sobie. Dzień przed śmiercią zadzwoniła do mnie, kiedy już byłam w domu. Powiedziała, że ma dowód mojego kłamstwa i oszustw, ale chce dać mi szansę. Przekonywała, że lepiej, bym sama zgłosiła się na policję, w przeciwnym razie następnego dnia ona pójdzie.

— Jaki miała dowód?

— Podrobioną fakturę. Prosiłam, żeby nie robiła niczego pochopnie, przecież jeśli pensjonat będzie miał kłopoty, odbije się to na pracownikach, bo będę musiała zwolnić część ludzi. W końcu zgodziła się ze mną spotkać nazajutrz rano. Tyle że kiedy przyszłam, zastałam ją leżącą w kałuży krwi. Przysięgam na wszystkie świętości, ja jej nie zabiłam! — zarzekała się Zosia. — Nie mam z jej śmiercią nic wspólnego! Proszę mi uwierzyć.

Starsza pani pokiwała głową.

— Świstek papieru, który wyjęłaś jej z dłoni, był kawałkiem wspomnianej faktury, prawda? — zapytała.

— Chyba tak — przyznała Bobrownik. — Nie widziałam całości, a jedynie ten skrawek, dlatego mogę się tylko domyślać. Nie mam pojęcia, co stało się z resztą. Wpakowałam się w straszne kłopoty. Sprawa alkoholu to pestka, ale kto w obliczu tego uwierzy mi, że nie zabiłam Róży? — zaczęła szlochać.

— Moje dziecko, na razie nie wyciągajmy pochopnych wniosków. Poproś do nas Mateusza.

— Myśli pani, że on...? Nie, ja w to nie wierzę — zaprzeczyła. — Niemożliwe, żeby Mateusz przyłożył rękę do zabójstwa. — Zofia stanęła w obronie pracownika, a jednocześnie współnika w nielegalnej działalności.

— Poproś go — łagodnie, choć stanowczo powtórzyła starsza pani.

Właścicielka pensjonatu uniosła słuchawkę telefonu i wezwała do siebie chłopaka.

— Zaraz przyjdzie — powiedziała z rezygnacją w głosie, ocierając łzy.

Po chwili zjawił się Mateusz. Głośno zapukał do drzwi i nie czekając na odpowiedź, otworzył je na całą szerokość.

— Co tam? — zapytał, wpadając niczym burza do gabinetu. Nagle zamarł w pół kroku. — O, pani tutaj... — powiedział na widok emerytki.

Z postawy ciała kelnera Henryka nie bez satysfakcji wyczytała, że długowłosy amant miał wielką ochotę uciec.

— Dzień dobry panu — przywitała go grzecznie.

— Zamknij drzwi — nakazała mu przełożona.

Choć nie bez wahania, jednak posłusznie wykonał polecenie. Panie odwróciły się do niego twarzami. Jako że nie było kolejnego krzesła, nie mogły zaproponować mu, żeby spoczął.

— Młody człowieku, chciałabym się dowiedzieć, co masz do powiedzenia w temacie śmierci Róży. Tylko tym razem bardzo proszę o prawdę. — Henryka spojrziała na niego groźnie.

— Ależ droga pani, już wszystko pani powiedziałem. — Chłopak uśmiechnął się szeroko i na pozór serdecznie. — To była wspiana koleżanka, bardzo się lubiliśmy, nawzajem sobie pomagaliśmy...

— Daj spokój. Pani Henryka wszystko wie o bimbrze i o tym, że Róża nas zdemaskowała — zirytowała się Bobrownik.

— Nie wiem, o czym jest mowa.

Zosia nie pozwoliła, żeby dalej brnął w kłamstwo. Uderzyła pięścią w stół, mówiąc ze złością:

— Dostyć! Nie kłam. Pal sześć sprawę bimbru, to jest bzdura bez większego znaczenia przy ewentualnym oskarżeniu o morderstwo. Ja jej nie zabiłam i wierzę, że ty też nie, dlatego mów prawdę, inaczej możesz tylko pogorszyć naszą sytuację.

Najwidoczniej argumentacja przemówiła do kelnera, ponieważ po słowach szefowej zdecydował

się zrezygnować z laudacji pod adresem denatki i wyjawić, jak sprawy naprawdę się mają.

— Dobra. Nie czarujmy się. Ta wścibska panna musiała mnie podsłuchać, kiedy rozmawiałem przez komórkę o nowej dostawie bimberku. Zrobiła wielkie halo. Najpierw poleciała do Zośki na spytki, bo nie mogła uwierzyć, że nasza ukochana szefowa posunęła się do czegoś takiego. Zośka ją zbyła, więc Róża zaczęła węszyć. Ona nie była z tych, co by łatwo ich zwieść. — Mateusz wyłożył karty na stół. — W końcu przyszła i do mnie. Kazała mi iść na policję. Niedoczekanie! Jej słowo przeciwko mojemu.

— Czy miało to miejsce w dzień przed śmiercią Róży? Mówisz, chłopcze, o waszej kłótni w korytarzu obok restauracji? — chciała uściślić Henryka.

— Tak — przyznał butnie.

— Mylisz się, młodzieńcze, nie tylko słowo przeciwko słowu. Róża miała fakturę, która potwierdzała przekręt. — Orłowska obserwowała jego reakcję.

— Fakturę? Jaką znowu fakturę? — Pytając popatrzył na szefową. — Zośka, ty wiesz, o co chodzi?

— Wiem, o lewą za alkohol. Przecież ci mówiłam, ale oczywiście nie potraktowałeś mnie poważnie. Uznałeś, że wymyślam i histeryzuję.

— Skąd niby ją wystrasnęła? — Zmarszczył brwi.

— Mnie nie pytaj. Nie mam pojęcia. Przecież ja jej nie dałam. — Bobrownik była nie mniej zdziwiona od mężczyzny.

— Nie trzymałaś tego pod kluczem? — Oburzył się.

— Trzymałam! Poza tym nawet gdybym zapomniała zamknąć szafki, ona by nie grzebała — zapewniła. Po chwili jednak poczerwieniała na twarzy. — O nie...

— Mów! — huknął Mateusz.

— Kilka dni temu dałam Róży kilka faktur, żeby zaniósła do księgowej. Zapewne przypadkiem zobaczyła tę jedną i odkryła prawdę... — przyznała ze wstydem szefowa. — Może sprawdziła w sklepie, że wcale tam nie kupowaliśmy alkoholu, i kłopot gotowy. To jest niewielka okolica, każdy każdego zna i pamięta co, kto i kiedy robił.

— Zośka, czy ty jesteś poważna?! — zawołał rozjuszony kelner.

— Młody człowieku, nie ma sensu się unosić. Żadna różnica, skąd dziewczyna dowiedziała się o waszej działalności — stwierdziła Orłowska, dotychczas jedynie przysłuchująca się rozmowie.

Wspólnicy popatrzyli na nią, jak gdyby zupełnie zapomnieli o obecności starszej pani.

— Czyli spokojnie możemy założyć, że nie wiedziałeś, że faktura jest w posiadaniu Róży — podsumowała.

— No pewnie, że nie wiedziałem! Zresztą, nawet gdybym wiedział, nie popełniłszy wielkiego przestępstwa. Jeśli zliczyć całość, wyszło kilka marnych butelczynek. O taką głupotę zabijać? Bez żartów! Musiałbym być skończonym kretynem. Nie ukatrupiłem jej. Zośka też mi nie wygląda na morderczynię. Tylko marnuje pani nasz czas. Przez wściubianie nosa w nie swoje sprawy ona miała na pieńku chyba z każdym z nas. Kolejka jej wrogów jest długa, niech pani gdzieś indziej szuka winnego.

— Z nas? Masz na myśli personel? — dopytała emerytka.

— Tak, personel, ale nie powiem ani słowa więcej bez adwokata. Jak pani chce coś jeszcze usłyszeć, proszę mnie zabrać ze sobą na komisariat — przemówił stanowczo Mateusz i założył ręce na piersi.

— Chłopcze, ty myślisz, że ja jestem z policji? — wybuchnęła salwą śmiechu Henryka. Nawet nie przyszło jej do głowy, że kelner wziął ją za mundurową.

— No raczej. Nieźle zagrane, nie powiem. Najpierw udawała pani taką, co kasy ma jak lodu i na wczasy jeździ do drogich pensjonatów. Potem z kolei chciała mnie pani naciągnąć na wydatki. Żeby aż taki wysiłek ponosić za detaliczną ilość bimbru? W życiu bym się nie spodziewał.

— Młody człowieku, zaszło nieporozumienie. Nie jestem policjantką — powiedziała zgodnie z prawdą Orłowska.

— Jak to nie? W takim razie kim pani jest?

— Gościem pensjonatu.

— Gościem pensjonatu? — powtórzył mimowolnie, a następnie zwrócił się do przełożonej: — Zośka! Czy ty oszalałaś?! Nakłoniłaś mnie do zwierzeń przed przypadkową babą? Nie, to się nie dzieje naprawdę, ja śnię. — Rozzłoszczony odwrócił się na pięcie i bez słowa wyszedł, z impetem trzaskając drzwiami.

— Chyba to by było na tyle, jeśli chodzi o wiedzę, którą podzieli się z nami ten chłopak. Dobre i to — uznała optymistycznie Henryka. — Może ty, moja droga, wiesz, co mógł mieć na myśli, mówiąc, że Róża miała na pieńku z innymi pracownikami?

— Domyślałam się. Widzi pani, Róża bez zarzutu wykonywała swoją pracę jako pokojówka. Skłamałabym, mówiąc, że jest inaczej. Była pracowita, sumienna i dokładna. Miałam z nią jednak inny problem... — Zawahała się, czy mówić dalej.

— Mów, moja kochana, mów. Wpakowałaś się w niezłą kabałę, chcę ci pomóc. Żeby jednak mogła coś wymyślić i znaleźć mordercę, potrzebuję jak najwięcej się dowiedzieć.

— Sądzi pani, że ma szansę znaleźć winnego? Przecież to może być niebezpieczne! Proszę lepiej zostawić sprawę policji.

— Moje dziecko, nie mam się czego obawiać. W moim wieku lęk przed śmiercią nie ma sensu — zachichotała. — Trzeba żyć pełnią życia, bo nikt nie wie, ile go jeszcze zostało.

— Ciekawa z pani osoba — przyznała z podziwem w głosie Zofia. — Więc dobrze, powiem, jak było z Różą. Poleciała mi ją Arletta. Akurat mieliśmy wolny wakat, więc przyjąłam dziewczynę. Z początku byłam zachwycona jej pracą. Nigdy nie narzekała na nadmiar obowiązków, sama wiedziała, co ma robić, a jeśli się za coś zabrała, wiadomo było, że robi to dobrze. Po niedługim czasie zadomowiła się, poznała zespół. Wtedy zaczęły się schody. Najpierw zgłosiła, że kucharka mnie okrada. Podpatrzyła panią Czesię, kiedy pakowała sobie jedzenie. Znałam sprawę, kobietka zabiera do domu to, co zostanie po posiłkach, nie widzę powodu, żeby robić sensację. Następnie przyszła z newsem na temat złego prowadzenia się Mateusza. Później uprzejmie doniosła na pana Zygmunta.

— Właśnie! Jeśli już jesteśmy przy panu Zyguncie, to zapytam, zanim zapomnę. Czy widziała go pani rano w dzień zabójstwa Róży?

— Tak. Zwyczajowo siedział w recepcji — niespodziewanie wybuchnęła śmiechem Zofia. — Trochę mu się przysnęło. Kiedy otworzyły się drzwi, usłyszałam chrapnięcie. Najwidoczniej obudziło go powitanie, ponieważ na dźwięk mojego głosu w mgnieniu oka zerwał się na równe nogi. Zanim odpowiedział, zdążył jeszcze w popłochu otworzyć księgę gości i dla niepoznaki z dużym przejęciem udawał, że coś w niej zapisuje.

— Mhy... — Henryka w zamyśleniu pokiwała głową. — Ale przerwałam ci, moje dziecko, mów dalej. Skończyłaś na tym, że Róża doniosła na pana Zygmunta. Nie zdążyłaś wyjawić, jaki miała wobec niego zarzut.

— Róża zdradziła mi, że nasz recepcjonista za drobną dopłatą, chyba wie pani, o czym mówię — Bobrownik wymownie popatrzyła na emerytkę — bardziej dba o komfort gości, wybiera dla nich lepsze pokoje. Takie tam drobnostki. Pani Heniu, ja widzę wiele rzeczy, przymykam na nie oko, ale to nie znaczy, że jestem ślepa czy głucha. Ze spokojem wysłuchiwałam Róży, a potem odsyłałam ją do pracy. Nie chcę psuć atmosfery w pensjonacie z powodu byle bzdur. Każdy z pracowników jest dla mnie trochę jak rodzina, zresztą ona również była.

— Widać, moja droga, że dbasz o personel — stwierdziła z uznaniem Henryka.

— A czemu miałyby być inaczej? Przecież to są moi ludzie. Tyle godzin spędzamy razem. Powodzenie Yorkshire w dużej mierze zależy właśnie od nich.

— Dobra z ciebie dziewczyna — pochwaliła Orłowska, przy okazji niezamierzenie zawstydzając skromną właścicielkę pensjonatu.

— Wracając do tematu, dopóki dziewczyna koncentrowała swoją uwagę na kolegach z pracy, w zasadzie nie stanowiło to problemu. Ludzie się specjalnie nią nie przejmowali. Zresztą, pomijając ten szczegół, była pomocna i koleżeńska, a zanim z daną rewelacją zgłosiła się do mnie, najpierw interweniowała bezpośrednio u głównego zainteresowanego. Każdy wiedział, na czym stoi. Kłopot pojawił się, kiedy zaczęła zgłaszać, że tak powiem... — przez chwilę zastanowiła się nad doбором słów

— swoje... spostrzeżenia dotyczące gości. Musiałam jasno i wyraźnie postawić granicę. Powiedziałam „basta!”, dosyć tego.

— Moja kochana, czy Róża zgłosiła ci jakieś... spostrzeżenia na temat obecnych teraz w pensjonacie gości? — chciała wiedzieć Orłowska.

— Pani Heniu, a jakie to ma znaczenie? Zapomnijmy o sprawie — nalegała kobieta.

— Dziecko drogie, a jeśli winnym zabójstwa jest ktoś z wczasowiczów? Róża mogła niechętnie podpatrzeć albo usłyszeć coś, co skłoniło mordercę do działania.

— Niech pani nawet tak nie mówi! — Zofia wystraszyła się nie na żarty. — Przecież to są porządni ludzie! Różę musiał zabić ktoś z zewnątrz. Jestem pewna.

Henryka nie chciała odzierać Zosi ze złudzeń, dlatego nawet nie wspomniała o wnioskach wyciągniętych po sprawdzeniu zapisu nagrań z monitoringu, zamontowanego nad drzwiami wejściowymi. Zamiast tego powiedziała:

— Moja droga, kto wie, czy dzięki informacjom od ciebie coś mi się nie nasunie na myśl. Warto spróbować.

— Skoro tak... Tyle że ja naprawdę niewiele wiem... Nie chciałam tego słuchać i przegoniłam Różę.

— Coś jednak zdążyła ci zdradzić — zauważyła Henia.

— Coś tak... — Bobrownik nadal nie była przekonana, jak powinna postąpić.

— Śmiało, moje dziecko — zachęciła starsza pani.

— To są takie głupoty, aż wstyd mówić... Ale niech będzie. Powiedziała, że pan Mietek używa narkotyków, konkretnie chodziło o marihuanę.

— Wiem o tej sprawie.

— Wie pani? Jak to?

— Pani Halinka słyszała przez ścianę ich rozmowę. To znaczy, żebyśmy się dobrze zrozumiwały, nie mówię, że w istocie tak jest, a jedynie, że Róża miała podejrzenia. Osobiście unikałabym osądzania bez twardych dowodów. — Emerytka chciała być precyzyjna. — Ale na tym nie koniec, mam rację?

— Tak. Powiedziała mi jeszcze o doktorowej.

— Co konkretnie?

— To naprawdę są nieistotne głupstwa — jęknęła kobieta. — Któregoś dnia widziała, że pani Halinka wynosi z restauracji na serwetce garść herbatniczków, zupełnie jakbyśmy od tych kilku ciasteczek mieli zbiednieć... Innym razem, kiedy sprzątała pokój, zauważyła, że doktorowa pakuje do walizki jednorazowe mydła, szampony, czepek. Dziewczyna zwróciła jej uwagę, że kosmetyki stanowią własność Yorkshire. Pani Halinka podobno tylko się zaśmiała, nic sobie z tego nie robiąc.

Henryka, w której walizce również znajdowały się dwie buteleczki tych cudownie pachnących płynów, skrzywiła się i szybko zapytała:

— Coś jeszcze ci powiedziała?

— Nie. Dłużej nie chciałam słuchać. Zabroniłam jej zwracać uwagę gościom i rozpowiadać o... poczynionych spostrzeżeniach. Pani Heniu, przecież ten biznes funkcjonuje dzięki pieniądзом, które płacą nam za pobyt goście. Jeśli będziemy ich do siebie zrażać reprimendami, wtedy długo nie pociągniemy.

— Racja — przyznała Orłowska.

— Niech mi pani poradzi, co mam teraz zrobić? Beznadziejnie wyszło z tym bimbrem, ale ja naprawdę nie zabiłam Róży. Byłam głupia. Myślałam, że dorobię się nie wiadomo jakich kokosów. W życiu po raz drugi nie dałabym się namówić Mateuszowi.

— Wierzę ci, dziecko. Na razie wstrzymaj się z działaniem. Muszę na spokojnie pomyśleć, zastanowić się, co zrobić z tym fantem. Jeszcze przyjdzie czas na naprawienie swojego błędu. Tylko żebyś więcej nie kupowała nielegalnego alkoholu — przestrzegła starsza pani.

— O, co to, to nie! — Właścicielka pensjonatu wzdygnęła się na samą myśl. — Proszę mi wierzyć, nigdy już nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

ROZDZIAŁ 13

Wieczór zapowiadał się emocjonująco. Na dwudziestą pierwszą zaplanowano turniej kręgli, o czym wszem wobec głośno kartka zawieszona na tablicy ustawionej obok restauracji. W szranki mieli stanąć gospodarze, czyli pracownicy pensjonatu, przeciwko gościom. Henryka, która nigdy jeszcze nie miała okazji osobiście potoczyć kuli po torze ani nawet obserwować tej nowomodnej zagranicznej gry na żywo, z wielką radością zapisała się do drużyny. Podekscytowana, w odzieniu i obuwiu sportowym stawiała się na kilka minut przed wyznaczonym czasem w kręgielni zlokalizowanej w piwnicy, gdzie miały się odbywać zawody.

W pomieszczeniu było przyjemnie ciepło i panował półmrok. Na tablicach z wynikami zachęcająco mrugały cyferki, zapraszając do rozpoczęcia zabawy. Tory podświetlono różnymi kolorami, które cyklicznie się zmieniały, a na ich końcach ustawiono kręgle w figurę przypominającą Henryce mniej więcej kształt klucza lecących kaczek. Z głośników zawieszonych pod sufitem rozbrzmiewała muzyka, może trochę zbyt elektroniczna jak na gust Orłowskiej, ale dobrze wpisująca się w klimat miejsca. Kręgielnia zrobiła na Henryce duże wrażenie. Całość prezentowała się tak dobrze, że aż chciało się bezzwłocznie zacząć grę.

Kobieta założyła na nos okulary i z ciekawością przyjrzała się kulom. Były różnej wielkości, lśniące, w kilku barwach. Każda z nich miała trzy otwory i starsza pani domyśliła się, że należy w nie włożyć palce. Przymierzyła rękę do dwóch czy trzech, a następnie podniosła jedną i obejrzała ją z bliska. Nie bardzo rozumiała, jak ma rzucić precyzyjnie czymś tak ciężkim, tym bardziej cieszyła się, że za chwilę będzie miała okazję to sprawdzić.

Zanim obeszła każdy kąt i wykonała zadowolającą liczbę fotografii (planowała włożyć je na pamiątkę do albumu podpisanego *Aktywności*), zjawili się pozostali uczestnicy turnieju. Wśród zebranych brakowało jedynie Petroneli von Sztumpelfelt, jednak jej nieobecność nie stanowiła najmniejszego zaskoczenia.

— Zaczynamy! — zarządziła Bobrownik, rozwieszając na tablicy obok pierwszego toru kartkę ze składem drużyn. — Wszyscy są podzieleni na dwa teamy: w jednym personel Yorkshire, w drugim państwo — zwróciła się do gości.

— A jeśli ktoś jeszcze nigdy nie był na kręglach? — zapytał nieśmiało Mieczysław.

— Żaden problem! — stwierdziła ochoczo właścicielka pensjonatu. — Mateusz za chwilę udzieli krótkiego instruktażu. Będzie również sędziował i pomagał w razie ewentualnych trudności. Jeśli wszyscy są gotowi, ZACZYNAJMY! — Ostatnie słowo powiedziała podniesionym głosem, żeby dodatkowo zagrzać i tak już podekscytowanych zawodników do walki.

Henryka z wypiekami na twarzy słuchała kelnera, który kilkakrotnie, z niczym niezmałym spokojem prezentował: sposób trzymania kuli, ugięcia nóg, wymachu ręką oraz rzucania kulą, tak żeby potoczyła się ślizgiem po parkiecie. Pokrótkie omówił zasady naliczania punktów i udzielił odpowiedzi na pytania, które sływały pod jego adresem lawinowo od Heni, Mietka oraz Halinki.

— Moją intencją nie jest państwa ponaglać, ale może byśmy zaczęli grę? Czas nieubłaganie płynie, podczas gdy my nadal stoimy beczynnym — powiedział uprzejmym tonem, lekko poirytowany przedłużającym się szkoleniem Cezary.

— Co pan taki w gorącej wodzie kąpany? Gdzieś się panu spieszy? — fuknął Miecio, który z wystawionym językiem trenował trudną sztukę właściwego rozbijania kuli przed jej wypuszczeniem.

— Szanowni państwo, pan Cezary ma dużo racji. Przejdźmy do działania. — Zofia postanowiła zdusić w zarodku ewentualny konflikt, który zaczynał się rodzić między mężczyznami.

— Ale mnie jeszcze nie wychodzi strącanie kręgli — jęknęła żałośnie Halinka.

— Proszę się tym nie przejmować. Nikt nie oczekuje od państwa poziomu zawodowego — zaśmiała się Bobrownik. — Po turnieju zapraszam wszystkich na kieliszek szampana i koreczki.

Zawody się rozpoczęły. Członkowie zespołów ustawili się przy torach z numerami jeden i dwa. Na drużynę gości składali się: Henryka, Mieczysław, Halinka, Rysio, Cezary i Liliana, pracownicy byli reprezentowani przez: panią Czesławę, Zygmunta, Zosię, Arletkę oraz Mateusza. Różnica w stanie

liczebnym obu teamów czy łączenie funkcji sędziego z graczem nikomu nie przeszkadzało w doskonałej zabawie. Nawet znawca dzieł sztuki z małżonką, zazwyczaj powściągliwi, zaśmiewali się, ramię w ramię z pozostałymi walcząc o zwycięstwo. Henryka z przyjemnością obserwowała rozbawioną grupę ludzi, którzy w obliczu wspólnego interesu zapomnieli o dzielących ich różnicach i wszelkich podziałach. W rzeczy samej prawdą jest, że sport łagodzi obyczaje — pomyślała. A może to był nie sport, tylko muzyka? Nie miała pewności.

Przez bitą godzinę plus dziesięć minut dogrywki słychać było radosne popiskiwanie, pełne przejęcia westchnięcia, odgłosy rozczarowania bądź przeciwnie: wybuchy niepohamowanego zachwytu nad sukcesem w strącaniu kręgli przez siebie, kolegę z drużyny lub przeciwnika. Gra toczyła się zgodnie z zasadą fair play. Ostatecznie, rzutem na taśmę, pracownicy pensjonatu zdobyli pierwsze miejsce, wygrywając znikomą przewagą punktów.

Wesołe towarzystwo w liczbie jedenastu osób, nadal pełnych energii pomimo późnych godzin nocnych, udało się do baru. Kelner z dużą wprawą otworzył dwie butelki szampana i rozlał go do kieliszków, a Arletta roznosiła je na lśniących srebrnych tacach. Właścicielka pensjonatu również nie próżnowała — wraz z panem Zygmuntem częstowali goście wcześniej przygotowanymi przez kucharkę zakąskami. Z zatrudnionych w pensjonacie tylko pani Czesia, która wykonała już należące do niej prace, rozsiadła się wygodnie przy stoliku na jednej z kraciastych kanap w odcieniach zgniłej zieleni, ułożyła obolałe nogi na przeciwległym siedzisku i zapaliła papierosa. Orłowska podeszła do kobiety.

— Można? — zapytała.

— Tu się nie ma co pytać, tylko trzeba siadać — odpowiedziała Czesława, stawiając stopy na podłodze, i zrobiła starszej pani miejsce. — Ale frajda! — radowała się. — Pierwszy raz grałam. Wcześniej szefowa proponowała, żebym przyszła kiedyś spróbować tych kręgli, ale się nie składało. Myślałam, że to nuda zbijać pionki kulą, ale nie! Wyjawię pani, że strasznie mi się podobało. Muszę kiedyś zabrać mojego na taką zabawę. Na pewno też będzie zadowolony. A pani wcześniej to robiła?

— Nie, ja też pierwszy raz. Fajne zajęcie, warte powtórzenia, no i ciekawe doświadczenie — powiedziała wyjadaczka wszelkich darmowych rozrywek organizowanych z myślą o seniorach. — Trochę mi jeszcze nie szło, ale jak do wszystkiego, i tu potrzeba praktyki. Widziałam, że Mateusz ma do kręgli niezłą rękę.

— Młody, więc szybko się uczy. Mówił mi, że wieczorami i nocą trenuje.

— Skoro siedzi na kręgielni do późnych godzin nocnych, nic dziwnego, że później rano trudno mu przyjść do pracy i się spóźnia. — Henryka wpadła na pewien pomysł.

— Jakie tam spóźnia? — zdziwiła się kucharka. — On jest punktualny.

— Ojej, zatem musiałam się pomylić. Wydawało mi się, że w dzień śmierci Róży przyszedł do pracy po czasie.

— A gdzieżby tam! Codziennie rano stawia się jak należy, żeby przed zmianą zdążyć jeszcze wrzucić coś na ząb.

— I tamtego dnia też tak było?

— A pewnie, że tak. Który chłop przepuściłby okazję zjedzenia jajecznicy z trzech jaj od kury, i to takiej, która jak Pan Bóg przykazał grzebie pazurami w ziemi, a nie siedzi w klatce przez całe życie i tylko ogląda cztery odrapane ściany. Żeby było treściwiej, do tego dokładam smażony na chrupko boczek oraz grubo krajane pajdy chleba wiejskiego z masełkiem czosnkowym. Jeśli starczy miejsca w żołądku i jest chęć, w koszyku na stole zawsze czekają na niego rogaliki z maliną i ciastka francuskie nadziewane białym serem. No, niech sama pani powie, jak można sobie odmówić takiej przyjemności?

— Nie można — przytaknęła Orłowska, oblizując się na samą myśl o wspomnianym posiłku. — A o której on wtedy mógł przyjść? Pamięta pani?

— A pewnie, że pamiętam. Przyjechałam o szóstej, żeby naszykować jedzenie, chwilę potem pan Ryszard oparł się o framugę drzwi do kuchni, a Mateusz wpadł pół godziny po mnie.

— Powinszować. Pamięć ma pani wyborną. Tak z głowy wiedzieć kto, o której, jakiego dnia się zjawił — pochwaliła emerytka.

— Pani kochana, normalnie może i bym nie wiedziała, tyle że wtedy akurat było wyjątkowo.

Rano, ledwie zdjęłam płaszcz, dzwoni Arletta, że się spóźni. Auto jej wysiadło. Drugi raz w ciągu dwóch tygodni... Mówiłam dziewczynie, żeby kupiła sobie nowy wóz. Ciągle jej się psuje ten stary rupieć, ale ona nie chce. Podobno ma sentyment. Ciekawe, czy ten wrak też ma do niej sentyment, kiedy nie raczy odpalić — burknęła. — Złapałam za telefon i zaczęłam dzwonić po Różę, żeby przysłała mi pomoc, bo sama się ze wszystkim nie wyrobię, a tu nikt nie odbiera. Pomyślałam, że jest w łazience, szykuje się do pracy i zadzwonię później, zresztą miałam nadzieję, że niedługo sama się zjawi. Nie było na co czekać, zakasałam rękawy i zabrałam się za gotowanie. Aż do ósmej nie miałam nawet chwili czasu, żeby za przeproszeniem skoczyć na minutkę do wucetu. Dwanaście po szóstej przyszedł ten od zębów, a wpół do siódmej Mateusz. Wiem dokładnie, bo wyczekiwałam Róży i co chwila zerkałam na zegarek. Zła byłam jak osa, rosół miał być, ale do tego potrzeba więcej niż dwóch rąk. W końcu zrobiło się tak późno, że musiałam zmienić menu i podać na obiad jarzynową — dokończyła z wyrazem dezaprobaty na twarzy. — No, a potem to już harmider się podniósł. Szefowa wpadła do kuchni z wypiekami na twarzy, mówiła, że Róża nie żyje. Kto by zapomniał taki dzień! W życiu nie miałam do czynienia z morderstwem! Nawet teraz na samo wspomnienie dostałam gęsiej skórki. — Czego nie omieszkała udowodnić, podstawiając rękę pod sam nos Henryki.

— Może jeszcze szampana? — Arletta znikąd zmaterializowała się z tacą hojnie obstawioną napełnionymi w jednej trzeciej wąskimi i niezbyt wysokimi kieliszkami.

— Co się tak skradasz?! Zawału można dostać. — Kucharka natychmiast dała upust swojemu niezadowoleniu, szybko jednak zmiękła na widok alkoholu. — Daj, Arletto. Pani też niech spróbuje — zwróciła się do Orłowskiej. — Zdegustujemy, czy dobre te bąbelki.

— Dziękuję — powiedziała Henryka, delikatnie ujmując w dłoń cienką nóżkę kieliszka. Musiała przyznać, że w odniesieniu do znikomej porcji płynu, który otrzymały, określenie „degustacja” było bardzo trafne. Trudno bowiem mówić o napiciu się w pełnym tego słowa znaczeniu cieczy zawierającej się w przedziale od dziesięciu do dwudziestu mililitrów.

— Smacznego — odrzekła Arletta i poszła częstować kolejnych gości.

— Pierwsza klasa — stwierdziła z uznaniem kucharka, która gulnęła całość na raz.

Orłowska upiła niewielki łyk, zostawiając sobie drugi na później.

— Bardzo przepraszam, że przeszkadzam. Pani Czesiu, dzwoni mąż, podobno ma do pani sprawę niecierpiącą zwłoki. — Zajęte rozmową kobiety nieoczekiwanie usłyszały głos Bobrownik.

— Idę. — Kucharka wstała niespiesznie.

Razem z szefową panie zniknęły za drzwiami prowadzącymi do foyer.

Orłowska została przy stoliku sama, lecz taki stan rzeczy nie trwał długo. W chwilę później do Henryki podeszli Cezary z Lilianą. Każde z małżonków dźrzyło w dłoni szklanekę wypełnioną napojem w rdzawym kolorze z wieloma kostkami lodu.

— Szanowna pani, ze względu na niewystarczającą liczbę wolnych stolików, które kwalifikują się do skorzystania z nich, czy moglibyśmy się przysiąść do pani? — zapytał mężczyzna. — Jeśli nie stanowi to zbyt dużego kłopotu oczywiście — dodał.

Orłowska zerknęła ze zdziwieniem na niemało rozstawionych po całej sali stolików z dostawionymi do nich kanapami. Wszystkie wyglądały równie schludnie i wygodnie jak ten jej. Z około dwudziestu wspomnianych kompletów zajęte były zaledwie trzy. Henia uznała jednak, że skoro ci młodzi ludzie życzą sobie jej towarzyszyć, nietaktem byłoby ich zniechęcać wymądrzaniem się, dlatego powiedziała:

— Zapraszam serdecznie. To będzie dla mnie przyjemność.

Mąż przepuścił żonę, pomógł jej usiąść i dopiero wtedy sam się usadowił.

— Życzy pani sobie coś do picia? — zwrócił się do emerytki Czarek.

— Dziękuję, mam wszystko, czego potrzebuję. — Henia pokazała na stojący przed nią kieliszek i ułożone na serwetce trzy wykałaczki, z których tylko na jedną nabita była zawartość.

— A ty, kochanie? Potrzeba ci czegoś? — tym razem zapytał Lilę.

— Nie, dziękuję — odpowiedziała kobieta, zerkając łagodnie na męża znad ekranu telefonu, który ledwie mieścił się w jej dłoni.

Przy stoliku zapadła cisza. Henryka dyskretnie przyglądała się nienagannie ubranemu małżeństwu, z którym przyszło jej dzielić siedzisko. Oboje ze spokojem malującym się na twarzach sącyli drinki. Orłowska zauważyła, że choć nie pili sobie z dzióbków i nie patrzyli sobie w oczy zakochanym wzrokiem (jak dla przykładu robili Halina i Ryszard), Cezary i Lilka dobrze czuli się w swoim towarzystwie i sprawiali wrażenie, że rozumieją się bez słów. Obecność Heni wydawała się im obojętna. Zapewne najstosowniej byłoby, gdyby tak sobie siedzieli we trójkę, w milczeniu delektując się napojami przy dźwiękach przyjemnej, jazzowej muzyki puszczonej z płyty na wysokiej klasy sprzęcie, ale przecież pani Henryka musiała prowadzić śledztwo. Po raz pierwszy od przyjazdu do pensjonatu w jej bezpośredniej odległości znajdowała się dotychczas niedostępna para osób, które bezwzględnie należało przesłuchać. Niepowetowaną stratą byłoby zaprzepaszczenie okazji!

— Jak się państwu podoba pobyt w Yorkshire? — zapytała Orłowska, bezlitośnie wyrrywając towarzyszy z zadumy.

— Szczerze? Niespecjalnie. — Arystokratka nie wahała się wyrazić niepoehlebnej opinii.

— O, a czemu? — Zachwycona pensjonatem emerytka była zaskoczona.

— Choćby ten bar... — zaczęła i jednocześnie zakończyła Liliana.

Starsza pani rozejrzała się z zaciekawieniem wokoło, ale nie udało jej się dostrzec niczego, co ujmowałoby uroku miejscu. Przeciwnie, jawiło jej się ono jako bardzo klimatyczne. Tapicerka na meblach i bieżniki na stołach dobrano kolorystycznie. Materiały były wysokiej jakości, eleganckie kraciate, w odcieniach ciemnej zieleni. Nieskazitelnie czysta wykładzina pasowała do pozostałych elementów wystroju. Na ścianach obitych ciemnobrązowymi deskami przywieszono czarno-białe fotografie przedstawiające budowle zlokalizowane na terenie Wielkiej Brytanii. Nad barem wykonanym z polakierowanego na błysk litego drewna wisiały krystalicznie czyste kieliszki do różnych gatunków trunków. Jeśli ktoś nie miałby ochoty siedzieć przy stoliku na kanapie, do wyboru pozostawał mu jeszcze wysoki barowy stółek ze stałym dostępem do barmana.

— Gdyby mi pani odpowiedziała, co konkretnie jest tutaj nie w porządku... — po dłuższej pauzie nieśmiało poprosiła Henryka.

Lilianie zajęło chwilę zrozumienie, że niedostatki lokalu nie są tak oczywiste dla Orłowskiej jak dla niej. Kobieta spojrzała na starszą panią wzrokiem, z którego dało się wyczytać dokładnie nic. Jako osoba doskonale wychowana bez dłuższej zwłoki podjęła się wyjaśnienia, w czym widzi problem.

— Na pierwszy rzut oka lokal prezentuje się zachęcająco. Można się nawet pokusić o stwierdzenie, że klient zostanie zabrany w sentymentalną podróż do Brytanii bądź Szkocji. Napije się aromatycznej whisky z dobrze wpasowującej się w dłoń szklanki. Łód do drinków w pięciu kształtach do wyboru: kostki, patyczki, rurki, kulki, a dla dzieci rybki. Co bardziej wybredni dostaną zamiast oklepanego lodu do schłodzenia trunku granitowe kamienie wprost z zamrażalnika. Kelner w kilcie. Raz w tygodniu koncert na żywo na dudach. Puszki myte pod bieżącą wodą przed podaniem — wyliczała aksamitnym głosem żona znawcy arcydzieł.

Henryka słuchała wywodu z wielkim zaciekawieniem, nie miała najmniejszego pojęcia, że to miejsce skrywa aż takie luksusy!

— Powoli dochodzimy do sedna. To wszystko jedynie ciekawe akcenty. W rzeczywistości nawet elementarne kwestie nie zostały należycie zorganizowane. Czy kelner i barman w jednej osobie jest w stanie obsłużyć wszystkich gości? Po co dwadzieścia stolików, jeśli przy siedmiu z nich nie da się siedzieć ze względu na arktyczny nawiew z klimatyzacji? Cztery ustawiono bezpośrednio pod głośnikami, są one wprost doskonale dla zapaleńców, którzy jeszcze przez godzinę od opuszczenia baru mieliby ochotę słuchać dzwonienia w uszach. Dwa stoliki chyboczą się przez krótszą nogę. Oczywiście, można kombinować, piętnaście minut składając serwetkę na cztery i wypełniając w ten sposób ubytek, ale czy gość koniecznie musi w chwili relaksu zajmować się pracami naprawczo-budowlanymi? A co, jeśli nie jest zapalonym majsterkowiczem? Przy jednym ze stolików przedziurawiła się tapicerka na kanapie, więc przez rzeczony ubytek w materiale wbija się delikwentowi tu i ówdzie niesforna sprężyna. Na koniec perełka nad perełkami, tylko dla koneserów! Trzy ostatnie stoliki ustawiono naprzeciwko telewizora. Choćby nie wiem jak się odwracać, człowiek jest narażony na odbiór grającego non stop

odbiornika. Jak w większości lokali i tutaj wybrano kanał z teledyskami. Dźwięk wyłączony. Co w efekcie otrzymujemy? Popijając najwyższej jakości dobrze schłodzony dzin z tonikiem, oglądamy skąpo ubranych podskakujących i trzęsących tym, co natura dała, ludzi w rytm jazzowego utworu wygrywanego na trąbce przez najznamienitszego z wirtuozów, jakich widział świat. W ten sposób zostają nam trzy z dwudziestu stolików nadających się do komfortowego wypoczynku. Szczegóły, droga pani, szczegóły: to właśnie gubi miejsca, które mogłyby z powodzeniem pretendować do miana pięcio-, a nawet sześciogwiazdkowych.

— Święta racja, Lilu — przytaknął z uwagą przysłuchujący się wypowiedzi małżonki mężczyzna.

— Jak pani spostrzegła takie rzeczy? — zapytała z podziwem Henryka, która dopiero teraz zauważyła płaski telewizor zawieszony nad wejściem i przyjrzała mu się krytycznym wzrokiem.

— Żona jest wnikliwym obserwatorem, nie można jej tego odmówić — powiedział z dumą w głosie Cezary. — Yorkshire polecieli nam znajomi, nieopodal których mieszkamy za granicą. Wprost nie mogli się nachwalić. Ponieważ mamy ich za wymagających ludzi na poziomie, spodziewaliśmy się więcej po tym miejscu. Tymczasem niemało jest niedociągnięć, chociaż ogólnie widać, że pensjonat ma potencjał.

— Jedzenie powinno być mniej tłuste — dorzuciła do listy zażaleń Liliana.

— Tak, racja — przytaknął on — oraz bardziej zróżnicowane.

— I ten remont! — wyliczała ona.

— Hałas. Kto podczas wakacji ma ochotę słuchać stukania młotów i wiercenia? Gdybyśmy lubili takie rozrywki, przeprowadzilibyśmy się do bloków — stwierdził arystokrata.

— A nie przeprowadzamy się — zapewniła arystokratka.

— Dużą siłą tego miejsca jest zabytkowy budynek i przestrzenie. — Mężczyzna nie poprzestał na samych słabych punktach, dostrzegał również zalety.

— Ciekawa jestem wyglądu ogrodu, teraz zimą niewiele można stwierdzić. — Kobieta zadumała się.

Pewnie długo mogliby tak wymieniać plusy i minusy pensjonatu, jednak Henryka, która usłyszała dość, postanowiła im bezceremonialnie przerwać:

— Domyślam się, że dla kogoś, kto lubi biegać, przestrzenie są ważne. Teren okalający budynek wydaje się ogromny.

— Trafiła pani w sedno. Właśnie to miało ostateczny wpływ na naszą decyzję o przyjeździe tutaj — przyznał Cezary. — Co prawda żona nie lubi joggingu, ale za to ja bardzo.

— Chyba widziałam pana w dzień śmierci pokojówki podczas porannej przebieżki — skłamała Henryka.

— Niemożliwe — zdecydowanie zaprzeczyła małżonka, zanim jeszcze mężczyzna otworzył usta.

— A kiedy miało miejsce wspomniane przez panią tragiczne zdarzenie? — ze spokojem zapytał znawca dzieł sztuki.

— Dwa dni temu pi razy drzwi między szóstą a siódmą rano.

— W takim razie niestety, ale musiała się pani pomylić. Żona ma rację, to nie mogłem być ja. Po pierwsze, biegam dopiero po śniadaniu, czyli nie wcześniej niż o ósmej. Po drugie, trener zalecił mi jogging co drugi dzień, zatem skoro biegałem wczoraj, wykluczone, żebym zajmował się tym również dwa dni temu — udzielił wyczerpującej odpowiedzi.

Orłowska w ostatniej chwili ugryzła się w język, żeby powstrzymać się od komentarza dotyczącego wczorajszej przebieżki Czarka, kiedy to zamiast o własnych nogach ścieżką do lasu pojechał setką koni mechanicznych do miasta.

— Ojej, najpewniej faktycznie musiałam źle spojrzeć. Już nie te lata, człowiek bez okularów niedowidzi...

— Ależ to nic. — Mężczyzna uśmiechnął się i upił niewielki łyk ze szklanki.

— Państwo znaliście tę pokojówkę? — chciała się dowiedzieć emerytka.

— Którą? — zapytał uprzejmie Cezary.

— Tę martwą — uściśliła Lilka.

— Ale która to była? — Podpowiedź na niewiele zdała się Czarkowi.

— Ta wścibska z krótkimi włosami — powiedziała Liliana, patrząc wymownie na męża, a następnie zwróciła wzrok na Henrykę. — Trudno mówić, że znaliśmy tę dziewczynę. Kilka razy widziałam ją, kiedy sprzątała nasz pokój. Ot, cała znajomość — dokończyła jednocześnie wypowiedź i drinka, po czym odstawiła szklankę na podstawkę o dwa tony głośniej, niż zamierzała. Zerknęła na wyświetlacz smartfona, żeby sprawdzić godzinę. — Jest bardzo późno. Poczułam się zmęczona. Proszę nam wybaczyć, będziemy się kierowali do pokoju. Do zobaczenia — pożegnała się i szybko wstała.

Mąż wyszedł zza stolika, dopił ostatni łyk napoju i uklonił się Henryce.

— Do widzenia — powiedział uprzejmie.

— Do widzenia — odpowiedziała starsza pani, przyglądając się oddalającemu małżeństwu.

Orłowska posiedziała jeszcze przez chwilę po wyjściu Cezarego i Lili. Z przyjemnością chłonęła atmosferę miejsca, które pomimo omówionych przez arystokratów braków dla niej nie straciło nic ze swojej magii.

Zanim emerytka ostatecznie zdecydowała się udać do pokoju, na sali zostali już tylko zajęci rozmową Arletta i Mateusz, pochylona nad wielką księgą przychodów i rozchodów Zofia oraz Miecio wpatrzony nieobecny wzrokiem gdzieś w przypadkowy punkt na przeciwległej ścianie. Henia ruszyła wolnym krokiem do drzwi i nieoczekiwanie zahaczyła o coś stopą. Przed bolesnym upadkiem zdążyła zamachać rękoma, lecz pomogło jej to niewiele, żeby nie powiedzieć: nic.

— Auuuu...! — jęknęła, upadając jak długa na wykładzinę obok jednego ze stolików, po czym niepokojąco zamilkła.

— Pani Heniu! — krzyknęła wystraszona Arletta, która zwrócona do drzwi plecami dopiero na dźwięk głośniego huku odwróciła głowę i zobaczyła leżącą panią Henię.

W mgnieniu oka do emerytki doskoczyli wszyscy obecni.

— Nic się pani nie stało?

— Może pani wstać?

— Ale wywinęła orła!

— Wszystko w porządku?

— Wyrznęła, aż gruchnęło. Nie chcę się okazać czarnym prorokiem, ale na pewno to był dźwięk łamiącej się kości, słyszę go nie pierwszy raz w życiu. Popamiętacie moje słowa. Najpewniej poszła kość w biodrze, a nie ma niczego gorszego. Długo się goi i człowiek bezradny jak żółw wyrzucony z morza, który leży na piasku skorupą do dołu, żałośnie dyndając nogami.

— Żyje pani?

— Przestańcie zadawać pani Heni pytania, przecież wam nie odpowie. Na pierwszy rzut oka widać, że straciła przytomność.

— Na litość boską! Ludzie, nie mówcie wszyscy naraz! Ocućmy panią i pomóżmy jej wstać.

— Gdzie wstać? Jakie wstać? Jeśli kręgosłup jest złamany, to broń Boże wstawać. Tyle razy w telewizji mówili, żeby nie ruszać ofiary wypadku, tylko ułożyć ją w pozycji brzusznej ustalonej i czekać na przyjazd pogotowia.

— Nie brzusznej, tylko bocznej!

— Najlepiej zadzwońmy na pogotowie.

Leżącą na brzuchu, obolałą Henrykę zasypał chór głosów. W czasie kiedy wiszący nad nią niczym sępy zebrani wyrzucali z siebie potok słów, Orłowska powoli uniosła się na łokciach, a następnie usiadła na odwołku. Poza kilkoma siniakami, zdartą skórą na kolanach oraz łokciach bolała ją noga.

— Wszystko w porządku, moi drodzy. Nic mi się nie stało, w każdym razie nic poważnego — uspokoila towarzystwo, jednakże sama była pełna obaw z uwagi na narastające z każdą chwilą uczucie ucisku i pulsowanie w prawej kostce.

— Kamień z serca. — Zofia odetchnęła z ulgą. — Mateusz, chodź szybko. Pomozemy pani Heni wstać! — rozkazała, choć dzięki setkom tysięcy kul, którymi w przeszłości przyszło jej miotać na boisku,

z powodzeniem poradziłaby sobie sama.

We dwoje delikatnie ujęli Henrykę pod pachy i podciągnęli do góry.

— Auuuu! — Po raz drugi w ciągu kilku minut Orłowska stęknęła z bólu.

— Coś panią zabolalo? — zapytała przejęta Arletta.

— Obawiam się, że skręciłam kostkę — zawyrokowała starsza pani.

— To i tak nie jest źle. Ciesz się, Heniu, że to nie złamanie — pocieszał Mieczysław. — Złamanie byłoby sto razy gorsze. Miałaś dużo szczęścia.

— Też prawda — przytaknęła pokrzepiona emerytka.

— Musi pani usiąść. — Zofia z Mateuszem podprowadzili ją o dwa kroki do stolika i z wielką precyzją pomogli jej opaść na siedzisko.

— Dziękuję, moi kochani — odpowiedziała z wdzięcznością.

Wysoko uniosła obolałą nogę, po czym ułożyła ją na przeciwległej kanapie. Rozsznurowała i upuściła na podłogę but. Następnie zdjęła skarpetkę, żeby uważnie przyjrzeć się zaczerwienionemu miejscu, które w zatrważającym tempie zaczęło puchnąć. W tym czasie kelner przyniósł owinięty w ręcznik okład z lodu oraz niezawodny środek przeciwbólowy w postaci setki czystej.

— Każdemu z nas przyda się kapka czegoś mocniejszego — zarządziła właścicielka pensjonatu. — Mateusz, nalej i podaj, co trzeba, tylko tak na jednej nodze. I na litość boską, zapal więcej światła, przecież nie jesteśmy w jaskini! Zaraz się pozabijamy, krocząc w takiej ciemności.

Posłuszny pracownik zgodnie z poleceniem przełożonej rozświetlił żyrandole, a następnie wręczył obecnym, nie zapominając również o sobie, kryształowe szklaneczki ze szczerze nalany alkoholem. Potrzeba było niewiele czasu, żeby wszyscy, z główną zainteresowaną na czele, ochłonęli. Niewykluczone, że dla rozluźnienia napiętej atmosfery w największym stopniu przysłużył się rodzimy napitek pochodzenia pszenicznego.

— Może jednak wezwiemy pogotowie? — Bobrownik nie miała pewności, czy słusznie zaniechali tej czynności, nawet jeśli niemiłej. — A co, jeśli jest pani w szoku i oplakane skutki upadku wystąpią dopiero za jakiś czas? Lepiej niech obejrzy panią lekarz.

— Moje dziecko, nie ma takiej potrzeby. Kto to widział, żeby karetka przyjeżdżała do byle kostki. Nie dość oni mają pracy? Wymoczę nogę w wodzie z octem na zmianę z okładami z tłuczonych liści kapusty i nim się obejrzymy, będę skakała niczym sarenka — stwierdziła kategorycznie Henryka.

— No nie wiem, groźnie to wyglądało, kiedy tak pani leżała bez ruchu... — Zofia nadal nie mogła dość do siebie. Gdyby coś się stało emerytce, poza oczywistą odpowiedzialnością moralną, prasa zjadłaby ją żywcem. O odszkodowaniu wolała w tej chwili nie myśleć. Nie o taką reklamę jej chodziło. Bizneswoman wiedziała, że drugie tragiczne zdarzenie w pensjonacie w jednym tygodniu byłoby dla Yorkshire zapowiedzią nieuchronnie zbliżającego się końca. — Przynajmniej poprośmy pana Ryszarda, żeby rzucił na panią okiem.

— Kochani, dziękuję za troskę, ale nie ma co robić z igły widel — obstawała przy swoim Orłowska.

— A tak w ogóle co się pani stało? — zainteresował się Mateusz.

— Szłam do wyjścia i nagle zaczęłam o coś stopą.

Siedzące oraz stojące dookoła Henryki osoby odruchowo zerknęły na podłogę w pobliżu miejsca katastrofy.

— Nic tu nie widzę — stwierdził Miecio, nie facygując się, żeby wstać, zamiast tego wyciągał szyję niczym żyrafa, co wyglądało wprost komicznie.

— Zaraz, zaraz. — Arletta doskoczyła do brzegu stolika. Klęknęła na oba kolana i przychyliła głowę prawie do samej podłogi. Następnie uniosła kawałek wykładziny, która w jednym miejscu odkleiła się od przytrzymującej ją taśmy, i powiedziała z triumfem w głosie: — Proszę bardzo, mamy winowajcę!

— Ale jak??? To nie mogło mieć miejsca! — zaprotestowała oburzona Zosia. — Nie dalej niż tydzień temu spece od podłóg przyklejali wykładziny w barze. Na każdy kawałek wykorzystali dla bezpieczeństwa podwójną ilość dwustronnej taśmy. Policzyli mi za usługę i materiały jak za zboże. Osobiście wszystkiego doglądałam!

— Moja droga, nawet najlepszemu fachurze zdarzy się coś przeoczyć, może klej gorzej złapał, więc puściło. Nic wielkiego się nie stało.

— Matko boska, a gdyby pani uderzyła głową w kant stołu? — Twarz Zofii przypominała kolorem szkolną kredę. — Bardzo mi przykro, że to spotkało panią w moim pensjonacie.

— Ale nie uderzyłam. Nie ma sensu gdybać. Dziecko drogie, nie przejmuj się — powiedziała łagodnie Orłowska. — Kochani, idę się położyć spać — ucięła rozmowę.

Ostrożnie wstała i zaczęła kuśtykać w kierunku wyjścia.

— Odprowadzę panią do pokoju. — Arletta złapała ją pod ramię.

— Doskonały pomysł! — Bobrownik zdziwiła się, że sama na to nie wpadła. — Pomogę wam.

— Nie trzeba! — zawołała pokojówka, jak na gust pani Heni trochę zbyt głośno i za energicznie. Żeby zrównoważyć może nieco dziwne zachowanie dziewczyny, starsza pani stwierdziła ze spokojem i uśmiechem, zwracając się do Zofii:

— Dziękuję ci, kochana, ale myślę, że poradzimy sobie we dwie.

— Skoro tak pani uważa. — Właścicielka poczuła się lekko urażona odmową. — Gdyby czegokolwiek pani potrzebowała, proszę od razu dzwonić do recepcji. Wszystko zostanie dostarczone bezpośrednio do pokoju na nasz koszt.

Wsparta na pokojówce Henryka uważnie stawiała na podłożu bolącą nogę. Po opuszczeniu baru dziewczyna nerwowo odwróciła się za siebie, żeby sprawdzić, czy nikt za nimi nie idzie. Nikt nie szedł. Dopiero wtedy, rozemocjonowana, wyszeptła jednym tchem do ucha poszkodowanej:

— To był zamach! Jestem o tym przekonana. Morderca chce panią uciszyć.

Orłowska popatrzyła na pokojówkę z niezrozumieniem.

— Arletko, o czym ty mówisz?

— Jak to o czym? O wypadku! Tfu, jakim tam wypadku. To nie był żaden wypadek, tylko pułapka naszykowana specjalnie na panią. Dzisiaj odkurzałam podłogę w barze i nie zauważyłam, żeby wykładzina się zadzierała. Tylko kto mógł to zrobić? Ten stolik był przez cały wieczór wolny. Może ktoś się zakradł w ciągu dnia? — dywagowała.

— Dziecko kochane, kto by zadawał sobie trud, żeby zastawiać na mnie pułapkę? Poza tym skąd by wiedział, że po pierwsze przyjdę do baru, po drugie pójdę do wyjścia akurat tędy, no i po trzecie, że ja we własnej osobie, a nie ktoś inny, czy to z gości, czy z obsługi, wpadnie w ową misternie naszykowaną „pułapkę”?

— No tak. To, co pani mówi, ma sens... — Dziewczyna była wyraźnie rozczarowana.

— Wypadki się zdarzają i przed chwilą mieliśmy naoczny przykład jednego z nich. Kiedy będziesz w moim wieku, zrozumiesz, że nawet w wygodnym sportowym obuwiu, z zaledwie śladową ilością alkoholu we krwi człowiek może czegoś nie dojrzeć w słabo oświetlonym pomieszczeniu i wyrznąć aż miło. — Starsza pani zerknęła z rozbawieniem na przejętą dziewczynę.

— Zgoda, przyjmijmy na razie, że faktycznie jest tak, jak pani mówi, chociaż wcale nie jestem o tym przekonana w stu procentach. Na wszelki wypadek proszę na siebie uważać — przestrzegła. — Jest jeszcze jedna ważna rzecz, o której muszę z panią porozmawiać.

— Mów, Arletko.

— Pani Czesia kłamała!

— Kłamała? W jakiej sprawie?

— W sprawie tego, co robiła rano w dzień morderstwa Róży! Kiedy roznosiłam szampana, słyszałam rozmowę pań. Tak się składa, że akurat dzisiaj złapałam rolnika, który nam dostarcza codziennie rano owoce i warzywa. To jest taki młody chłopak, zajmujący się naturalną uprawą. Wie pani, eko, GMO free, bezgluten i te sprawy. Podpytałam go, czy czegoś nie słyszał albo nie widział w dzień, kiedy zabili naszą Różę.

— I co ci powiedział, moje dziecko?

— Że nic — przyznała z żalem.

— Aha... — Henryka była równie nieukontentowana jak pokojówka.

— Za to dowiedziałam się czegoś bardzo zastanawiającego. Podobno tamtego dnia rolnik

przyjechał za dwadzieścia siódma i nie zastał pani Czesi w kuchni! Według jego relacji dostawę przyjął oraz pokwitował Mateusz. Sprawdziłam w papierach, że tak faktycznie było. Na kwicie widnieje jego podpis, a nie pani Czesławy. Dostawca specjalnie przedłużał rozładunek, bo miał nadzieję, że wyczeka pojawienia się kucharki. Zawsze częstowała go jakimś wypiekiem własnej roboty, a że miał chrapkę na małe co nieco, więc guzdrał się niemożliwie. Dosłownie na pięć minut przed siódmą poddał się i odjechał, czekali na niego w innym hotelu, więc dłużej nie mógł zwlekać. Ojciec dałby mu do wiwatu, gdyby spóźnił się do kolejnego klienta. Doskonale wszystko pamiętał, ponieważ po wykonaniu następnych dwóch zleceń ssanie w żołądku skusiło go i skoczył na śniadanie do małego barku przy trasie. Bardzo niemądre posunięcie, każdy wie, jakie oni tam mają brudy. Wybrał sobie zestaw maxi i tak się struł, że bał się, że nie dojedzie do domu. Co kilka kilometrów robił przymusowy przystanek w krzakach — zachichotała. — Zły był na siebie jak nie wiem, bo przez zgubne obżarstwo spędził półtora dnia w kibelku, a w konsekwencji przeszedł mu koło nosa koncert techno. Zmarnował sobie przygotowywany od tygodnia specjalnie na tę okazję wystrzałowy strój z białymi rękawiczkami. Z tego jest prosty wniosek — zakonkludowała nieoczekiwanie opowieść Arletka — że pani Czesława nałgała, mówiąc, że nie ruszała się ani na krok z kuchni aż do ósmej.

— Arletko, a wiesz, gdzie mogła być w tym czasie?

— Nie mam pojęcia.

— Może wychodząc, coś powiedziała Mateuszowi? Rozmawiałaś z nim?

— Rozmawiałam, ale nie wiedział. Podobno bez słowa gdzieś wyszła, a później wróciła i podśpiewując pod nosem, zabrała się za pracę. Jeszcze mi mruknął, że nie jego sprawa, więc nie pytał. Już ja go znam, żarłok jeden, jestem pewna, że całą swoją uwagę poświęcił czyszczeniu talerza, żeby mu czasem jajeczniczka nie wystygła. Gdyby nie przyjazd dostawcy, myślę, że nawet nie spostrzegłby jej nieobecności.

Zajęte rozmową panie nie zauważyły, kiedy dotarły do pokoju Henryki. Pokojówka pomogła starszej kobiecie usadowić się w fotelu.

— Poradzi sobie pani?

— Oczywiście, że tak. Moje dziecko, podaj mi, proszę, tylko kijki do nordic walkingu. Stoją tam przy drzwiach. W końcu się na coś przydadzą.

Dziewczyna zgodnie z zaleceniem oparła je o poręcz fotela, a następnie z ociąganiem wydukała ze łzami w oczach:

— Jutro nie będzie mnie w pracy. Jadę na pogrzeb Róży. Zapowiada się wyjątkowo smutna uroczystość, nawet jak na ostatnie pożegnanie.

— Domyślam się — przyznała ze współczuciem Orłowska. — Biedni rodzice. Stracili córkę, która miała przed sobą całe życie...

Panie rozstały się w nostalgicznym nastroju. Każdą z nich czekał nazajutrz trudny dzień.

ROZDZIAŁ 14

Henryka postanowiła sprawdzić kolejny trop na drodze do wyjaśnienia zagadkowej śmierci Róży. Przed ostateczną konfrontacją z podejrzaną musiała raz jeszcze zerknąć na jeden z dowodów, co wymagało od niej nie lada sprytu.

— Dzień dobry, panie Zygmuncie — przywitała się z recepcjonistą, przyklejając do twarzy szeroki uśmiech.

— Witam. Słyszałem o wczorajszym wypadku, mam nadzieję, że z nogą jest lepiej.

— O tak, zdecydowanie. — Dla zapewnienia, że tak jest w istocie, uniosła nad podłogę kijek do chodzenia i zaczęła nim wymachiwać na wszystkie strony. — Widzi pan, mogę stać bez podparcia i kostka też mniej boli.

— To wielka radość i szczęście. W czym mógłbym pani służyć?

— Przyznam, że jest taka drobnostka, w której liczę na pańską pomoc.

— Postaram się zrobić, co w mojej mocy.

— Po przyjeździe wpisał pan moje dane z dowodu osobistego do dużej książki. Ostatnio, kiedy przyszedłam po mapę, niechcący zerknęłam jednym okiem na zapis i wydawało mi się, że jest pomyłka w numerze PESEL. Od razu miałam to zgłosić, ale zagadaliśmy się i wypadło mi z głowy. Niby nic wielkiego, tyle że wolałabym, żeby w papierach była zgodność.

— Chyba pierwszy raz mi się zdarza, że nasz gość tak dba o poprawność danych. — Recepcjonista był mile zaskoczony postawą starszej pani. — Niektórzy sądzą, że w prowadzonym przez nas spisie może być naniesione byle co, a to przecież jest ważny dokument! W końcu nie mamy do czynienia ze schroniskiem młodzieżowym, ale wysokiej klasy pensjonatem. Podobnie do szanownej pani lubię, kiedy wszystko jest wypełnione należycie. Chociaż nie zapominajmy, że jesteśmy tylko ludźmi, nic zatem dziwnego, że raz na rzadki czas może się wkraść błąd. Spieszę z weryfikacją.

Mężczyzna wyjął spod lady wielką księgę, którą otworzył na właściwej stronie. Henryka podała mu dowód osobisty. Usilnie próbowała łąpać okiem przez kontuar, ale niczego nie udało jej się podpatrzeć. Recepcjonista uważnie przyjrzał się cyfrom naniesionym przy nazwisku Orłowskiej, pokusił się również o sprawdzenie pozostałych danych, po czym oddał kobiecie plastikowy prostokącik.

— Nie było nieścisłości — stwierdził z nieukrywanym zadowoleniem.

— Czy oby na pewno? Dałabym sobie uciąć głowę... — Spuściła wzrok, żeby nie widzieć jego zbulwersowanego wzroku. — Proszę nie mieć mi tego za złe, ale dla pewności sama chciałabym sprawdzić.

— Skoro taka jest pani wola — powiedział, siląc się na przyjemny ton, i z hukiem rozłożył przed nią dokument.

Orłowska, na której nosie od samego początku rozmowy spoczywały okulary, zachłannie przerzuciła wzrokiem kolejne zapisy. Po chwili wyszeptwała niemal bezgłośnie:

— Taaak... — I zamknęła delikatnie księgę.

Znad okularów o grubych szklach popatrzyła niewinnie na Zygmunta.

— Przyznaję, miał pan rację. Wszystko jest w jak najlepszym porządku. Najwidoczniej musiałam źle spojrzeć. Ech, oczy już nie te co dwadzieścia lat temu. — Po raz kolejny zakryła się wiekiem niczym zasłoną dymną. — Niemniej jednak dziękuję za pomoc.

— Proszę bardzo, zawsze do usług. — Uśmiechnął się sztucznie.

Teraz, kiedy wszelkie wątpliwości zostały rozwiane, kobieta podeszła do windy. Przywołała dźwig i wjechała na drugie piętro. Podparta na kijku pokuśtykała pod jedno z drzwi. Zapukała delikatnie. Nikt nie otworzył. Zapukała ponownie. Nadal nic. Niemożliwe, żeby jej nie było — pomyślała. Zapukała raz jeszcze, o wiele głośniejszym głosem niż poprzednio. W odpowiedzi na natarczywe stukanie z wnętrza doszedł jej uszu odgłos zbliżających się kroków.

— Aaaa, to pani — powiedziała zniecierpliwiona postać odziana w puszysty szlafrok, z twarzą i dłońmi pokrytymi szarą mazią przypominającą zaschnięte błoto. Gdzieniedzie trochę paskudztwa ukruszyło się i osypało na ramiona, dekolt oraz poły szlafroka. Również konstrukcja na głowie daleka

była od tego, co klasycznie uważa się za włosy. Posklejane strąki wysmarowane jakby tłustym kremem zostały zwinięte w dziwny twór, a następnie przypięte klamrą na czubku głowy. Wygląd nie był jednak najgorszy. Trwogę budził zapach, a dokładniej odór rozchodzący się w pomieszczeniu, które nie było poddane stałej wymianie powietrza ze skażonego na nowe.

— O matko, moje dziecko, ale mnie przestraszyłaś! — Na widok widziadła Henryka aż podskoczyła. — Chciałabym porozmawiać — dodała po chwili, której bezwzględnie potrzebowała na odzyskanie mowy i zaczerpnięcie tlenu.

— To nie jest najlepszy moment.

— Tak, widzę — przyznała niechętnie starsza pani, zastanawiając się, czy tak właśnie wygląda trąd, przynajmniej jeśli chodzi o stan lica, bo co do włosów nie miała najmniejszego pojęcia, do czego porównać ich kondycję. — Obiecuję, że nie zajmę dużo czasu.

— Nie może pani przyjść, dajmy na to za... — okraszona maseczkami dama spojrzała na cyferblat złotego zegarka wypapranego (najpewniej) błotem równie mocno jak dłonie — dwie godziny?

— Wolałabym od razu załatwić sprawę.

Gospodyni westchnęła z rezygnacją, otworzyła szerzej drzwi i wykonała zapraszający ruch ręką, wskazując na zabałaganione wnętrze.

— Niech pani wejdzie.

— Dziękuję.

Na widok kulejącej emerytki aktorka podeszła do krzesła zawalonego ubraniami i starając się jak najmniej wybrudzić je ciemnoszarym specyfikiem, przerzuciła całą górę na niepościelone łóżko. Kilka sztuk bardziej bądź mniej wierzchniego odzienia upadło na podłogę. Ukryta pod warstwą papek piękność niedbale odkopnęła je gdzie bądź zgrabną nóżką obutą w fioletowy pantofelek na niewysokim obcasiku ozdobiony futerkiem.

— Proszę spocząć.

Henryka skorzystała z propozycji i przycupnęła na pospiesznie przygotowanym dla niej miejscu.

— Podać pani coś do picia?

— Nie ma takiej potrzeby.

— A ja się napiję — stwierdziła gospodyni, biorąc do ręki szklankę z zieloną gęstą papką o mało apetycznym zapachu. Upiła maleńki łyczek.

Orłowska obserwowała scenę z odrazą, co nie umknęło uwadze kobiety.

— Pewnie dziwi się pani, jak mogę to pić. — Bezbłędnie odczytała myśli starszej pani.

— Nie będę tego ukrywała — przyznała ceniąca sobie szczerłość Henia.

— Ja też się nad tym zastanawiam — zarechotała tamta. Mięśnie twarzy, które poruszyły się na skutek śmiechu, spowodowały, że kolejna porcja zaschniętej mazi osypała się na podłogę. Kilka grudek wpadło również do szklanki z breją. Widząc to, Petronela z niezadowoleniem zmarszczyła nos i odstawiła naczynie na stolik. — Smakuje dokładnie tak jak wygląda i pachnie. To jest najnowszy wynalazek mojego trenera personalnego. Doskonale oczyszcza. Podobno.

— Oczyszcza? Z czego oczyszcza? — Henryka nie bardzo rozumiała. Chwilową niedomyślność można było rzucić na karb odurzającego zapachu, który wypełniał pokój. Teraz był on wynikiem nie tylko intensywnie woniejących masek, ale również roztaczającego nieprzyjemny aromat napitku.

— Według trenera z wszelkich toksyn i złośliwych. Do tego odmładza, dodaje energii. Czy tak jest w istocie, nie wiem, ale nie wykluczam takiej możliwości. Jednak z autopsji z całą pewnością i absolutną szczerością mogę stwierdzić, że już jeden łyk owego cuda oczyszcza umysł z chęci dalszego kosztowania paskudztwa. Poza tym również wyśmienicie czyści portfel z nadmiaru gotówki — pokusiła się o dowcipną odpowiedź.

— Moje dziecko, skoro to coś jest takie niesmaczne, a tym bardziej ma wątpliwe działanie, po co je zażywasz?

— Przyzwyczyłam się. Zresztą nikomu jeszcze nie zaszkodziła szklanka naturalnych składników, niestety w tym przypadku zmieszanych w bardzo niefortunny sposób dla moich kubków smakowych. Samo zdrowie, tyle że w mało apetycznej formie.

— Hm...

— Dobrze, ale chyba nie przyszła pani tutaj, żeby omawiać ze mną sposoby oczyszczania organizmu?

— Racja. Przejdźmy do rzeczy — powiedziała Henryka, która jako osoba konkretna nie lubiła tracić czasu, szczególnie jeśli miała do wykonania zadanie. — Moje dziecko, co ja mówię, bardziej tutaj pasuje określenie moja droga niż moje dziecko — poprawiła się. — Nie umknęło mojej uwadze kilka kwestii, które teraz pozwolę sobie przedstawić. Przede wszystkim w księdze gości nie znalazłam nazwiska von Sztumpelfelt, a jedynie pseudonim. Domyślałam się, że ze względu na zabiegi wykonane na twarz chodziło o to, żeby dziennikarze nie odkryli pani obecności w pensjonacie. Unika pani wychodzenia z pokoju, chcąc zapobiec rozpoznaniu. Pomimo zastosowanych środków zapobiegawczych przedstawiciel prasy musiał mieć przeciek. Efektem jego węszenia był artykuł w regionalnej gazecie, wydaje się jednak, że poza domysłami nie stwierdził niczego konkretnego.

Petronela rozsiała się na zawalonym ubraniami łóżku, założyła nogę na nogę, wyjęła z kieszeni szlafroka pilnik i zabrała się za manicure. Orłowska niezrażona pozornym brakiem zainteresowania swoją wypowiedzią ze strony gwiazdy ciągnęła:

— Kolejna rzecz. W pokoju Róży, zabitej pokojówki, znalazłam na biurku teczkę wypełnioną artykułami o pani w roli głównej. Dziewczyna zadała sobie sporo trudu, żeby je wyszukać i powycinać. W pierwszej chwili pomyślałam, że była pani wielką fanką, teraz jednak nie jestem w stu procentach pewna, czy tak było w istocie... Być może tak, ale równie możliwe jest inne wytłumaczenie. Wydaje się ono prawdopodobne, przynajmniej na tyle, na ile poznałam charakter Róży z wypowiedzi osób, które ją znały. Zgodnie z drugim założeniem dziewczyna musiała się dowiedzieć o pani kłamstwie i zbierała wycinki, które posłużyłyby jako dowody oszustwa. Niestety Róża nie żyje, więc nie poznamy prawdy.

Henryka zerknęła na von Sztumpelfelt, która pozostawała niewzruszona.

— Moja droga, czy pamiętasz ten epizod, kiedy mój kot załatwił niecierpiącą zwłoki potrzebę fizjologiczną do pani torebki?

— Trudno o tym zapomnieć — przyznała aktorka, wykrzywiając usta z niesmakiem na wspomnienie wydarzenia.

— Zatem pamięta pani również, że czyściłam w łazience zawartość kuferka. Wśród znajdujących się w nim rzeczy był dowód osobisty. Niechcący rzuciły mi się w oczy data urodzenia oraz PESEL. Zgodnie z dokumentem, a zakładałam, że zawarto w nim prawdziwą informację o wieku, ma pani pięćdziesiąt osiem lat, a nie, jak podają rozliczne pisma, czterdzieści sześć.

— Zmierza pani do czegoś? — Gwiazda zaczęła się niecierpliwić. — Za pięć do siedmiu minut powinnam zmyć odżywcze maseczki na bazie mleka z kojota z twarzy, dłoni i włosów.

— Moja droga, cierpliwości. Powoli docieram do sedna sprawy — powiedziała uspokajająco emerytka. — Róża musiała poczynić analogiczne spostrzeżenia do moich, jeśli chodzi o pani wiek. Mylę się?

— Mówi pani o tej biednej dziewczynie, którą kilka dni temu ktoś tutaj zabił, prawda?

— Tak. Mówię o Róży.

— Róży — powtórzyła ostatnie słowo aktorka, po czym zamyśliła się, a jednocześnie z ciekawością przyglądała Henryce. Po chwili rzekła: — Mogłabym milczeć, ale nie widzę powodu, żeby cokolwiek ukrywać. Któregoś dnia jakoś z rana dziewczyna przyszła do mojego pokoju. W dłoni ścisnęła teczkę z artykułami, które zbierała od pewnego czasu — kontynuowała bezbarwnym głosem Petronela. — Była przejęta. Przyznam, że zrobiło mi się jej szkoda. Pytała: jak to? Co to? Nie dość, że pismaki zaniżały mój wiek, to jeszcze nie widniałam w książce gości. Podobno od razu rozpoznała mnie, kiedy przyjechałam do pensjonatu, ale nic nie mówiła. Nie wyjawiała, skąd znała moją prawdziwą datę urodzenia, za to zdradziła, jak postąpiła w kolejnym kroku. Nie mogła uwierzyć, że liczę sobie pięćdziesiąt osiem lat. Poleciała do recepcji sprawdzić mój PESEL. Wymyśliła jakiś fortel, bo pracownikowi zza kontuaru ani się śniło pokazywać małej prywatne dane wypoczywających. Ode mnie chciała się dowiedzieć, czy zaszła zwykła pomyłka, czy specjalnie wprowadzam ludzi w błąd.

— A jak jest naprawdę?

— Naprawdę? Naprawdę to ja się nie zajmuję takimi szczegółami, mam od tego sztab ludzi z menadżerem na czele. Słono mu płacę, ale warto. Załatwia castingi i inne fuchy oraz dba o mój wizerunek. Chyba nie myśli pani, że dziesięć razy dziennie mam czas pisać o sobie i wrzucać zdjęcia, żeby zaspokoić czyjąś ciekawość. Gdybym tylko siedziała przy komputerze, kiedy uczyłabym się do roli, występowała przed kamerą, że nie wspomnę o życiu prywatnym? — wyjawiała. — Chciałaby pani wiedzieć, czy pokojówka była moją fanką, czy po prostu zbierała dowody „oszustwa”?

— Tak. Przyznam, że nurtuje mnie ta kwestia.

— W takim razie z przyjemnością podzielę się swoją wiedzą w temacie. Prawdą jest pierwsze, sympatyzowała ze mną, stąd wycinki w teczce.

— Pewnie ma pani dużo fanów?

— Nie narzekam — odpowiedziała bez emocji. — Ludzie naczytają się kolorowych czasopism albo portali z plotkami i są pewni, że opisano w nich najprawdziwszą prawdę. Mnie tam jest obojętne, czy dla innych mam czterdzieści dwa, pięćdziesiąt osiem czy sześćdziesiąt siedem lat. Niech piszą, co im wygodnie. Pozostaje to poza moim obszarem zainteresowania. Dokładnie tak samo powiedziałam Róży. — Petronela nie patrzyła na Henrykę, ponieważ całą swoją uwagę poświęcała precyzyjnemu piłowaniu paznokci.

— Dokładnie kiedy to było?

— Pyta pani, kiedy dziewczyna do mnie przyszła?

— Tak.

— Będzie z tydzień. — Aktorka skończyła manicure, rozcapierzyła palce i z zadowoleniem przyjrzała się efektowi swoich działań. — To, że zarówno pani, jak i ona choćby przez chwilę pomyślałyście, że mogłabym przejąć się odkryciem prawdy o moim wieku czy zabiegach, pokazuje, że nie macie zielonego pojęcia o funkcjonowaniu świata celebrities. Każdy jeden, który siedzi w interesie, doskonale zdaje sobie sprawę z faktu, jak dobrze sprzedaje się sensacja. Chociaż jeśli mam być szczerą, mnie akurat to nie kręci. Chcę, żeby ludzie cenili moją pracę i osiągnięcia, a nie ciekawostki z życia. No, ale pewnie słyszała pani pseudomądrość: nieważne, co mówią, ważne, że mówią.

— I dlatego poprosiła mnie pani o dyskrecję w kwestii swojej obecności w Yorkshire? — Orłowską olśniło. — Moja droga, miałaś nadzieję, że nie wytrzymam i szepnę tu i tam słówko o sławnej osobie zamieszkującej pokój na drugim piętrze?

— Owszem. Proszę się nie gniewać. Tymczasem, ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu, spełniła pani prośbę. Absolutne zaskoczenie. Chylę czoła — wyznała szczerze aktorka. — Właśnie to sprawiło, że zdecydowałam się opowiedzieć pani o sytuacji z Różą.

— To duży komplement w ustach tak światowej kobiety.

— Zresztą, myśli pani, że kto podsunął pomysł na artykuł w regionalnym czasopiśmie oraz ufundował nagrodę za odgadnięcie tożsamości sławy, która ukrywa się w pensjonacie? — zaśmiała się.

— Pani? — zgadywała Henia.

— Prawie dobrze. Mój menago — zdradziła bez cienia oporów Petronela. — Droga pani, naprawdę nadszedł najwyższy czas, żebym zmyła wszystkie specyfiki, zanim wyżrą mi skórę aż do samej kości albo pozbawią włosów. Kosmetyki, których używam, może i są doskonałe, ale jeśli producent na opakowaniu napisał, po jakim czasie trzeba je usunąć, wnioskuję, że najwidoczniej ma ku temu ważny powód. Nie będę pani zatrzymywała. — Podeszła do drzwi, dając znak emerytce, że audyencja dobiegła końca.

ROZDZIAŁ 15

Tego dnia pogoda postanowiła pokazać swój nieprzewidywalny charakter. Od rana świeciło słońce, którego zadaniem było osłabienie czujności wczasowicza na to, co miało nastąpić chwilę później, czyli szalejącą bez opamiętania śnieżną burzę.

Starsza pani z ociąganiem zbierała się do wyjścia, wyczekując chwili przerwy w intensywnych opadach. Według Orłowskiej samochód sprawował się nienagannie, jednak gorzej prezentował się stan opon. Chociaż wymieniono je zaledwie cztery lata temu na zimowe, to głębokość bieżnika nie była oszałamiająco wysoka, co w połączeniu z wyżynnym terenem i nieodśnieżoną nawierzchnią mogło nieść daleko posunięte i niechciane konsekwencje. Henryka nie pałała chęcią, żeby odkopywać auto z zasy, mimo że jako doświadczona osoba była przygotowana nawet na taką ewentualność. W bagażniku obok ABC każdego kierowcy, czyli apteczki, gaśnicy oraz trójkąta, o każdej porze roku woziła dodatkowo: saperkę, linkę do holowania, scyzoryk (w razie gdyby ten schowany w bocznej kieszeni podręcznej torebki zaginął), niewielkich rozmiarów kanister z zapasem paliwa, lewarek, racę, paczkę miętusów, butelkę niegazowanej wody mineralnej, rozmówki polsko-angielskie oraz koc akrylowy o wymiarach sto dwadzieścia na sto pięćdziesiąt centymetrów. Mniej więcej (z naciskiem na mniej) taki oto zestaw MUST HAVE doradzał znamienity podróżnik, który przejechał prawie cały glob. Henia brała udział w wieczorze autorskim zorganizowanym przy okazji wydania jego debiutanckiej książki. Żeby podnieść frekwencję na spotkaniu, organizatorki, czyli panie z osiedlowego klubu, za stawiennictwo wręczały każdemu bilet wstępu na piętnastominutowy seans w grocie solnej przy relaksujących dźwiękach dzwoneczków. Okazało się, że zachęta w postaci gratisu nie była konieczna, ponieważ aktywni społecznie mieszkańcy okolicznych domów i bez tego ściągnęli licznie.

Oczarowanie nietuzinkową postacią gadatliwego obywatela świata sprawiło, że Orłowska postanowiła wyposażyć swojego opla w — jak go nazwała — pakiet awaryjny. Dotychczas nie było jeszcze sposobności do skorzystania z niego, jednak z takim oprzyrządowaniem, dostępnym na wyciągnięcie ręki, trudno było nie czuć się bezpiecznym i przygotowanym na każdą okoliczność losu. I właśnie posiadanie wspomnianego zestawu dodało Henryce odwagi, żeby wyruszyć na komisariat pomimo niesprzyjających warunków atmosferycznych. W przeciwnym razie możliwe, że zostałyby w pokoju, odkładając wizytę w siedzibie przedstawicieli służb mundurowych na święte nigdy.

Raz jeszcze zlustrowała wzrokiem mapę okolicy otrzymaną kilka dni wcześniej od pana Zygmunta, po czym skręciła na rozwidleniu dróg w prawo. Widoczność była marna, droga śliska. Wycieraczki pracowały nieprzerwanie na najwyższych obrotach, a i tak nie były w stanie poradzić sobie ze zmasowanym atakiem śniegu. Z twarzą przyklejoną do przedniej szyby i mocno zaciśniętymi na kierownicy dłońmi Henryka w końcu zajechała pod budynek policji. Wysiadła z samochodu i z wdzięcznością delikatnie poklepała wóz po rozgrzanej masce, spod której pomimo wyłączonego silnika nadal słychać było dziwne rżenie.

— Dzień dobry, ja do kapitana Zborowskiego — powiedziała nieznanemu mężczyźnie, którego od pasa w górę było widać w niewielkim zakratowanym oknie.

— Czy chciała pani zgłosić przestępstwo, naruszenie ciszy nocnej, kradzież, włamanie, rozbój, oszustwo, wypadek drogowy z udziałem lub bez udziału poszkodowanych? — wyliczał, jednocześnie wyłączając ustawiony na regale malutki telewizor, na którym oglądał mecz piłki nożnej.

— Nie, chyba nie — zaprzeczyła niepewnie.

— W takim razie w jakiej sprawie przyszła pani do pana kapitana? Prywatna? Służbowa? — przepytował obywatelkę.

— Trochę taka, a trochę taka. — Nie bardzo wiedziała, jak sklasyfikować powód swojej wizyty.

— Aha. — Niewiele to wyjaśniło dociekliwemu dyżurnemu. — Godność?

— Henryka Orłowska.

Przynajmniej co do tego nie mam wątpliwości — pomyślała z rozbawieniem.

— Moment. — Funkcjonariusz wyjął z szuflady biurka, przy którym siedział, kajet, otworzył go i jeżdżąc palcem od góry do dołu strony, czegoś szukał. — Była pani umówiona? Nie widzę, żeby na

dzisiaj miała pani wyznaczone spotkanie z kapitanem. — Popatrzył na kobietę przymrużonymi oczyma.

— Zgadza się. Nie mam wyznaczonego. Nie pomyślałam o tym, faktycznie mogłam się wcześniej umówić — powiedziała strapiionym głosem.

— Niestety, w takim razie dziś przepadło. Pan kapitan będzie zajęty przez cały boży dzień. Najbliższy wolny termin ma za — ponownie zerknął do zeszytu — trzy tygodnie w czwartek między dziesiątą a dziesiątą trzydzieści. Mogę panią wtedy wcisnąć albo zawsze jeszcze pozostaje spotkanie z innym policjantem. Pozostawiam to do pani decyzji. Jak robimy? — zapytał, oczekując na odpowiedź z włączonym długopisem zawieszonym nad brulionem.

— Tylko kapitan może mi pomóc — stwierdziła stanowczo Henia. — Może by się udało ten jeden jedniutki raz, w drodze wyjątku, żeby pan kapitan zgodził się ze mną zobaczyć bez wcześniejszego umówienia?

— Pan kapitan jest bardzo zapracowanym człowiekiem! — obruszył się na tak zuchwałą prośbę mężczyzna. — Zresztą, jak byśmy pozwalali na wyjątki, zaraz te jedne jedniutkie razy zaczęłyby się mnożyć niczym grzyby po deszczu. Nie ma mowy.

— Gdyby chociaż pan do niego zadzwonił i zapytał... — próbowała delikatnie naciskać.

— Ja już swoje powiedziałem — uciał rozmowę. — Więc jak będzie, umawiamy na za trzy tygodnie do kapitana czy do kogoś innego na wcześniej?

— Muszę się zastanowić... — Nie spodziewała się takiego obrotu sprawy.

— Proszę się zastanawiać do woli. Kiedy coś pani wymyśli, wiadomo, gdzie mnie znaleźć. — Ponownie włączył telewizor i na ekranie po boisku zaczęli biegać za piłką w tę i w tę zawodnicy wielkości mrówek.

— Do widzenia — pożegnała się bardzo uprzejmie Orłowska. Tego, że coś poszło nie po jej myśli, nie uważała za powód do gburowatości.

— Do widzenia — odpowiedział policjant, nie odrywając wzroku od ekranu.

Henryka odwróciła się na pięcie i noga za nogą, podpierając się kijkiem, kuśtykała do wyjścia. Wtem starodawne i masywne drzwi do komisariatu otworzyły się z hukiem, uderzając o ścianę, a do środka wszedł ośnieżony Zborowski, liżąc loda na patyku.

— Kogóż to moje oczy widzą! — uradował się. — Pani Henia kochana! Czemu zawdzięczamy tę miłą wizytę w naszych skromnych progach?

Na widok przełożonego wylewnie witającego się z dopiero co spławioną obywatelką policjant zamarł. W chwilowym przyływie świadomości palcem wskazującym prawej ręki cyknął przycisk wyłącznika, gasząc mecz.

— Dzień dobry, panie kapitanie! — Skoczył na równe nogi. — Oto obecna tu pani chciała się widzieć z panem kapitanem. Kalendarz pana kapitana jest wypchany po sam brzeg, ale może ten jeden jedniutki raz, w drodze wyjątku, zgodziłby się pan kapitan przyjąć obywatelkę poza kolejnością? — zapytał i zawstydzony zerknął na kobietę przepraszająco, a ona odwdzieczyła mu się spojrzeniem pełnym zrozumienia oraz sympatii.

— Dla pani zawsze znajdę czas! Zapraszam do siebie. — Zborowski jednym ruchem szcęk pożarł loda i wrzucił patyk do śmietnika. Szybkim ruchem ręki z grubsza otrzepał płaszcz ze śniegu i otworzył przed Henryką drzwi prowadzące do wnętrza komisariatu. — Pani Heniu kochana, co się pani stało w nogę? Jakiś wypadek?

— Potknęłam się na odstającej wykładzinie. Nic wielkiego, do wesela się zagoi — zażartowała.

— Prześmieszne! — Dowcip mocno rozbawił mężczyznę.

Budynek nie był duży, znajdowało się w nim zaledwie kilka pomieszczeń, w których pracownicy niczym pszczołki garstka policjantów uwijała się nad przywracaniem w swoim rewirze ładu i porządku. Orłowska ze Zborowskim przeszli do końca krótkiego korytarza, gdzie za zwykłymi drzwiami ze sklejki z wielką szybkością znajdował się gabinet kapitana.

— Ciasny, ale własny — powiedział, przepuszczając gościa w drzwiach.

Starsza pani rozejrzała się z ciekawością po pomieszczeniu. Luksusy z Yorkshire to to nie były. Wyposażenie przywodziło na myśl słowo „rupieciarnia”. Ściany, pomalowane olejną farbą na kolor

pomiędzy miodowym a jasnobrązowym, nie budziły najlepszych skojarzeń. Podłogę zdobił elegancki dywan w kwiaty, bardzo podobny Henryka miała w mieszkaniu. Meble określiłaby mianem „z różnych parafii”. No bo jak miały się do siebie: niski obdarty fotel w fioletowo-błękitną kratkę, wysokiej klasy skórzane obrotowe krzesło, szafka kuchenna przykryta blatem pieprz i sól, dwudrzwiowa masywna szafa rodem ze sklepu z antykami, do której ktoś po barbarzyńsku przymocował skobel na kłódkę, plastikowy żyrandol na pięć żarówek z obecnymi na swoich miejscach jedynie trzema, szkolne biurko z pięcioma szufladami zamykanymi na kluczyk i metalowa stojąca lampa w stylu art déco? Było jednak w gabinecie coś, co zdobyło serce kobiety. Gdzie tylko się dało, poustawiano kwiaty doniczkowe. Dominowały wśród nich bujnie pnące się bluszcze, ale nie zabrakło również paproci, języków teściowej, kaktusów, dracen, epipremnum złocistych, fiołków i orchidei. Kwiecie pyszniło się świeżą zielenią, ognistą czerwienią, energetyczną żółcią, a także relaksującym fioletem, zamieniając ponure wnętrza graciarni w przyjemną oranżerię.

Mężczyzna pomógł Orłowskiej wyswobodzić się z płaszcza, a następnie skoczył pod okno, skąd z kocią zwinnością (której Henryka nie spodziewałaby się po kapitanie o tak obfitych kształtach) przeniósł nad głowę fotel i ustawił go po drugiej stronie biurka. Usadził w nim gościa, po czym sam opadł na obrotowe krzesło naprzeciwko.

— Wiem, że fotel nie wygląda na Ludwika XVI, ale obiecuję, że jest od niego o niebo wygodniejszy. Jeśli mam do przemyślenia trudną wielowątkową sprawę, to właśnie w nim mi się najlepiej zgłębia tajniki umysłu przestępców. Przyniosłem go z domu i tym samym dałem mu drugie życie. Nikt z domowników nie mógł już na niego patrzeć. Kombinowali nad sposobami pozbycia się szpecącego mieszkanie grata. Zresztą podobnie ma się rzecz w odniesieniu do większości mebli w komisariacie. Nie dostajemy dużo pieniędzy z budżetu, na wszystko nie starcza, więc radzimy sobie, jak możemy. Kto ma coś na zbyciu, przynosi dla wspólnego dobra. Po co wyrzucać porządne rzeczy?

Orłowska musiała przyznać, że gdyby pominąć kwestie estetyczne, faktycznie fotel był nadzwyczaj komfortowy, wprost nie chciało się z niego wstawać. Dodatkowo starszą panią wzruszyło podejście Zborowskiego do dóbr doczesnych. Rozumiała go, sama bowiem nie lubiła niepotrzebnie wyrzucać niczego, co użyteczne i mogło się jeszcze przydać.

— Piękne kwiaty! Wszystkie są pana, kapitanie? Sam pan się nimi zajmuje?

— Jakżeby inaczej! Te roślinki są wynikiem wieloletniego dbania, przesadzania, podlewania, nawożenia. — Zborowski dumnie wypiął pierś. — Gdzie nie pójdę, szukam szczepek. Upolowałem rzadki okaz fikusa w pensjonacie, w którym pani przebywa. Ciekawe, czy się przyjmie. Ale ta dżungla — zatoczył ręką koło — nie jest tylko moją zasługą. Chodzi o środowisko życia. Rośliny wolą budynki takie jak ten, grube mury, prawdziwa cegła, a nie żelbeton czy wielka płyta.

— Porządne mury nie wystarczą. Niepotrzebna skromność, panie kapitanie. Trzeba mieć dobrą rękę, żeby w doniczkach porządnie rośło. Trochę się znam, bo od czerwca sama należę do kółka przyjaciół zieleni — pochwaliła się. — Ale u mnie to nie wygląda tak spektakularnie. Czym pan nawozi?

— Swoją swego wyczuje! Od razu wiedziałem, że i pani lubi naturę. — Ucieszył się. — Z nawożeniem to nie jest taka prosta sprawa. Zależy, o jaki chodzi gatunek rośliny. Mam jednak pewną tajemnicę, którą pani zdradzę. Trzy słowa. Odchody świnki morskiej.

— Odchody świnki morskiej? — powtórzyła skonsternowana emerytka.

— Tak. Odchody świnki morskiej. Naturalne nawożenie, nie odkryto lepszej metody.

— No wie pan co! Od tylu lat mam w domu właśnie takiego włochatego prosiaczka, a w życiu bym nie pomyślała, że na coś mogą mi się przydać jego... produkty przemiany materii. Zamiast tego lałam do doniczek chemię z butli.

— Pani Heniu! Nigdy więcej proszę tego nie robić! Chemia szkodzi i ludziom, i roślinom. Przecież zbyt silny preparat może uszkodzić korzenie bądź liście.

— Panie kapitanie, bardzo dziękuję za cenną radę.

— Kawki! Trzeba się napić kawki dla poprawy krążenia — niespodziewanie wypalił.

— Nie odmówię.

— To mi się podoba! Zawsze przyjemniej przechylić filiżankę w towarzystwie niż w pojedynkę.

— Nacisnął przycisk archaicznego interkomu, nachylił się, prawie dotykając go ustami, i przemówił głośno i wyraźnie: — Boluś, dwie kawki poprosimy.

— Sie robi — zaskrzeczał mechanicznie głos wydobywający się z głośnika.

Kiedy Orłowska ze Zborowskim skończyli omawiać kwestię mebli znajdujących się w komisariacie, sposobów właściwego dbania o domową florę oraz zaczęli pić gorącą, mocną i porządnie posłodzoną kawę, czas było przejść do konkretów.

— Słyszałam, że wydaliście panowie rodzinie ciało Róży.

— Tak, nie było powodu, żeby opóźnić tę przykrą konieczność.

— Pan Ryszard, dentysta z pensjonatu, wstępnie stwierdził, że dziewczyna zmarła orientacyjnie między tuż przed szóstą a siódmą. Według niego śmierć spowodowało uderzenie w prawą skroń albo rozcięta głowa po upadku na kant biurka. Nie wykluczał też trzeciej możliwości, że biedaczka wykrwawiła się. A pan jak myśli, kapitanie?

— Mogę pani wyjawić, bo nie stanowi to tajemnicy, że słusznie wnioskowałam. Godzina by się zgadzała. Jeśli chodzi o przyczynę zgonu, trop również był dobry. Pierwszy cios, zadany w skroń, okazał się śmiertelny. Nie cierpiała.

— Panie kapitanie, zastanawiam się... Ot taka tam ciekawość starszej pani: czy wiadomo coś o narzędziu zbrodni?

— Niestety mniej, niż byśmy chcieli. Było twarde, niekoniecznie bardzo ciężkie, z ostrym rogiem. Cios zadał ktoś wyższy od Róży.

Henryka skrzywiła się na te słowa.

— Tak, wiem, o czym pani pomyślała. Każdy, kto między szóstą a siódmą znajdował się w Yorkshire, był od niej wyższy.

— No właśnie — przytaknęła.

— Praca w policji potrafi być frustrująca. Już, już pojawia się światełko w tunelu, jest konkretny ślad i... klops. Wielka szkoda, że nie znaleźliśmy narzędzia zbrodni. Podejrzewamy, że mógł to być jeden z pucharów ustawionych na regale w gabinecie właścicielki pensjonatu, róg pasuje do rany, ale nawet jeśli to był któryś z nich, nie jesteśmy w stanie jednoznacznie tego stwierdzić ani tym bardziej dowieść hipotezy. Morderca mógł go wyczyścić i odstawić dokładnie na miejsce, z którego go wziął. Nie było też odcisków palców na ciebie. Oczywiście poza osobami, które znalazły denatkę i same się przyznały do dotykania zwłok, a nawet mają na to świadków. Mam na myśli panią, Zofię Bobrownik oraz tego stomatologa. Znowu kolejny ślepy zaułek.

— Może chociaż wiadomo, czy zabił mężczyzna, czy kobieta?

— I tu po raz kolejny nie mieliśmy szczęścia. Miejsce na głowie, w które uderzono, jest tak delikatne, że wystarczył porządny zamach ręką i po człowieku. Osoby obojga płci byłyby w stanie tego dokonać. Pani Heniu, więcej jako cywilowi, pomimo wielkiej sympatii, którą panią darzę, nie mogę zdradzić.

— Jasne. Tajemnica zawodowa i dobro śledztwa.

— Dokładnie tak.

— To zrozumiałe. Wszystkim nam zależy na wyjaśnieniu sprawy.

— Ku pokrzepieniu mogę powiedzieć, że jesteśmy coraz bliżej rozwiązania.

— To cudowne! — Henryka prawie podskoczyła do góry z radości. Po chwili jednak spochmurniała.

— Coś panią trapi — zauważył mężczyzna.

— Tak jakby — przyznała niepewnym głosem.

— Czy to dotyczy śledztwa w sprawie Róży?

— Tak.

— W takim razie zalecam, żeby mi pani powiedziała, o co chodzi.

— Właściwie sama nie wiem, czy to jest ważne.

— Cóż, pani Heniu kochana, z wieloletniego doświadczenia w zawodzie wiem, że każdy szczegół, nawet z pozoru nieistotny, może się okazać kluczowy przy wykrywaniu sprawcy.

— Więc lepiej powiem. Chociaż pewnie i tak pan o tym wie. Chodzi o panią Czesię.

— O tę sympatyczną kucharkę z pensjonatu?

— Tak, o nią.

— Och, jak ta kobieta gotuje! Do późnych godzin nocnych prowadziliśmy w Yorkshire przesłuchania, więc ugościli nas obiadową kolacją. Pani Heniu kochana, jaki to był cymes! Zawijasy mięsne duszone w czerwonym winie na wolnym ogniu, do tego tłuczone ziemniaczki posypane szczypiorkiem i ogórek kwaszony obrany ze skórki, pokrojony w plasterki ze świeżą cebulką. Mmmmmyyyy... Uczta dla podniebienia! Brakowało tylko kompotu z wiśni albo śliwek, ale chyba teraz zmieniła się moda, pewnie wstyd podawać PRL-owski dodatek do drugiego dania w tak zacnym miejscu. Jednak mnie, staremu, trochę za nim tęskno. Co poradzę? Zdradzę pani, że w domu od razu pobiegłem do komórki i przyniosłem sobie duży słoik kompotu. Wypiłem cały duszkiem, nie rozcieńczając wodą. W pensjonacie nie pożałowali nam również deseru, makowego cuda z bakaliami na kruchym cieście pod pierzynką z bezy. Pierzynka z bezy! Nawet brzmi niebiańsko. A wszystko to robi tylko z niewielką pomocą jedna kucharka! Ale jaka kucharka: pier-wszo-rzęd-na! — zaakcentował z uznaniem. — Nie do uwierzenia. Aż żal było kończyć prace na miejscu zbrodni i wracać do własnej siedziby.

Zachwyt Zborowskiego nad umiejętnościami kucharki nie pomagał Henryce w wyjawieniu wątpliwości, które miała wobec osoby Czesławy.

— Przyznaję, że pani Czesia doskonale gotuje — powiedziała na widok rozmarzonego wzroku policjanta, który nieświadomie gładził palcami włochate liście fiołka afrykańskiego.

— Pani Heniu, w rzeczy samej, w rzeczy samej.

— Sprawa, o której chcę powiedzieć, jest delikatna... — przemówiła nieśmiało.

— Proszę się nie krępować — zachęcił, wracając na ziemię.

— Bo widzi pan, kapitanie, przypadkiem dowiedziałam się z wiarygodnego źródła, że jest problem z alibi pani Czesławy.

— O, a jakież to?

— Pani Czesia powiedziała mi, że od przyjścia o szóstej aż do ósmej w dzień śmierci Róży była w kuchni i we wskazanym przedziale czasowym nie wychodziła stamtąd ani na chwilę.

— Momencik. Niech no odświeżę swoją pamięć. — Policjant podszedł do szafy, kluczem wyjętym z kieszeni spodni otworzył kłódkę i wyciągnął z mebla pękatą teczkę. Wrócił do biurka, rozwiązał kokardkę broniącą dostępu do zawartości teczek, po czym wyłuskał jedną kartkę. Przeczytał całość od deski do deski, bezgłośnie poruszając ustami, i oznajmił: — Tak, teraz jestem na bieżąco. Proszę mówić dalej.

— Moje wiarygodne źródło...

— Pewnie nie może go pani zdradzić?

— Wolałabym nie.

— Zatem potraktujemy je jako anonim.

— Właśnie! Doskonały pomysł, anonim! I ten anonim dowiedział się, że kucharka oddaliła się w nieznanym kierunku. Nie było jej między szóstą czterdzieści a za kilka minut siódma. Dwudziestominutowa luka we wrażliwym dla sprawy czasie! Musi pan przyznać, kapitanie, że to dość dużo. Poświadczyć o nieobecności może dwóch świadków: kelner oraz dostawca owoców i warzyw. Dowodem jest też podpis w księdze odbioru dostaw, który wykonał Mateusz, a nie pani Czesia. — Orłowska przez cały czas nie spuszczała oka ze Zborowskiego, bacznie obserwując jego reakcję. — Wydaje się pan nie mniej zaskoczony ode mnie.

— Czyta pani ze mnie niczym z otwartej książki, pani Heniu kochana — potwierdził.

Henryka w tym momencie straciła nadzieję, że dowie się, co też pierwszorzędna kucharka robiła w czasie swojej porannej absencji w kuchni w dniu zabójstwa. Informacja, że okłamała nie tylko ją, ale i policję, była jednak równie cenna.

— I guzik... — wyrzuciła z siebie.

— Guzik?

— Tak, guzik. — Orłowska zaczerwieniła się ze wstydu. — Najpierw zapomniałam go panu dać,

panie kapitanie, a później... później... — dukała.

— Pani Heniu, jaki guzik? — Policjant postanowił pomóc kobiecie, widząc, że wyznanie przychodzi jej z niemałym trudem.

— Znalazłam guzik. — Na potwierdzenie słów wyjęła go z torebki i wręczyła Zborowskiemu.

— Bardzo ładny... — Obejrzał przedmiot z obu stron.

— Chciałabym znaleźć jego właściciela. — Wskazanie istoty sprawy, tak żeby zostać dobrze zrozumianą, nastęczyło Henryce pewnego problemu.

— To bardzo miłe z pani strony. Chętnie bym pomógł, tylko widzi pani, to może być trudne. Poza tym, proszę się nie obrazić, ale dla policji sprawa wydaje się mieć niski priorytet. Jeśli to dla pani tak ważne, pani Heniu, i znajdę wolnego pracownika, pomyślimy, czy coś dałoby się zrobić... Proszę jednak nie mieć za wiele złudnych nadziei, niczego nie obiecuję...

— Ależ nie! Nie o to chodzi! Ja znalazłam właściciela guzika.

— O! — Kapitan był skonsternowany. — Przyznam, że nie bardzo rozumiem...

— Moja wina. Mówię trochę nieskładnie. Zacznę od początku. Kiedy z Zosią Bobrownik znalazłyśmy ciało Róży, zobaczyłam ten guzik na podłodze nieopodal wejścia. Uznałam, że istnieje szansa, że odkrycie, do kogo należy, może pomóc w schwytaniu mordercy. Wspomniany anonim...

— Ten sam, który pojawił nam się w przypadku alibi pani Czesławy?

— Ten sam.

— I nadal nie ma szans, żeby zdradziła mi pani jego personalia?

— Nadal.

— Rozumiem. W takim razie już dalej nie przeszkadzam, proszę kontynuować.

— Mój błąd, że nie zwróciłam się ze sprawą od samego początku do pana. W każdym razie anonim ustalił, że identyczny guzik przy ubraniach mają trzy osoby i co ważne, nie brakuje im ani jednego! Rozumie pan?

— Tak jakby... — Zborowski nie był pewien, czy nadaża za tokiem myślenia energicznej emerytki.

— Teraz zmierzam do końca, a konkretnie do pani Czesławy. Jedną z tych osób jest właśnie ona.

— Hm...

— Ale jak mówię, może sprawa guzika nie ma znaczenia, zwykle marnotrawstwo czasu, nic więcej.

— Dobrze, że mi pani o tym powiedziała, pani Heniu. Czy się nie przesłyszałem, wspomniała pani o trzech osobach?

— Tak. Poza panią Czesią mamy jeszcze panów Ryszarda i Cezarego — zdradziła.

— Ciekawe... — Podkręcił węża w zadumie. — Zachowam guzik na wszelki wypadek. — Tutaj kapitan był uprzejmy, choć jednocześnie stanowczy.

— Proszę bardzo. — Henryka ucieszyła się, że kapitan ze spokojem przyjął informację o zatajonym dowodzie w postaci guzika.

Na zakończenie wizyty Orłowska i Zborowski dokładnie obejrżeli co ciekawsze okazy kwiatów doniczkowych w gabinecie mężczyzny. Kapitan podzielił się z nową znajomą trzema listkami fiołka alpejskiego, których końcówki z najwyższą delikatnością owinął namoczoną wodą papierem toaletowym. Nie omieszkał dokładnie omówić sposobu, w jaki należy się z nimi obchodzić, żeby się przyjęły, opowiedzieć o nawożeniu, stopniu nasłonecznienia odpowiednim dla rośliny oraz ogólnych zasadach dbania o nią. Następnie odprowadził kobietę do drzwi.

Starsza pani z ulgą stwierdziła, że śnieżyca ustała, a na dworze świeciło słońce. Gdyby nie hałdy zalegającego śniegu, trudno byłoby się domyślić, że jeszcze niedawno z nieba sypał się on całymi wywrotkami.

ROZDZIAŁ 16

Pięć kilometrów od pensjonatu Henryka spostrzegła samochód z otwartą maską stojący po przeciwległej stronie wąskiej ulicy.

W tym samym momencie pochylona nad silnikiem kobieta usłyszała nadjeżdżającego z naprzeciwka opla Orłowskiej (co nie było trudne ze względu na doznania dźwiękowe zapewniane przez donośny mechanizm wozu, który czasy świetności miał dawno za sobą). Pani, pokrzepiona widokiem zbliżającego się w ślimaczym tempie auta, pierwszego od przeszło dwudziestu minut, zrezygnowała z dalszych prób bezowocnego wgapienia się w pompę, tłoki, zbiornik oleju i całą resztę rurek oraz śrubek, ogólnie — żelastwa. Odwróciła się zadkiem do nieprzyjaznego mechanizmu, żeby dostojnie pomachać ręką w kierunku naciągającej z odsieczą, choć jeszcze tego nieświadomej wybawczynie.

Emerytka ani przez chwilę nie miała wątpliwości, czy udzielić pomocy. Nie robiły na niej wrażenia przestrogi sąsiada mieszkającego kilka kamienic dalej, który kategorycznie zabraniał ulubionej przyszywanej cioteczce zatrzymywać się w ustronnych, wyludnionych miejscach na widok zepsutych pojazdów niewiadomego pochodzenia.

— Ciociu, niech ciocia nie ufa każdemu. Tylu jest naciągaczy. Tylu udają, że bryka rozkraczona, a tak naprawdę planują oskubać naiwnego delikwenta. Słyszałem, jak przestrzegali w radio. Przyjmijmy, widzi ciocia taką sytuację. Co ciocia robi? Oczywiście oczywiście, nie można pozostać obojętnym na ludzką krzywdę, dlatego mija ciocia uszkodzoną furę i jak gdyby nigdy nic jedzie dalej. Profilaktycznie można się zamknąć od wewnątrz, ale ja bym nie przesadzał ze środkami bezpieczeństwa. Czyli zablokowanie drzwi to już dowolnie, według uznania. Trochę dalej zjeżdża ciocia na pobocze, skąd dzwoni do glin. Jeśli to rzeczywiście awaria, a wózek czeka naprawa, niebiescy pomogą. A jeśli mamy do czynienia z oszustem, niech ciocia się nie obawia, już oni będą wiedzieli, jak postąpić. W ten sposób wilk syty i owca cała — uprzedzał, instruował, pouczał sąsiad w dobrej wierze, z troski.

Chociaż Henryka bardzo ceniła sobie jego osobę i towarzystwo, nie podzielała obaw w kwestii niebezpieczeństwa czyhającego na drodze na nią i innych naiwnych, dlatego swoim zwyczajem powoli zjechała na pobocze i ustawiła się za zepsutą toyotą.

Do okna od strony Orłowskiej podeszła dama w zgrabnych kozaczkach na cienkiej szpilce, czarnych rajstopach 15 DEN, płaszczu do kolan ze stójką w odcieniu szarości i w futrzanym toczku na głowie. Starsza pani pokręciła korbką, żeby opuścić szybę.

— Dziękuję, że się pani zatrzymała. Mam kłopot z samochodem — przemówiła rzeczowo i spokojnie elegantka.

— O, to pani! — Henia ucieszyła się na widok Liliany. Spojrzała na niewielkie zwrotne autko. Bez wątplenia nie był to SUV, w którym kilka dni wcześniej widziała jej męża.

— Jaki zbieg okoliczności — powiedziała bez entuzjazmu arystokratka.

— Zepsuł się pani wóz?

— Tak. Kiedy jechałam do miasta, wpadłam w poślizg na nieposypanej drodze. Ratując się przed uderzeniem w drzewo, wjechałam w zaspę. Myślałam, że bez problemu z niej wyjadę, więc wrzuciłam wsteczny, koła zabuksowały. Faktycznie, tak jak przewidywałam, dałam radę wyjechać, ale niestety przy okazji coś musiało się uszkodzić. Silnik pracuje, tyle że kiedy dociskam gaz, jego aktywność kończy się na wyciu.

— Grunt, że pani nic się nie stało. Może spaliło się sprzęgło. Dzwoniła pani po mechanika?

— Nie. Jak na złość skończyła mi się bateria w telefonie, a wychodząc w pośpiechu, zapomniałam wziąć ze sobą samochodową ładowarkę.

— W takim razie proszę wsiadać, podwoję panią do pensjonatu. Moja droga! Musiałaś zmarznąć na kość w tym cienkim płaszczu i rajstopach. Zaraz dam ci koc, okryjesz się. — Henryka właśnie zamierzała wypróbować pakiet awaryjny, mówiąc uczciwie, nawet trochę cieszyła się na tę okoliczność, lecz Liliana powstrzymała ją.

— Dziękuję, nie ma takiej potrzeby. Wcześniej siedziałam w samochodzie. Ustawiłam klimatyzację na dwadzieścia pięć stopni Celsjusza, więc nie odczułam chłodu — wyjaśniła.

— To dobrze, szkoda by było dostać na wczasach kataru. No, ale komu w drogę, temu czas. Proszę wsiadać, jedziemy do ośrodka. — Starsza pani żwawo przechyliła się w kierunku drzwi od strony pasażera, żeby otworzyć je na szerokość.

— Dziękuję, ale ja... wolałabym...

— Mów, moja kochana, o co chodzi? Boisz się, że jeśli zostawisz wóz na tym odludziu, ktoś ci go ukradnie?

— Nie, nie w tym rzecz. Jest ubezpieczony.

— W takim razie o co chodzi?

Liliana popatrzyła na Henrykę w zadumie.

— Możemy mówić szczerze, jak kobieta z kobietą?

— Jak najbardziej.

— Śledziłam męża.

— O.

— Ostatnio zdarza się, że gdzieś się wymyka. Tym razem chciałam zobaczyć, dokąd pojedzie. Widać, że nie jestem licencjonowanym prywatnym detektywem, ponieważ ledwie odjechałam o kilka kilometrów od Yorkshire, a nie dość, że zgubiłam Czarka, to jeszcze zepsułam samochód z wypożyczalni — siliła się na swobodny ton.

Orłowska spojrzała na zwinną toyotę. Liliana również zerknęła w tamtym kierunku.

— Jeśli zastanawia się pani, czy specjalnie na okoliczność nakrycia męża z kochanką pokusiłam się o wypożyczenie samochodu, to muszę panią rozczarować. Nie mamy do czynienia z aż tak soczystą historią. — Uśmiechnęła się blado. — Dla wygody wzięliśmy z lotniska dwa wozy, po jednym dla każdego. Zawsze tak robimy na wszelki wypadek, gdyby zaistniała potrzeba pojechać w różne miejsca o jednej godzinie.

— Nie, nie zastanawiało mnie to — zaprzeczyła Henryka, po czym wyjaśniła: — Próbowałam ocenić, czy mój samochód da radę panią holować. Jeśli tak, postawiłybyśmy toyotę na miejscu, z którego ją pani wzięła. Odpowiednio opłacony mechanik z pewnością będzie w stanie naprawić auto, że tak powiem, po cichu. Rozumiem, że to by ci najbardziej odpowiadało, moja kochana? — bardziej stwierdziła, niż zapytała.

Żona sprzedawcy antyków spłonęła rumieńcem.

— Tak — przyznała uczciwie. — Wolałabym, żeby Czarek się nie dowiedział o mojej zabawie w detektywa. To był głupi pomysł, nie wiem, co też mi strzeliło do głowy.

— Nie ma się czym przejmować. Zakochana kobieta może mieć różne pomysły — powiedziała uspokajająco Orłowska, w odpowiedzi na co Lilka jeszcze bardziej się zaczerwieniła.

— Ale ja... zresztą, to żaden wstyd, że kocham własnego męża — powiedziała, dumnie zadzierając do góry głowę.

— Właśnie — podsumowała Henryka. — Chodźmy.

Panie podeszły do bagażnika opla. Emerytka z jego czeluści przyciągnęła bliżej siebie wypchaną podróżną torbę w kwiaty zapinaną na zamek błyskawiczny.

— Zobaczmy, co my tu mamy. — Zaczęła wyjmować z niej rzeczy i dokładnie oglądać. — Doskonała lina! Nada się wysmienicie — stwierdziła autorytatywnie, mocno ciągnąc ją z dwóch stron. — Tylko czy oby nie za krótka... — Zawahała się. — Ile powinna mieć lina na hol, wie pani? I czy na środku zawieszają się czerwoną czy zieloną szmatkę?

— Nie mam pojęcia. Nigdy tego nie robiłam, pierwszy raz samochód padł mi na drodze. A jak to było, kiedy ostatni raz holowała pani auto?

Henryka popatrzyła ze zdziwieniem na rozmówczynię.

— A kto pani powiedział, że już kiedyś holowałam samochód? To będzie mój pierwszy raz.

— O matko! — wyrwało się Lilianie. — Może jednak lepiej będzie, jeśli zadzwonimy po mechanika.

Orłowska poklepała żonę znawcy dzieł sztuki po ramieniu.

— Nic się nie bój, moja droga, poradzimy sobie. Potrzebujemy tylko niewielkiego rozjaśnienia

tematu. Pech, że akurat nie wzięłam ze sobą podręcznika w pigułce: *Jak radzić sobie w stu najczęstiej przydarzających się na drodze sytuacjach*. — Zanotowała w myślach, żeby zaraz po przyjeździe do domu włączyć książkę do pakietu awaryjnego. — Wygrałam go na dorocznej loterii fantowej organizowanej przez parafię z okazji nadchodzących Świąt Wielkanocnych.

— Wszystko można sprawdzić w internecie.

— Ale skąd na tym pustkowiu wziąć internet?

— W telefonie.

— Kto by pomyślał jeszcze kilka lat wstecz, że takie rzeczy w ogóle będą możliwe — powiedziała pełna podziwu dla postępu technologicznego Henia. — Tym bardziej szkoda, że wyczerpała się pani bateria.

— Owszem, mój smartfon się rozładował, ale pani chyba ma ze sobą telefon komórkowy? — zapytała.

— Mam, ale bez internetu — stwierdziła z przykrością emerytka.

— W każdym telefonie jest internet — zapewniła Liliana, co spotkało się z niedowierzaniem ze strony Orłowskiej.

— W każdym? Jest pani tego pewna?

— W każdym. Proszę pokazać swój — poprosiła, wyciągając przed siebie rękę.

Starsza pani wyjęła komórkę z torebki i podała kobiecie.

— Proszę.

Arystokratka przeżyła szok na widok przedpotopowego modelu nokia.

— TO jest pani telefon? — zadała retoryczne pytanie, nadal pozostając pod wrażeniem trzymanego w dłoni eksponatu muzealnego.

— Tak. Jestem z niego bardzo zadowolona — pochwaliła niezawodne urządzenie Orłowska.

— Nie wiedziałam, że jeszcze takie produkują... — Lila przyglądała się nieufnie szarej cegle z guzikami i niewielkim ekranem.

— A nie wiem, czy produkują. Będzie z dziesięć lat, od kiedy go kupiłam.

— Dziesięć lat??? Czy ja się nie przesłyszałam? Powiedziała pani dziesięć? — Arystokratka nie dawała wiary własnym uszom.

— Może jedenaście... Dokładnie nie pamiętam. Tyle czasu, a sprawuje się równie dobrze jak pierwszego dnia. Tylko bateria czasami płata mi figle i nie trzyma siedem, tylko pięć dni, ale wystarczy być czujnym i sprawdzać te zielone kreseczki, które pokazują, ile zostało energii.

— Pięć dni???

— Wiem, trochę mało. Siedem było lepiej, ale mnie i te pięć w zupełności wystarcza.

— Mało?

— Moja droga, czyli jak? Jest ten cały internet, czy go nie ma? — przeszła do meritum Henryka, bo rozmowa się przedłużała i zaczynała jej się robić zimno.

— Nie ma. — Lili odpuściła sobie sprawdzanie, i bez tego nie miała żadnych wątpliwości.

— Ale zaraz, co tam internet! Przecież mogę zadzwonić do sąsiada! On będzie wiedział. — Orłowska wyjęła z dłoni rozmówczyni swoją nokię i wybrała numer.

Liliana uważnie przyglądała się rozmawiającej pani Heni. Nadal nie mogła uwierzyć, że tamta nie robi sobie z niej żartów i faktycznie na co dzień korzysta z dziesięcio-, a może nawet jedenastoletniego telefonu komórkowego.

Dobrze zorientowany w temacie brania na hol samochodów młody mężczyzna chętnie podzielił się wiedzą z cioteczką. Dzięki telefonicznym instrukcjom panie bez trudu właściwie ustawiły samochody, odnalazły ukryte haki, a na koniec połączyły je liną, którą pośrodku przewiązały czerwoną bandamką wyszperaną ze schowka w oplu. Odpowiednio przygotowane wsiadły do swoich aut, odpaliły silniki i odważnie (Henryka) oraz z pewną dozą wątpliwości (Liliana) pojechały najkrótszą drogą do Yorkshire. Toyotę ustawiły na swoim miejscu na parkingu. Żona sprzedawcy antyków, choć powściągliwie, to z autentyczną wdzięcznością podziękowała za pomoc i udała się do pokoju.

Orłowska ruszyła dalej. Musiała się przecież dostać sprzed podjazdu przed głównym wejściem

do budynku na jego drugą stronę, do przysługującego jej miejsca z numerem trzydzieści trzy. Nic ani nikt jej nie gonił, więc jechała niespiesznie. Podziwiała ośnieżony ogród, drzewa oraz krzewy oprószone puchem, od którego odbijały się promienie słoneczne, przypominając tysiące mieniących się kryształków.

Była coraz bliżej. Na horyzoncie zamajaczyła szpecąca krajobraz, zabezpieczona przed mrozami fontanna, za którą stali pogrążeni w rozmowie Halinka z recepcjonistą. Ukryci przed wścibskim wzrokiem spacerujących ścieżką nie przewidzieli, że widać ich jak na dłoni z wewnętrznej drogi.

Żona stomatologa rozprawiała o czymś z przejęciem, podczas gdy pan Zygmunt przyglądał jej się z uwagą. Orłowska odniosła wrażenie, że mężczyzna stara się zapamiętać każde słowo wypowiedziane przez towarzyszkę. Nagle przerwał jej i coś zaczął tłumaczyć, przecząco kręcąc głową oraz żywo gestykulując. Halinka ujęła jego dłonie w swoje i jeszcze gorliwiej przekonywała. W końcu recepcjonista, choć niechętnie, to jednak przystał na propozycję kobiety. Tak przynajmniej zinterpretowała podpatrzoną scenę Henryka, mając jedynie wizję bez fonii.

Starsza pani zmarszczyła brwi. Docisnęła pedał gazu. Podczas parkowania niebezpiecznie zarzuciło tył jej wozu na śliskiej nawierzchni, ale dzięki refleksowi obronną ręką wyszła z niebezpiecznej sytuacji. Wysiadła z auta, uważnie stawiając na chodniku bolącą nogę, wyjęła z bagażnika kijek do nordic walkingu i po chwili rozterki zdecydowała się podejść do fontanny.

Zanim tam jednak dotarła, konspiracyjny, spłoszeni widokiem nadchodzącego nieproszonego gościa, ulotnili się. Spostrzegawcza emerytka dojrzała żonę dentysty żwawo kroczącą przed siebie do zagajnika. Pan Zygmunt musiał być od niej szybszy albo po prostu lepiej wiedział, gdzie się ukryć, ponieważ w ułamku sekundy zniknął Heni z oczu i nigdzie nie mogła go wypatrzeć.

— Halinko! — zawołała Henryka, uzyskując wynik przeciwny do zamierzonego, gdyż na dźwięk swojego imienia Halinka nie tylko nie zatrzymała się, ale wręcz przyspieszyła.

Orłowska była zdeterminowana, absolutnie nie zamierzała rezygnować.

— HALINKO! — ryknęła ile sił w płucach. Siedzące na pobliskich drzewach gawrony z przestraszu zerwały się do lotu, kracząc złowrogo. — Zatrzymaj się. Poczekaj na mnie — nie dawała za wygraną.

Trudno było dłużej udawać głuchą. Żona stomatologa odwróciła się.

— Heniu, nie zauważyłam cię — nieudolnie starała się ukryć niezadowolenie malujące się na twarzy.

Starsza pani, na ile było to w jej sytuacji możliwe, pognąła ku ofierze swoich natarczywych nawoływań.

— Spacerujesz? — zapytała lekko zziębiona. Bieganie po byle jak ośnieżonych ścieżkach ze skreconą kostką zmęczyło ją.

— Tak, postanowiłam się trochę przejść. Rysio uciał sobie poobiednią drzemkę, a dzień taki piękny. Szkoda go marnować na siedzenie w pokoju.

Słyszając słowo „obiad”, Orłowska poczuła silny głód, na który wcześniej zupełnie nie zwróciła uwagi. Zerknęła na zegarek i z ulgą stwierdziła, że do końca posiłku zostało pięćdziesiąt minut. Wiedziała, że jeśli szybko rozmówi się z Haliną, to spokojnie powinna zdążyć zjeść.

— Miło, że pan Zygmunt zdecydował ci się towarzyszyć.

— Pan Zygmunt? Towarzyszyć? Heniu, nie wiem, o czym mówisz. Spaceruję sama. — Żona dentysty błędziła wzrokiem w okolicy stóp.

Henryka zdębiała.

— Widziałam was przed chwilą koło fontanny.

— Wiedziałabym, gdyby ktoś był ze mną na przechadzce — zaśmiała się nerwowo kobieta. — Może przywidziało cię się przez... — usilnie próbowała wymyślić coś na poczekaniu — mgłę — wypaliła, żałując swoich słów sekundę po ich wypowiedzeniu.

Orłowska popatrzyła z troską na rozmówczynię, która — nie było się co czarować — mocno mijała się z prawdą. Starsza pani była dalekowzroczna, więc doskonale widziała wszystko w oddali. I ta nieszczęsna mgła, po której nie było ani śladu... Słońce powoli chyliło się ku zachodowi, ale widoczność

nadal pozostawała bez zarzutu. Dlaczego Halina nie chciała przyznać, że rozmawiała z recepcjonistą? Na razie musiało to pozostać tajemnicą. Dalsze naciskanie na kobietę raczej nic by nie dało, zaparła się i koniec. Nie ma się co zrażać — pomyślała emerytka. Jeśli nie sposób ugryźć tematu z jednej strony, należy się do niego zabrać z drugiej, jednak w pierwszej kolejności trzeba dostarczyć organizmowi odpowiednią dawkę kalorii. Pan Zygmunt nie ucieknie, w przeciwieństwie do jedzenia, które się niebawem skończy. Taką oto logiką kierowała się Henryka.

— Halinko, byłam dziś taka zabiegana, że nawet nie miałam czasu pomyśleć o obiedzie. Jeśli się pospieszę, z pewnością będę na czas w restauracji. Żałuję, że nie możemy się dłużej przejść po ogrodzie, ale chyba rozumiesz, wzywa mnie sprawa najwyższej wagi.

— Heniu, nie będę cię zatrzymywać — lakonicznie odpowiedziała zazwyczaj wylewna Halina.

ROZDZIAŁ 17

Na parkingu obok opla Orłowskiej stał niewielki samochód dostawczy z przyklejoną na masce naklejką paczki przewiązanej szarym sznurkiem, z której wystawały listy, oraz napisem „Usługi kurierskie”. O wóz całym ciężarem wątłego ciała opierał się niewysoki młody mężczyzna. W prawej dłoni trzymał pękatą kopertę formatu A4, a w lewej kubek termiczny, z którego popijał niewielkimi łyżkami parujący napój. Zbliżająca się do wejścia dla personelu Henryka popatrzyła na niego z podziwem. Minus pięć stopni Celsjusza na dworze, śnieg po kostki, a gdzieś tam po kolana, tymczasem chłopak nie miał kurtki, czapki, rękawiczek ani zimowego obuwia. Na jego ubiór (poza niewidoczną gołym okiem bielizną, a należało założyć, że takową posiada, bo w przeciwnym wypadku najpewniej zamarzlby niechybnie jakiś czas temu) składały się jedynie dzinsy, materiałowe trampki, polar wyglądający na cienki i bez podszycia oraz gruby szal robiony na szydełku, który z oczywistych względów nie wpisywał się w konwencję reszty stroju. Grzeje go młodość... — pomyślała starsza pani, wracając pamięcią do okresu, kiedy sama liczyła dwadzieścia wiosen. Sentymentalne rozważania przerwało jej pojawienie się Cezarego ze skórzana teczką na laptop w dłoni. Kurier odkleił się od karoserii i podał znawcy antyków białą kopertę. Ten rzucił na nią okiem, po czym bez ociągania wepchnął do torby.

Henia przyspieszyła kroku. Pomimo że to nieelegancko, planowała podsłuchiwać rozmowę. Żeby nie zwracać na siebie uwagi, podeszła do opla, otworzyła bagażnik i zabrała się za porządkowanie jego wnętrza, jednocześnie bezwstydnie wyciągając ucho w kierunku panów. Ani jeden, ani drugi nie zważał na obecność niepozornej emerytki.

— Gdzie pokwitować odbiór? — zapytał Czarek.

— Pan się podpisze w tym miejscu. — Kurier podał mu długopis, a następnie podsunął dziwne pudełko z całym rzędem małych guziczków oraz dużym ekranem. Spec od dzieł sztuki musiał je widzieć nie po raz pierwszy w życiu, ponieważ od razu wiedział, co należy zrobić. Wykonał zamaszty ruch długopisem, a następnie oddał go mężczyźnie.

— A tutaj zgodnie z umową podziękowanie za dyskrecję. — Wyjął z portfela zielony banknot, a chłopak skwapliwie schował go do przymocowanej na pasku nerki.

Orłowska teraz już nie tylko nasłuchiwała, ale również starała się, nie budząc niczyich podejrzeń, zezować na całą tę scenę. Nagle nieopatrznie postawiła stopę na lodowej bryle, niebezpiecznie zachybotowała się, ale szczęśliwie w ostatniej chwili złapała dłonią za klapę bagażnika. Mężczyźni przerwali rozmowę, patrząc na czynione przez Henrykę wygibasy.

— Dzień dobry — powoli wypowiedział słowa powitania Czarek. — Wszystko w porządku? Może mogę pani jakoś pomóc?

— Dzień dobry — odpowiedziała pospiesznie. — Nie, nie, dziękuję. Poradzę sobie. — Ze wstydu, że została złapana na podsłuchiwanie, mocniej naciągnęła na uszy kapelusik. Żeby ukryć swoje zażenowanie, zaczęła jeszcze energiczniej grzebać w bagażniku. To by było na tyle dyskretnej obserwacji — pomyślała z niesmakiem.

— Następnym razem kiedy będzie dla mnie przesyłka, proszę, podobnie jak to miało miejsce obecnie, uprzedzić telefonicznie — instruuwał przyciszonym głosem Cezary. — Pokryję koszt rozmowy, a i znajdzie się finansowa rekompensata za zadany sobie trud. Będzie pan pamiętał?

— Będę, jasna rzecz. — Kurier poklepał się po saszetce w kształcie nerki.

— W takim razie do zobaczenia.

— Sijalejta — rzucił chłopak łamaną angielszczyzną na pożegnanie.

Cezaremu, który całe życie spędził za granicą i biegle posługiwał się językiem angielskim, drgnęła powieka, ale dobre maniere sprawiły, że przemilczał to. Odmienna była reakcja Henryki. Starsza pani poza kilkoma słówkami po rosyjsku, które pamiętała ze szkoły podstawowej, ni w ząb nie знаła języków obcych, więc znaczenie dziwacznej wypowiedzi było dla niej zagadką. Czyżby to był jakiś szyfr albo hasło? Chciała nawet zapisać treść, ale wcześniej zdążyła zapomnieć, jak brzmiało.

Czarek odszedł tą samą drogą, którą przyszedł. Kiedy zniknął za rogiem budynku, Orłowska natychmiast straciła zainteresowanie bałaganem w bagażniku, z hukiem zatrasnęła klapę i wystrzeliła

niczym z procy do wejścia z tabliczką „Tylko dla upoważnionych”. Chwilę później kuśtykała między stolikami wprost do pojemników z pachnącym jedzeniem. Ledwie ujęła w dłonie duży talerz, a rzucił jej się w oczy piętrowy tort ozdobiony owocami. „Owocowa finezja” — głosił napis na karteczce ustawionej koło ciasta, ku nieopisanej radości rozpromienionej starszej pani.

Wśród ulubionych wyrobów cukierniczych Henryki to właśnie torty od lat zajmowały pierwsze i niczym niezagrożone miejsce. Najbardziej smakowały jej takie, które robiło się dawno temu na wesela, z ciężkimi tłustymi kremami, dodatkową porcją masła i mokrym biszkoptem mocno nasączonym spirytusem. W zaistniałej sytuacji jako absurdalną odrzuciła myśl o zapychaniu się obiadem i od razu przeszła do deseru. Z błyszczącymi oczyma zabrała się za odkrawanie kawałka, który spełniałby dwa warunki: nie byłby ani za duży, ani za mały, a na jego wierzchu jednocześnie ułożono plasterki kiwi, ananasa, a także wisienkę. Pochylona nad ciastem, zamarła nagle z nożem zawieszonym w powietrzu. Przyczyną takiego zachowania był Cezary, który właśnie wchodził do restauracji. Mężczyzna wybrał dłuższą drogę do głównego wejścia, dlatego emerytce udało się go znacząco wyprzedzić.

Do stolika z deserami ustawionego nieopodal tortu zmierzała z drugiego końca sali Liliana. Małżonkowie spotkali się przy misie z sałatką owocową.

— Jestem — powiedział mężczyzna, witając się z Lili pocałunkiem w policzek.

— Czekałam na ciebie z lunchem, ale długo nie przychodziłeś, więc w końcu poszłam sama — wyjaśniła żona, nakładając sobie niewielką łyżkę łakoci w wersji fit.

— Przepraszam cię, zeszło mi dłużej, niż przypuszczałem.

— Biegałeś tyle czasu?

— Prawie. Po joggingu wróciłem do pokoju, nie zastałem cię i domyśliłem się, że będziesz tutaj.

Wziąłem prysznic i przyszedłem.

— A po co ci laptop?

— Laptop? — Zerknął na trzymaną w dłoni torbę, tak jakby dopiero w tym momencie uzmysłowił sobie, że zabrał ją ze sobą. — Muszę wysłać kilka maili. Od razu po posiłku się tym zajmę. Jest coś wartego uwagi?

— Sałatka z krewetkami, całkiem znośna. Według mnie krewetki są lekko gumowate, ale reszta smaczna.

— Niespecjalnie mam ochotę na chłodny obiad. Na zewnątrz jest taki ziąb, że wolałbym coś rozgrzewającego.

— W takim razie polecam ci krem z pomidorów z gorgonzolą doprawiony szczyptą startego imbiru.

— Ze świeżych pomidorów?

— Gdyby był zrobiony z pomidorów z puszki, nie proponowałabym ci go.

— Faktycznie, mój błąd, kochanie, niepotrzebnie pytałem.

Henryka usłyszała dość. Dyskretnie, na paluszkach, wycofała się ze swoją bombą kaloryczną na talerzyku. Po zrobieniu kawy ochoczo rozpoczęła konsumpcję. Zanim udało jej się przebić widelczykiem do drugiej warstwy biszkoptu, do stolika podeszła Zofia.

— Czy mogę się przysiąść? — zapytała.

— Siadaj, moja droga. Tylko koniecznie ukrój sobie tortu, a do tego bezwzględnie kawka. Odwieczny duet, ciasto z kawą, zawsze chodzą w parze. Inaczej traci się połowę przyjemności.

— Dziękuję, jadłam wcześniej, ale chętnie wypiję latte. — Zamachała ręką na Mateusza, który w okamgnieniu doskoczył do szefowej.

— W czym mogę pomóc? — zapytał.

— Proszę, przynieś mi latte, a może też coś dla pani? — zwróciła się do emerytki.

— Kawę, czarną i mocną.

Zosia ze zdziwieniem utkwiała wzrok w stojącej przed Henryką, wypełnionej po brzeg filizance kawy. Twarz starszej pani pokraśniała. Orłowska zaczęła dłużyć widelczykiem w plasterku kiwi, przyglądając mu się uważnie, jak gdyby nigdy wcześniej nie widziała takiego owocu.

— Słyszałeś, co dla pani — powiedziała do kelnera właścicielka, powstrzymując się od zbędnych

dociekań.

— Zaraz przyniosę — odrzekł.

Henryka spróbowała ciasta i była wprost oczarowana smakiem.

— Coś niewyobrażalnego! Pani Czesława przeszła samą siebie!

— Tak, jest doskonałą kucharką.

— Z jakiej okazji go zrobiła? Mieszkam tu od kilku dni, ale po raz pierwszy widzę tort. Ktoś ma urodziny? A może jubileusz?

— Nie ma żadnej okazji. Pani Czesia piecze torty co jakiś czas dla urozmaicenia. Po prostu chce, żeby goście mieli odmianę. Tyle że potrzebuje do tego specjalnego rodzaju sera. Kiedyś mówiła, że trudno go zdobyć. Potem ten ser ileś tam musi odleżeć, zanim będzie się nadawał na krem. Dokładnie nie wiem, tłumaczyła mi, ale nie zapamiętałam. Gotowanie nie jest moją mocną stroną.

— Kawa dla pań. — Mateusz przerwał toczącą się rozmowę. Wprawnymi ruchami rozłożył na stoliku filiżanki, cukiernicę i łyżeczki.

— Dziękujemy — odpowiedziały jednocześnie obie.

— Czy potrzeba czegoś jeszcze?

— Nie, to wszystko.

Zanim się oddalił, popatrzył wymownie na szefową. Kobieta odpowiedziała mu prawie niezauważalnym kiwnięciem głową.

— Moja droga, powiedz, proszę, o co chodzi, bo na pewno o coś musi — przemówiła Henryka.

— Widzę, że domyśliła się pani, że nie przyszłam na zwykłe pogaduszki. — Zosia zaczerwieniła się z zawstydzenia, co nie przytrafiało jej się zbyt często.

— Dziecko kochane, nie od wczoraj żyję na tym świecie. — Emerytka poklepała Bobrownik po dłoni. — Mów, nie wahaj się.

— Doszły mnie słuchy, że wybierała się pani dzisiaj na komisariat.

— Więcej, nie tylko wybierałam się, ale nawet dojechałam na miejsce. A od kogo doszły cię te słuchy?

— Mateusz przechodził przez foyer, kiedy pytała pani w recepcji, czy droga jest przejezdna — przyznała bez ogródek.

— Nic się tu nie ukryje. — Henryka była mocno rozbawiona. — I pewnie niepokoić się z Mateuszem, czy zdradziłam coś mundurowym w temacie bimbru?

Bobrownik, teraz czerwona nie tylko na twarzy, ale również na szyi oraz dekolcie, sprawdziła, czy ktoś nie przechodzi za ich plecami.

— Moje dziecko, możesz być spokojna, nikogo nie ma obok nas. Mój stolik jest oddalony od pozostałych gości.

— Aha. — Zofii ulżyło. — Więc ta policja... — Zawiesiła głos, szukając właściwych słów.

— Nie pojechałam tam w sprawie alkoholu.

— Kamień z serca. Sama się zgłoszę, żeby wszystko wyznać. — Uderzyła się dłonią w pierś dla potwierdzenia mocnego postanowienia, którego zamierzała dotrzymać.

— Na twoim miejscu wstrzymałabym się kilka dni. Najpierw niech się wyjaśni sprawa śmierci Róży. Myślę, że to nie potrwa długo.

— O, a to ciekawe. Mundurowi mają trop? Wiedzą, kto jest winien?

— Tropów pewnie mają aż nadto, a czy wiedzą, kto zabił, tego mi pan kapitan nie powiedział. Musimy się uzbroić w cierpliwość i pozwolić funkcjonariuszom wykonywać swoją pracę. — Orłowska niczego nie zdradziła. — Skoro mowa o pracy, powiedz mi, moje dziecko, czy wiesz, co robiła kucharka między szóstą czterdzieści a siódmą w dzień zabójstwa Róży?

— Sadzę, że przygotowywała śniadanie.

— Ale nie jesteś pewna?

— Nie, nie jestem. Jedynie się domyślam.

— A może gdzieś wyszła?

— Naprawdę nie wiem. Korzystałam z głównych drzwi, więc nie przechodziłam koło kuchni.

Zjawiłam się tam dopiero po siódmej po kawę i kanapki dla kapitana oraz jego podwładnych. Pani Czesia stała wtedy przy garnku i mieszała owsiankę. Czemu pani pyta? — zainteresowała się właścicielka pensjonatu.

— A tak, z ciekawości — odpowiedziała Orłowska.

W tym momencie wejściem dla personelu wprost do jadalni z wielką energią wypadła pani Czesława. W przekrzywionym czepku i przepasana w pasie fartuchem doskoczyła do tortu. Spojrzała na niego z kwaśną miną, wytarła czyste dłonie w równie czysty fartuch i chwyciła za nóż.

— A czemu państwo tak niewiele zjedli? Nie smakuje? — dociekała. — Proszę się częstować. Pierwszorzędny wypiek. Sama własnymi rękoma dziś go przyrządziłam. Komu ukroić? O, pan na pewno się skusi. — Wycelowała ostrze w Cezarego.

— Dziękuję, może później — nierozważnie odmówił.

— Później? Żadne tam później. Od razu dam. Później pan jeszcze zapomni albo zabraknie miejsca w żołądku.

— Doceniam propozycję, ale naprawdę dziękuję — próbował się opierać.

— Podziękuj pan, kiedy zje. I małżonce też ukroję za jednym zamachem. Te swoje sporty uprawiacie, więc nie ma się co obawiać, że nadprogramowa dokładka pójdzie w biodra. — Tak mówiąc, kończyła nakładać dwie wielkie porcje na talerzyki. Zanim Liliana miała szansę zaprotestować, pani Czesia postawiła ciasto na stoliku przed zaskoczonymi gośćmi. — Jedzcie, jedzcie. Nikomu nie będę żałować. Nawet państwo nie wiecie, jak trudno dziś o dobre produkty, a bez tego ani rusz. Jajka do biszkoptu nie mogą być za małe, bo zaburzą się proporcje. Z kolei krem, jak to krem, musi być aksamitny. Żeby był gładki, ser nie może być grudkowaty, a masło za twarde albo takie, co to tłuszcz widziało tylko przez okno. I Boże uchwaj, żeby dodawać margaryny!

— Dziękujemy — bąknęła w imieniu męża i swoim Lilka.

— O, jeszcze panie! — tym razem zwróciła się do Henryki i Zofii.

— Już jadłam — błyskawicznie rzuciła właścicielka.

— No wie szefowa! A gdzie przykład dla gości? Trzeba jeść, pokazać, że smaczne, wtedy inni też się skuszą. Takie luksusy mają pójść na zmarnowanie? — Kucharka ukroiła dwa kolejne kawałki, które podała Bobrownik i Orłowskiej. — Mateusz, nie stój tak. Raz, raz, podaj państwu widelczyki. A po zmianie zajrzyj do mnie, tobie też należy się przydział — zarządziła i zniknęła równie szybko, jak się pojawiła.

— Czy ja bym mogła zabrać swoją porcję do pokoju? — zapytała starsza pani. — Teraz nie dam rady zjeść, jestem pełna, a później miałabym do wieczornej kawki.

— Jak najbardziej. Słyszała pani kucharkę, szkoda by było, żeby tyle dobrego się zmarnowało.

— Cudownie!

— Jeśli chce pani wiedzieć, co pani Czesia robiła rano feralnego dnia, mogę ją o to zapytać — zaofiarowała się właścicielka pensjonatu. Nagle przypomniała sobie władczy ton kucharki, który uaktywniał się, gdy chodziło o przyrządzane przez nią potrawy. Dla odświeżenia pamięci reprezentatywną próbkę Bobrownik zobaczyła dosłownie przed momentem. — Albo lepiej! Niech sama pani zapyta. Jeszcze bym coś pomieszała... — próbowała się wycofać z pochopnie poczynionej propozycji.

— Tak, można zapytać. Wezmę to pod uwagę. — Orłowska była już nieobecna duchem.

Zofia zostawiła pogrążoną w rozmyślaniach starszą panią i zajęła się swoimi obowiązkami. Henryka dopiła kawę i spojrzała łapczywym wzrokiem na torbę na laptopa stojącą u nóg krzesła znawcy antyków. Ciekawe, czy odniósł kopertę do pokoju oraz najważniejsze — co w niej jest? Kobieta wydedukowała, że gdyby nie skrywała czegoś tajemniczego, wtedy mężczyzna nie robiłby całej tej szopki z kurierem czy ukrywaniem się na tyłach pensjonatu.

— A to co??? W mojej zupie pływa włos! — podniósł głos Cezary, unosząc na widelcu wyłowiony dowód.

— Coś okropnego. — Liliana była zniesmaczona.

— Kelner! Kelner!

— O co chodzi? — Mateusz niespiesznie zbliżył się do stolika arystokratów. Ani myślał ukrywać swoją irytację, że ktoś ośmiela się mu przeszkadzać w uzupełnianiu buteleczek z sosem sojowym. Zgodnie z zasadami goście kilka minut wcześniej powinni byli opuścić restaurację, tymczasem nie dość, że ociągali się z wyjściem, to jeszcze przerywali mu pracę. — Czegoś potrzeba? — warknął.

— Tak, wyższej higieny przygotowania potraw. — Niegrzeczny ton młodzieńca sprawił, że zazwyczaj spokojnemu Cezaremu puściły nerwy. — Znalazłem w zupie włos!

— Niemożliwe. — Mateusz za dobrze znał panią Czesię, nie było mowy, żeby dopuściła się takiego zaniedbania. — Proszę mi pokazać. — Chłopak nie zamierzał wierzyć bezpodstawnym oskarżeniom.

— Proszę bardzo. — Kobieta uczyniła zadość jego prośbie.

— Faktycznie jakby włos... Siwy. Długi — wyliczał zdziwionym głosem. — Zawołam kucharkę.

— A niech pan woła, kogo chce, choćby samego prezydenta — powiedział wytrącony z równowagi Cezary.

— Kochanie, spokojnie. — Żona dotknęła jego dłoni.

Po chwili koło stolika, gdzie odbywało się przedstawienie, stanęli Mateusz i bardzo zdziwiona pani Czesława, która wytarłszy dłonie w przyniesioną z kuchni ścierkę do naczyń, zapytała ostro:

— Cóż to za sprawa z tym włosom?

— W zupie był włos — powtórzył trzeci raz Czarek, jednak zrobił to już spokojniej. Brak dbałości o precyzyjne schowanie włosów pod czepkiem bądź ochronną siatką jeszcze nie był powodem, by nie okazać szacunku kobiecie, w dodatku starszej.

— Brednie. Pan pokaże. — Pani Czesia bacznie przyjrzała się znaleźskowi. Ujęła je w palce i podsunęła pod twarz najpierw Cezaremu, a następnie jego małżonce. — Przecież to żaden włos! Ludzie kochani, od razu widać, że z gotowaniem nie macie wiele do czynienia — zaśmiała się.

— Zatem jeśli się mylimy, czym TO jest według pani? — rzeczowo zapytał mężczyzna.

— Właśnie, czym? — zawtórowała mu żona.

— Ten wasz włos nie jest żadnym włosom, ale włóknem z pora. Trochę źle się zblendowało. — Kucharka rozejrzała się po sali. — Pani podejdzie — zwróciła się do Orłowskiej, która nie uroniła ani słowa z dyskusji.

Emerytka długo nie kazała na siebie czekać.

— Słucham, czy mogę być jakoś pomocna?

— Może pani. Pojawił się zarzut, skądinąd niesłuszny, że w MOIM kremie z pomidorów był włos — wyjaśniła Czesława. — Obejrzałam go sobie dobrze i stwierdzam, że zgubił go nie człowiek, ale por. — Rozbawił ją własny dowcip. — Jako doświadczona kucharka, bo domyślałam się, że wyklepała pani niejednego schabowego i ugotowała wiele garnków rosółu, proszę się opowiedzieć po którejś ze stron. Kto ma rację, ja czy oni? — Podąła emerytce do ręki widelczyk z dyndającą kością niezgody.

Orłowska poważnie potraktowała wyznaczoną jej funkcję sędziego. Wyjęła okulary z kieszeni kamizelki, wytarła je w bawełnianą bluzkę, a następnie założyła na nos. Dopiero tak przygotowana zabrała się do oględzin.

— Stwierdzam, że bez wątplenia mamy do czynienia z włóknem pora.

Na chwilę zapadła cisza.

— W takim razie należą się pani przeprosiny — zwrócił się do kucharki Cezary.

— Pan nie żartuje, wielkie mi mecyje. Pomyłka, ot tyle. — Pani Czesia nie chowała urazy.

— Jednak mimo wszystko straciłem apetyt. Lubię, kiedy w zupie-kremie nie ma pływających dodatków — wyznał bez skrępowania, nadal wzburzony. — Nie będę już dziś jej jadł.

Mniej więcej w tym samym czasie pan Ryszard, świadom, że posiłek w sali restauracyjnej dobiegł końca, pędził co sił w nogach z nadzieją, że jakimś cudem uda mu się jeszcze załapać na tort. Kawałki ciasta, które zabrali z Halinką do pokoju, zniknęły szybciej, niż przewidywali, przebudzony bowiem z drzemki mężczyzna nagle i niespodziewanie poczuł nieodpartą chęć spożycia czegoś słodkiego. Bezrefleksyjnie spałaszował swoją porcję, a następnie zabrał się za część przeznaczoną dla

nieobecnej małżonki. Ocierając usta papierową serwetką, stomatolog rozmyślał nad swoim niecnym postępkami. Nie mógł przeboleć, że pozbawił ukochaną przyjemności, dlatego chwycił w dłonie talerzyki z okruszkami i pocwałował do restauracji. Zbiegowisko ustawione wokół stolika arystokraty nie wzbudziło jego zainteresowania. Po przekroczeniu progu widział już tylko stojący tam, gdzie poprzednio, tort. Uff, jest! — pomyślał z ulgą, radością oraz narastającym apetytem.

Siedzący tyłem do drzwi Cezary nie miał szansy zobaczyć zmierzającego w jego kierunku dentysty. Ryszard na widok kilku warstw gładkiego kremu nałożonego na biszkopt zapomniał o bożym świecie. Również nikt z obecnych nie przewidział zajścia, które nastąpiło sekundę później. Dostojny znawca dzieł sztuki nieoczekiwanie uniósł się z krzesła, trzymając w dłoni talerz z zupą, i z całej siły uderzył lewym bokiem w brzuch Rysia, gnającego do stolika z deserami.

— Proszę uważ... — tylko tyle zdążył krzyknąć Mateusz, zanim krem z pomidorów wylądował na ubraniu Ryszarda.

— Ojej! — jęknął dentysta, który nie tylko poczuł ból, ale również zyskał nową ozdobę w postaci czerwonej papki na śnieżnobiałym swetrze.

— Matko! — Kucharka złapała się za głowę. — Taki piękny sweter! Masz ci los, cały zapaprany.

— Nikomu nic się nie stało? — zapytała Liliana.

— Ze mną wszystko w porządku — zapewnił Rysio, przyglądając się brei skapującej z niego wprost na wykładzinę.

— Przepraszam, nie widziałem pana! — Cezary masował bark.

— Proszę się nie przejmować, to był wypadek. Zdarza się — powiedział wyrozumiale rudy stomatolog i tylko kątem oka zerknął ze smutkiem na ząb wyhaftowany złotą nitką nad kieszonką, którego kolor obecnie daleki był od złotego. — Pójdę się przebrać, a po tort wrócę później. Będzie jeszcze? — zapytał błagalnie.

— Osobiście panu zapakuję, a Mateusz zanieś do pokoju — gorliwie zapewniła Czesława.

Zbiorowisko szybko się rozeszło. Henryka wróciła do stolika po rzeczy: płaszcz, kapelusz, szal i talerzyk z owocową finezją. Ku swojemu niezadowoleniu zabrakło jej rąk, bo przecież jeszcze musiała się podpierać kijkiem. Dlatego uznała, chociaż nie planowała wychodzić na dwór, że najwygodniej będzie założyć odzienie wierzchnie, rozwiązując tym sposobem problem brakującej ręki. Nie ma jednak tego złego, co by nie wyszło na dobre — pomyślała chwilę później, kończąc się ubierać, a to za sprawą przypadkowo zasłyszanej rozmowy.

— Lili, dosyć tego. Przenosimy się do hotelu na górce — zarządził Cezary.

— Tak nagle? Może poczekajmy kilka dni — zasugerowała kobieta.

— Kochanie, na co mamy czekać? Tam będziemy mieli lepsze warunki. Więcej oczekiwałem po Yorkshire.

— Dlaczego akurat teraz? Przez wylaną zupę? — chciała wiedzieć.

— Lili, nie żartuj. To było tylko niefortunne zdarzenie. Źle zblendowane włókno pora przelało czarę. I generalnie przez całokształt. Przeciągi, nieodśnieżone ścieżki, zarwane łóżko, hałas. Sama narzekałaś na jedzenie.

— Prawda, narzekałam. Tylko widzisz, na jutro zaplanowano wycieczkę. Zapowiada się ciekawie.

— Dajmy spokój z wycieczką. Wydawało się, że biesiada z kuligiem nam się spodoba, a pamiętasz, jak było.

— Może faktycznie masz rację... — Zamyśliła się. — Dobrze, jeśli ci na tym zależy, możemy się przenieść.

— Porozmawiam z właścicielką. Skoro nie zostajemy, powinni nam zwrócić pieniądze. Od razu potem zajmę się rezerwacją hotelu.

— W takim razie ja pójdę do pokoju, żeby powoli zacząć nas pakować — zaofiarowała się żona.

Dopiero kiedy para zniknęła w korytarzu prowadzącym do foyer, Orłowska wychyliła się zza słupa, za którym stała w absolutnej ciszy i w pełnym rynsztunku z porcją deseru na wieczór.

ROZDZIAŁ 18

Wpatrzona w tort Henryka zbliżała się do recepcji. Kiwi, ananas, brakowało tylko wisienki, ale nic to, nie zamierzała wybrzydzać. Po kolacji trzeba tylko zorganizować wieczorną kawę i można będzie po królewsku zasiąść z książką w ciepłym świetle stojącej lampy. Na tę myśl na jej twarzy zagościł błogi uśmiech.

— Kiedy wróci? — Pytanie zadane recepcjoniście przez Cezarego doszło uszu starszej pani.

— Właścicielka pensjonatu powinna zjawić się w ciągu piętnastu, maksymalnie dwudziestu minut. Czy zechce pan poczekać? — Pan Zygmunt był jak zawsze profesjonalny.

— W takim razie nie pozostaje mi nic innego — westchnął w odpowiedzi, odwracając się w stronę kanap ustawionych w foyer.

Henryka podeszła do schodów, włożyła pod pachę kijek i złapała się poręczy. Wspięła się na dwa pierwsze stopnie. Miała wielką ochotę wygodnie wyciągnąć się na łóżku z nogą uniesioną do góry, żeby odpocząć chociaż pół godzinki, miętosząc przy tym mięciutkie futerko Cziza, jednak poczucie obowiązku nie pozwalało jej na zbijanie bąków. Zerknęła przez ramię za siebie. Znawca antyków powoli rozkładał na stoliku rzeczy: niewielkiego laptopa oraz notatnik z długopisem. Torba, z której wyjął komputer, stała otwarta i kusząco wystawał z niej róg koperty — wysoce prawdopodobne, że TEJ koperty. Kobieta raz jeszcze zerknęła tęsknie w górę, gdzie w pokoju czekała na nią wykrochmalona pościel ułożona na materacu o idealnym stopniu twardości. Niechętnie puściła poręcz i zawróciła. Nie zważając na zmęczenie długim dreptaniem z uszkodzoną kostką, doczłapała do sof.

— Można? — zapytała, wskazując na siedzisko.

— Proszę bardzo, zapraszam. — Cezary wstał, żeby pomóc jej zdjąć płaszcz, po czym wrócił do swoich spraw.

Orłowska wybrała miejsce najbliżej mężczyzny, skąd miała doskonały widok na obiekt zainteresowania, czyli kopertę. Ponieważ dziwnie byłoby tak siedzieć beczynnie, zanurkowała dłonią w służącej jej od lat wypchanej skórzanej torebce z długim paskiem na ramię, poszukując jakiegoś zajęcia. Wyczuła śliską kartkę. Doskonale, będą czytać — ucieszyła się, wyciągając znalezisko, które schowała jednak równie szybko, jak wyjęła. Na pierwszej stronie wyszperanej broszurki informacyjnej naniesiony wielkimi czerwony literami napis informował: *Wszystko, co chcielibyście wiedzieć o problemach z prostatą — pelen komplet odpowiedzi!* Choć na pewno temat istotny, jednak nie zajmował on jakoś szczególnie Henryki. Skąd ulotka znalazła się w jej posiadaniu? Nie wiedziała, a nawet nie chciała wiedzieć. Pozornie zajęta ponownym losowaniem, w rzeczywistości zezwalała na rzeczy siedzącego obok Cezarego, który chyba telepatycznie wyczuł wzrok starszej pani zawieszony na jego własności. Orłowska uniosła głowę, ich spojrzenia spotkały się, trzeba było zgrabnie wybrnąć z popelnionego *faux pas*.

— Czy słyszał pan o wycieczce organizowanej jutro przez pensjonat? — zareagowała błyskawicznie.

— Jak sądzę, chodzi pani o wycieczkę śladami okolicznej przyrody oraz ruin zamków i strażnic pozostałych po czasach średniowiecza, czy tak?

— Jeśli ma się ona odbyć jutro i została zaplanowana dla gości Yorkshire, to właśnie o nią chodzi. Niestety nie było mi dane poznać żadnych szczegółów. Może panu wiadomo coś więcej?

— Najpewniej nie otrzymała pani informacji. Kartkę z agendą wsunięto nam dziś rano pod drzwi, analogicznie jak miało to miejsce w przypadku biesiady. Oni mają chyba taki specyficzny sposób zapraszania na wydarzenia. Zaraz zapytam w recepcji, czy nie została dodatkowa kopia. — A że nie zwykł rzucać słów na wiatr, tak też zrobił.

Jak przystało na mężczyznę, który należycie dba o tężyznę fizyczną, skoczył na równe nogi i nim Henryka się zorientowała, już stał przy kontuarze, rozmawiając z panem Zygmuntem. Wiele nie myśląc, Orłowska schyliła się i mocniej rozwarła dłonią otwartą kieszeń torby mężczyzny. Miała nadzieję dowiedzieć się czegoś o tajemniczej kopercie. Niestety, jak zawsze akuratywny recepcjonista od razu wyjął z szuflady oczekiwany papier, po czym wręczył go Cezaremu. Widząc to, starsza pani cofnęła rękę,

wkładając ją dla niepoznaki do kieszeni kamizelki. Przez tę krótką chwilę udało jej się jednak zobaczyć, że *primo*: koperta była rozerwana, *secundo*: nadawcą przesyłki było wydawnictwo. Czuła niedosyt. Gdyby miała chociaż trzy minuty, trzy krótkie minutki, ledwie sto osiemdziesiąt sekund...

— Proszę bardzo. — Cezary wręczył emerytce rozpiskę nadrukowaną na białej kartce.

— Och, dziękuję! Jaki pan miły! — rozpływała się nad jego uczynnością. — Kto drugi tak bezinteresownie rzuciłby wszystko, chcąc wyświadczyć przysługę niedołężnej staruszce. — Plan dobrania się do torby arystokraty błyskawicznie wyklarował się w jej głowie, teraz szykowała pod niego grunt.

Czarek z niezrozumieniem spojrział na siedzącą obok niego Orłowską. Energiczna Henryka niewątpliwie nie przypominała niedołężnej staruszki.

— Wszystko może sobie pani tutaj przeczytać — podpowiedział, pomijając milczeniem odniesienie się do jej wieku czy stanu zdrowia.

Orłowska udała zainteresowanie treścią kartki, w istocie nie poświęcając jej ani trochę swojej uwagi, podczas gdy Cezarego na powrót pochłonęło klikanie w klawiaturę.

— Drogi panie... — zaczęła nieśmiało.

— Tak? — zapytał, przenosząc wzrok z monitora na siedzącą obok Henię. Pomimo że kobieta znów odrywała go od zajęcia, nawet nie drgnęła mu powieka.

— Czy mogłabym mieć wielką prośbę?

— Słucham. — W jego głosie nie dało się wyczuć ani odrobiny zniecierpliwienia.

Emerytka popatrzyła na Czarka z podziwem.

— Zaszło mi w gardle, w moim wieku to normalne. Zauważyłam, że pan jest taki pomocny, młody, energiczny...

— Przynieść pani coś do picia? — Wychwalanie wydawało się nie robić na nim wrażenia. Cezary nie należał do osób, które łatwo było zwieść pięknymi słówkami.

— Ależ pan domyślny!

— Zaraz przyniosę pani szklankę wody.

— Gdyby...

— Tak? — zapytał, wstając.

— Gdyby zamiast wody dało się filiżankę kawy... Kucharka albo ten młody kelner będą wiedzieli, jaką lubię. — Starsza pani spojrzała mu w oczy przepraszająco. W ten przebiegły sposób wydłużyła czas jego nieobecności. Zawsze jeszcze co prawda istniało ryzyko, że Cezary poprosi o zorganizowanie napoju pana Zygmunta, ale mimo wszystko warto spróbować.

— Proszę bardzo. Za chwilę wracam. — Arystokrata zachował pełną godności, uprzejmą postawę.

— Dusza, nie człowiek! Żona musi mieć z pana pociechę.

Orłowska czekała niczym w boksie startowym, wypatrując, kiedy męczyzna zniknie w korytarzu prowadzącym do restauracji. Jednym rzutem oka upewniła się, że recepcjonista jej nie obserwuje, i zabrała się do działania. Mocno uchylła kieszeń torby i przyjrzała się nadawcy: Wydawnictwo Rysik. Nic zajmującego. Przy odbiorcy zrobiło się ciekawiej — ponownie Półkownik Alojzy. Teraz starsza pani poczuła się naprawdę zaintrygowana. Widziała analogiczny zapis wcześniej na poczcie. Czyżby to był pseudonim? Za mało danych, zdecydowanie za mało danych! A gdyby...? Nie, przecież tak nie można! Zbyt długo biła się z myślami. Zasady wpajane przez rodziców oraz osobiście uważane przez nią za właściwe nie pozwoliły Henryce na wyjęcie z koperty jej zawartości. Trudno, najwyżej nie będę wiedziała, o co chodzi — zdecydowała z żalem.

— Kawa dla pani. — Nagle usłyszała nad sobą głos Cezarego. — A co pani robi, jeśli mogę zapytać?

Zajęta dylematem natury moralnej Orłowska, której znaczna część nadal znajdowała się pod stolikiem z twarzą na kilka centymetrów od koperty, o mało nie dostała zawału. Unosząc się w popłochu, uderzyła potylicą o szklany blat, a wystawioną nogą kopnęła torbę. Jej zawartość rozsypała się po podłodze.

— O matko, przepraszam!

— Wszystko w porządku? — zatroskał się spec od dzieł sztuki.

— Bardzo pana przepraszam, ja niechący... — wydukała, masując obolałe miejsce na czaszce. Po chwili, chcąc naprawić wyrządzoną szkodę, zaczęła nagarniać ku sobie przedmioty, które wypadły z torby Cezarego.

— Proszę się nie fatygować — zaprotestował właściciel owych rzeczy, również zabierając się za ich podnoszenie.

Henryka z Cezarym zaczęli się przepychać, nerwowo miotać w bezpośredniej okolicy kanap oraz foteli, wrywać sobie z rąk zbierane z podłogi drobiazgi. Na szczęście torba na laptopa klasycznego rozmiaru to nie importowany z Chin kontener szpilek, dlatego raz-dwa uwinęli się z zadaniem.

— Wszystko — powiedział z ulgą arystokrata, odstawiając swoją własność koło nogi stolika.

Zdyszana bardziej z emocji niż realnego zmęczenia starsza pani ciężko opadła na siedzenie i wzięła solidny łyk kawy.

— Ja muszę się wytłumaczyć, szanowny panie.

— Wytłumaczyć? — Czarek uniósł brew.

— Popeliłam gafę i chcę temu odważnie stawić czoła. Przyznam się, spoglądałam do wnętrza pańskiej teczki. Widzi pan, od lat zbieram znaczki — zaczęła zgodnie z prawdą, mijając się z nią dopiero w kolejnym zdaniu — i przypadkiem rzucił mi się w oczy znaczek na pańskiej kopercie.

Czarek schylił się, żeby wyjąć z torby tak upragniony przez emerytkę list.

— Na tej kopercie? — zapytał ze zdziwieniem.

— Dokładnie tak. Jaki on jest piękny! — Co prawda Henia wcześniej nie widziała rzeczonoego znaczka, ale ponieważ piękno jest kwestią gustu, więc nie było się czym niepokoić, tak przynajmniej sądziła, aż do czasu kiedy Półkownik Alojzy przemówił.

— Ale tu nie ma żadnego znaczka. To jest przesyłka kurierska — stwierdził stanowczo.

— Nie ma? Jak to nie ma? Więc co ja zobaczyłam? — Henryka zbladła.

Mężczyzna z uwagą przyjrzał się obu stronom koperty.

— Może to... — Niepewnie pokazał na mało ciekawą naklejkę z oznaczeniem nazwy firmy, która od biedy przez osobę z poważną wadą wzroku i to raczej w półmroku niż pełnym oświetleniu mogła zostać uznana za znaczek.

— Ale wstyd! — jęknęła Orłowska i zarumieniła się od czubka głowy aż po nasadę szyi.

— Mam propozycję. Udamy, że w ogóle nie było tematu. — Czarkowi zrobiło się szkoda starszej pani.

— Taki pan wyrozumiąły...

W tym momencie nadeszło wybawienie. Do rozmawiającej pary osób podeszła właścicielka pensjonatu.

— Witam państwa. Podobno pan mnie oczekuje.

— Jak najbardziej. — Znawca dzieł sztuki z przyzwyczajenia wyciągnął rękę na powitanie, a z trzymanej w dłoni koperty przez nieuwagę wyslizgnął mu się na podłogę plik kartek.

— Masz ci los, jak pech, to pech — stwierdziła Henryka, która mimo że najstarsza z obecnych, jako pierwsza doskoczyła do rozrzuconych papierzyk i zebrała je wszystkie z prędkością światła. Następnie z namaszczeniem ułożyła równiutko jedną kartkę na drugiej i dzięki temu zyskała czas potrzebny do pobieżnego zapoznania się z ich treścią.

— Dziękuję. — Cezary delikatnie wyjął plik z dłoni Orłowskiej. — Chciałem z panią porozmawiać na temat przeniesienia się do hotelu — zwrócił się do Bobrownik.

— Zapraszam do gabinetu, będziemy mogli wygodnie usiąść, żeby na spokojnie omówić kwestię — zaproponowała Zofia.

Cezary zabrał swoje rzeczy, uprzejmie pożegnał się z Henią i odszedł w towarzystwie właścicielki Yorkshire. Orłowska na powrót opadła na siedzenie. Popijając kawę, zastanawiała się, co ma myśleć o podpatrzonym liście, z którego w pamięci wyryły jej się dwa pierwsze zdania:

Szanowny Panie Półkowniku Alojzy,

z przyjemnością chcielibyśmy zawiadomić, że wydawnictwo Rysik podjęło decyzję o wydaniu Pańskich komiksów. Treść umowy przesyłamy w załączeniu.

Dziwna sprawa — pomyślała emerytka, byle jak wpychając do kieszeni wydruk z informacją o wycieczce. Nie bez przyczyny właśnie w tym momencie wspomniała niedawne słowa Liliany, że każdą rzecz można sprawdzić w internecie. Tylko skąd tutaj wziąć sieć? Henryka pomyślała o swoim Watsonie. No jasne, Arletta pomoże! Podeszła do kontuaru.

— Drogi panie, miałabym słówko do tej miłej Arletki, waszej pokojówki. Może pan ją poprosić?

— Niestety, z przykrością zawiadamiam, że w dniu dzisiejszym nie będzie to możliwe.

— Ojej... wielka szkoda. No tak — uderzyła się ręką w czoło — gdzie ja mam głowę, pewnie jeszcze nie wróciła z pogrzebu.

Mężczyzna przez chwilę milczał. Henryka przyjrzała się z zaciekawieniem jego twarzy, która na wspomnienie dziewczyny nagle i zupełnie niespodziewanie niebezpiecznie zaczerwieniła się, nasuwając kobiecie myśli o potencjalnym wylewie. Zygmunt w tym czasie rozważał, czy w zaistniałej sytuacji powinien postawić na dyskrecję, czy może raczej uchylić rąbka tajemnicy. Podjęcie decyzji nie trwało długo, ponieważ już po chwili otworzył usta, żeby wzburzonym tonem, bez krępacji, wyrzucić z siebie:

— Szanowna pani, jest dokładnie tak, jak pani mówi. Nie wróciła. Po raz kolejny potwierdzają się moje przemyślenia na temat Arletty. Zupełny brak szacunku do pracy, a także współpracowników. Miało jej nie być jedynie wczoraj, tymczasem dziś z samego rana zadzwoniła, że potrzebuje kolejnego dnia wolnego. Żeby tak w ostatniej chwili! Jak można?! — Wściekał się.

— Z pewnością musiało jej wyskoczyć coś ważnego.

— Nie wyobrażam sobie, co byłoby na tyle ważne, żebym w związku z tym zaniedbał obowiązki zawodowe. W mojej opinii należy poważnie podchodzić do powierzonych nam zadań. Każdego dnia pracujemy na dobre imię Yorkshire. Istotne jest, aby dbać o renomę tego miejsca, a nieprzewidziane nieobecności, o których jesteście informowani bez wyprzedzenia, znacząco zaburzają funkcjonowanie pensjonatu.

Zapewne ten bardziej niż sumienny recepcjonista długo jeszcze mógłby omawiać ów ważki temat, jakim w jego oczach jawił się właściwy stosunek zatrudnionych do wykonywanej przez nich pracy, ale Henia miała ważniejsze rzeczy na głowie niż słuchanie przydługiego wykładu.

— Tak, tak, z pewnością jest coś w tym, o czym pan mówi — rzuciła, szybko przechodząc do meritum. — Skoro nie ma Arletki, może pan będzie mi w stanie pomóc?

— Jeśli tylko potrafię.

— Gdzie macie państwo komputer z internetem dla gości? Potrzebuję z niego pilnie skorzystać.

— Komputer z internetem dla gości? My mielibyśmy mieć? Pierwsze słyszę.

— Jak to? Nie macie takiej usługi? Myślałam, że teraz to jest dostępne dla każdego, w każdym miejscu i o każdej porze. Tyle się trąbi, że internet stał się bardziej niż powszechny, nawet w małych miścinkach jak wasza. Koniecznie musi pan podrzucić właścicielce pomysł na założenie stanowiska komputerowego, jest ono bezwzględnie konieczne w pięciogwiazdkowym ośrodku. Wiem, że wiąże się to z poniesieniem przez państwa dodatkowego kosztu, ale w końcu chcecie uchodzić za postępową, ekskluzywną placówkę idącą z duchem czasu. — Henryka puchła z dumy dzięki swojemu nowatorskiemu pomysłowi, który bez dwóch zdań przysłuży się Yorkshire. — A w miasteczku jest kawiarenka internetowa? Kiedyś korzystałam z jednej takiej u mnie w mieście. Cudowna sprawa! Nie dość, że sprawdziłam rozkład pociągów i pekaesów bez udawania się na dworzec, to jeszcze ten miły pan, który obsługiwał sprzęty, wydrukował mi go! Przy okazji przeczytałam również o pletwalu błękitnym. Czy wiedział pan, że ten kolos potrafi pływać z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę i dożywa osiemdziesięciu lat?

— Nie miałem pojęcia.

— Oczywiście we wspomnianej kawiarence byłam z rok temu, zanim jeszcze sąsiad podłączył mi pudełko, które daje internet w całym domu. Takie białe z migającymi światełkami. Kожarzy pan?

— Ma pani na myśli router bezprzewodowy?

— Nie, jakoś inaczej się to nazywa.

— Modem?

— Nie.

— Hotspot?

— Też nie. To jest niewielkie pudełeczko, u mnie stoi pod biurkiem w głównym pokoju. Sąsiad mówił, że wychodzi z niego internet. W każdym sklepie z elektroniką można je sobie kupić i wcale nie kosztuje dużo jak na cudo, które daje takie możliwości.

— Wi-fi?

— Nie. Zresztą nieważne — odpuściła sobie dalsze tłumaczenie. — Więc jest w miasteczku kawiarenka internetowa, czy nie ma?

— Kiedyś była, ale w styczniu zamknęli podwoje.

— Wielka szkoda, wprost nieodżałowana strata. Tyle ciekawych informacji można wyczytać na stronach WWW. Szczególnie byłoby to ważne dla młodzieży. Zatem prawdą jest, że dostęp do technologii na wsiach jest mniejszy niż w mieście.

— Droga pani, oni zamknęli ją, ponieważ nie było zainteresowania. Teraz każdy ma internet w komputerze w domu, ba! nawet w telefonie, zarówno na wsi, jak i w mieście, więc kawiarenki internetowe są niepotrzebne.

— A, w takim razie to zupełnie co innego.

— Jeśli pani chce, mogę pani coś sprawdzić tutaj. — Wskazał na laptopa ustawionego naprzeciwko niego.

— Nie... sprawa spokojnie może poczekać. — Orłowska nie mogła przecież przystać na propozycję. Wyszukanie postaci Półkownika Alojzego było sprawą tajną i wykluczało zdradzenie recepcjoniście choć słowa w tym temacie. Rada nierada, kobieta musiała się wstrzymać z tą poszlaką do powrotu Arletty.

— Na pewno? Dla mnie to żaden problem.

— Na pewno. Dziękuję za dobre chęci.

Henryka miała dość wrażeń jak na jeden dzień. Wszelkie działania śledcze postanowiła odłożyć na jutro, w końcu przyjechała do pensjonatu na wakacje, a nie na ciężkie roboty. Uznała, że błogie lenistwo przynajmniej w jedno popołudnie jak najbardziej jej się należy. Daleko na bok odsunęła myśli o Róży oraz okolicznościach jej śmierci. Wróciła do swojego pokoju i z ułożoną wysoko na poduszce obolałą nogą zatopiła się w lekturze, przekąszając pyszny tort.

ROZDZIAŁ 19

Z pośnianiowej drzemki Orłowską obudziło rytmiczne stukanie dochodzące z korytarza. Kobieta oraz leżący u jej stóp kot niechętnie otworzyli oczy i zaczęli wpatrywać się w drzwi, nasłuchując dźwięków. Szczelnie okryta ciepłym kocem starsza pani próbowała odgadnąć, co też może czynić taki hałas. Wynurzenie się z pieleszy w celu rozwiązania zagadki nawet nie przemknęło jej przez myśl. Uczciwie przyznajmy: trudno się temu dziwić w pochmurne listopadowe przedpołudnie. Zanim kobieta poczuła się dostatecznie mocno zaintrygowana pukaniem, by wyrzeć na korytarz, dźwięk ucichł. Teraz bez przeszkód można było wrócić do przerwane go snu, co też bezzwłocznie uczynił Cziz. Niestety, nie było to dane Orłowskiej. Wybudzona ze snu nie potrafiła ponownie zasnąć. Przez dłuższą chwilę przewracała się z boku na bok, potem dokładnie zmonitorowała stan popękania sufitu oraz umeblowanie pokoju, żeby ostatecznie po kilku minutach skapitulować i niechętnie wstać. W odpowiedzi na ruchy tektoniczne materaca burasek ponownie uniósł łepkę i popatrzył z niezrozumieniem na krzątającą się panią. Z ciekawością wodził za nią wzrokiem, aż te hipnotyzujące wędrowniki sprawiły, że powieki same mu się zamknęły, a główka bezwładnie opadła.

Pani Henia zabrała się za sprawy porządkowe. Dla zabicia czasu wyrównała w szafie swetry, ułożyła równo kijki do nordic walkingu oraz poprawiła dywanik. Dokładnie wyszorowała kocie miski, po czym zabrała się za oczyszczanie kuwety. Nieczystości spakowała do woreczka foliowego, który następnie (przezorny zawsze ubezpieczony) umieściła w kolejnej reklamówce. Przygotowanego pakieciku nie można było ot tak wrzucić do kosza w łazience, bezzwzględnie należało go wynieść z pokoju, zanim mała przyjemna woń wydostanie się z foliowego wnętrza. Ponieważ chwilowo Henryka nie miała niczego lepszego do roboty, od razu założyła trzewiki i wyruszyła na poszukiwanie kubła nadającego się do zeskładowania pakunku.

Śmietniczki na piętrze odpadały, nieeleganckie byłoby raczenie pozostałych gości pensjonatu odorem, za który odpowiedzialny był jej pupil. Kobieta pamiętała, że na zewnątrz tuż przy wejściu stały dwa pojemniki na odpadki, i to właśnie z nich zdecydowała się skorzystać. Kiedy znalazła się w foyer, do jej uszu doszedł ten sam, a przynajmniej bardzo podobny dźwięk, który nieco wcześniej wyrwał ją z drzemki. Stukanie dochodziło z okolicy restauracji. Śmieci nie zając, nie uciekną — pomyślała Orłowska i zdecydowanym krokiem poszła zaspokoić swoją ciekawość.

Jakieś pięćdziesiąt metrów od niej, tuż przy drzwiach prowadzących do biura Bobrownik, poruszał się wózek z akcesoriami do sprzątania, za którym z niemałym trudem kobieta wypatrzyła postać maleńkiej starowinki. Zaszuszonej pani z impetem raz po raz popychała ustrojstwo, nic sobie nie robiąc nie tylko z czynionego hałasu, ale również i ze strat, które powodowała, uderzając wózkami o pięknie wytapetowane ściany. Dobre serce Henryki sprawiło, że natychmiast doskoczyła do sprzątaczk.

— Pomogę pani — zaoferowała się, wyciągając dłoń w kierunku rączki wózka.

— Pani, a w czym niby mnie pomóc? — zdziwiła się wiekowa dama, zagrządzając całą sobą dostęp do sprzętu.

— Przepchnę wózek, z pewnością musi być bardzo ciężki.

— A gdzieżby tam! Lekutki niczym piórko. Szefowa ledwo co go kupiła, pani kochana, toż to cudem jest! Sama przyjemność takie cacuszko pchać. — Zachwyciła się.

Orłowska uważnie przyjrzała się pooranej zmarszczkami twarzy kobiecinki, która na jej oko mogła liczyć nawet grubo ponad osiemdziesiąt wiosen. Czując na sobie badawczy wzrok Heni, sprzątaczk stwierdziła:

— Pewno się pani dziwi, że w moim wieku można jeszcze pracować, a można, można, zapewniam. Ja bym tak w domu nie mogła tylko siedzieć beczynn timer w pudło się gapić. Emerytura, pani kochana, to nie dla mnie. Póki zdrowie jest, robić będę, toż to sama przyjemność być przydatnym! A pani chciała czego, interes jaki ma do mnie czy jak?

— Szukałam kosza na śmieci.

— Pani tylko obaczy, ja tu nawet wór na wózk mam, Hameryka normalnie! Pani da, wrzucę do tego wora.

— Oj nie, bo będzie pani śmierdziało.

— A cóż to za śmiercie?

— Z czyszczenia kuwety kota.

— Ło pani! Pani się nie wygłupia. — Starowinka wyjęła pakiecik z ręki niczego niespodziewającej się Orłowskiej, po czym wrzuciła go do worka na odpadki. — Już wiem, pani jest od tego kota! Słyszałam, podobno tera taka moda nastąpiła, że wy, miastowe, swój inwentarz na wypoczynek zabierata. — Z dezaprobatą pokręciła głową.

— Nie przyjechałam z kotem, znalazłam go tutaj, na miejscu. Siedział zmarznięty na parapecie, więc wpuściłam go do środka, co innego było robić? Przecież nie mogłam pozwolić, żeby zamarzł — wyznała Henryka. — Na razie został, ale niebawem muszę poszukać dla niego jakiegoś domu.

— Aaaaa, to zupełnie inna sprawa. Pomóc stworzeniu bożemu trzeba. Przez moment myślałam, że pani jest jak te inne z pensjonatu. Nie na moją głowę nowomodne pomysły burżuazji. Choćby ta z góry, co niby na wypoczynku u nas jest, a nosa z pokoju nie wyściubia, tylko całymi dniami paciaje na twarz nakłada i przez telefon pytluje. Albo ten elegant, co z żoną przyjechał. Kolejny. Po lesie bez celu biega, kilometry na próżno nabija. Mówił mi, że dla zdrowia i sylwetki tak lata. Tera, żeby ruszyć cztery litery, ludziska wydają piniendze, żeby chodzić na specjalne sale czy na tych metalowych maszynach się wygibywać. Za moich czasów człowiek od rana do wieczora drwa rąbał, pole obrabiał, krowy na pastwisko prowadził, a tak było od dziecioka. Rodzice jedną mnie mieli, zajęcia nie brakowało. Żadne tam sporty nie były nam potrzebne. Sama pani patrzy, lat mi niemało, a zdrowie dopisuje i jeszcze na pracę sił starcza. Dopiero pierwszy raz com w tym roku do sanatorium pojechała. Ledwom wróciła, ino kilka dni będzie.

— Właśnie tak sobie pomyślałam, że dzisiaj pierwszy raz panią tutaj widzę.

— A bo mnie nie było. Do Śpićmiesza na zabiegi pojechałam. Różne tam masaże i inne cuda mi robili. Pani kochana, jakie ony sprzęty mają! Po powrocie we drzwi domu weszłam, a szefowa dzwoni, raban podniosła, łola Boga, pokojówka nie żyje i czy ja bym mogła w te pędy do roboty przychodzić, bo robić nie ma komu. Szefowej pomóc trza, więc przyleciałam.

— Znała pani tę pokojówkę?

— Pewno, że znałam, cożem miała nie znać? Może i ona nietutejsza, ale razem my pracowały.

— I co pani o niej myśli?

— A co niby mam o niej myśleć? Wielkimi kumami my nie były, gdzie mnie się z takimi dzieciokami zadawać? Toż to przecie nie mój przedział wiekowy — odrzekła zniesmaczona pytaniem kobieta. — Zresztą ona szczególnie rozmowna nie była, ale trzeba jej oddać, że czysta jak mała która. Kiedy po niej szłam kubły w pokojach opróżniać, zawsze był błysk!

— Może chociaż coś się pani obilo o uszy na temat Róży? Pewnie dużo pani wie o tym, co się dzieje w pensjonacie.

— Pewno, że dużo. Kiedy człowiek z miotłą ino lata, to nie zauważają go, myślą, że głuchy i niewidomy, ale przekupą nie jestem, co bym miała po ludziach rozgadywać, co wiem — mruknęła. — Robię na jedną ósmą etatu, żeby mieć jakie zajęcia, trochę się poruszać, plecy rozprostować. Wypłata marniutka, ale jakie napiwki się trafiają! Fiu, fiu. Pani kochana, niektórzy gest mają, oj, mają. Przykładowo ta żona od tego, co tak biega bez celu, ona jak groszem sypnie! A przeczytanych magazynów ile mi nadawała. Wieczorem przy szafwii o świecie lubię sobie poczytać. Gięda ostatnio w górę idzie, benzyna drożeje, masło po sześć złotych. Co się porobiło na tym świecie? O! Albo niech pani to zobaczy. — Sprzątaczką wyjęła z kieszeni bielusięnką materiałową chusteczkę do nosa ozdobioną na brzegach koronką.

— Przepiękna! Taki drogi prezent, to bardzo miłe ze strony pani Liliany.

— A jakiejż tam znowu Liliany? Toż ja mam ją od dentystowej. Co jednemu niepotrzebne, drugiemu jak raz się nada. Jak mawiają: co większe niż wesz, do domu bierz. Uczono mnie, żeby niczego nie marnować. Nawet jak goście papiery czy puszkę rzucają do kubłów, od razu segreguję. W moim wózku miejsca dużo, wkładam tu, a jak nabiera się więcej, wtedy na skup jadę. — Uchyliła materiał, pokazując Henryce swoje dość pokaźne zbiory. — A tę chustkę znalazłam wczoraj w śmierciach

w łazience u doktorów. Mokra była, a brudna jak nie wiem co, ale nie z takimi plamami zwykłam się rozprawiać. Wyprałam, wybieliłam, wykrochmaliłam i proszę, wygląda jak nowiuśka. — Z lubością popatrzyła na swoją zdobycz. — Pani kochana, takie czasy przysły, że dobre rzeczy ludzie ciepą do kosza. Choćby ten zarośnięty, który przez cały dzień kręci się koło kuchni.

— Ma pani na myśli pana Mietka?

— Jego samego. Niby człowiek wiekowy, myślałby kto, że powinien umieć uszanować rzeczy, a wcale nieprawda. Książkę wyrzucił! Toż to się w głowie nie mieści! Żem przedwczoraj u niego w pokoju sprzątała, wiaderko opróżniałam, a tam książka jak wół leży. Gruba taka, papier elegancki, okładka twarda. Mówię: „Panie, omyłkowo żeś pan książkę wyrzucił”, a on mnie, że wcale nie omyłkowo, tylko specjalnie! Bzdur takich podobnież czytać nie zamierza, a jeśli mnie się podoba, to wziąć sobie ją mogę. No to żem wzięła, co ma się marnować? — Sprzątaczką pogrzebała przez chwilę w wózku, wyjęła z niego słusznych rozmiarów księgę i wcisnęła ją Henryce do ręki.

Ta ujęła tomisko w dłoń, przeczytała tytuł, a następnie zapytała:

— Wie pani, o czym jest?

— Trochę poczytałam. Takie tam różne o podejściu do życia, coby więcej na dworze siedzieć, że nigdy za późno na zmianę, jak graty w domu poustawiać, żeby energia dobra była. Pani ją sobie weźmie, jeśli panią interesuje.

— Ależ nie, nie mogłabym, przecież książka należy do pani. — Orłowska chciała zwrócić staruszce jej nowo nabytą własność.

— Bierz pani! — Starowinka nie ustępowała. — Ja tam wolę horrory. Książki są po to, żeby kto je czytał, a nie by na półce kurzem zachodziły.

— Skoro pani niepotrzebna, chętnie wezmę. — Emerytka ucieszyła się, była ciekawa świata i zwykła czytać wszystko, co tylko nawinęło jej się pod rękę.

Nagle, z całkowitego zaskoczenia i niesamowicie głośno, korytarz wypełnił męski głos, który w związku z trzaskami oraz szumem przeplatającym kolejne słowa wydawał się pochodzić z odległej galaktyki:

— <trzask> Pani Jadwigo <szzzszzzzy> proszę z rzeczami do sprzątanania <trzask> udać się do kuchni <SZyyyySZYyyyyYyy> jest pani potrzebna pani Czesławie <SZZZZZyyyyyyyy>. Pilne <trzask>.

— Co to było? — zapytała lekko zdezorientowana Henryka.

— Powtarzam <trzask>, pani <szyyyyyszzy> Jadwigo, proszę bezzwłocznie zjawić <szyyyy> się w kuchni <trzask trzask trzask> — ryknęło jeszcze głośniejsze. — Słysząc mnie? <szzzSzYYSZZYYYYyy> Proszę coś <trzask> odpowiedzieć! <szyyyy>

— Pani kochana, toż nigdy pani nie widziała mikrofalówki? Wymyśliłam to i teraz jak recepcjonista, co chce, to gada do mnie bez to pudełko. Pożyczyłam dwa takie od chrześniaka na próbę. — Sprzątaczką wyjęła z kieszeni podomki czarną cegłę z antenką, do której przybliżyła twarz na odległość jednego centymetra i przemówiła podniesionym głosem, wyraźnie artykułując każde słowo: — Przecie słyszę, na słuch mi nie padło, nie trza się tak drzyć. Idę, już idę. Bez odbioru — ostatnie dodała z wyraźną satysfakcją i ponownie umieściła odbiornik w kieszeni. — To bez odbioru to też mój własny pomysł. Widziałam, jak tak mówili w hamerykańskim filmie, gdzie cały czas samochodami po mieście się ganiali. No, ale robota czeka. — Pani Jadzia odwróciła się plecami do Orłowskiej i wałąc wózkiem o ścianę, bez zbytecznego pośpiechu udała się do kuchni.

Lżejsza o pakunek nieczystości oraz cięższa o grubą księgę Henryka przeszła przez foyer do windy.

— Heniu! — zawołał ktoś.

Kobieta spojrzała za siebie. Przy kanapach kłębili się Halinka, Rysio oraz Miecio.

— Dzień dobry! — krzyknęła, machając im na powitanie.

— Chodź do nas — zaszczebotała Halina.

Starsza pani podeszła do towarzystwa.

— Heniu, a ty nie idziesz na wycieczkę? — zdziwił się brodac. — Zrezygnujesz z doskonałej okazji sfotografowania okolicznych zabytków?

Orłowska rzuciła okiem na przerzucone przez oparcia foteli kurtki, czapki i szaliki oraz dwa plecaki niewielkich rozmiarów oparte o stół.

— Niestety, ze względu na nogę jestem zmuszona tym razem odpuścić. Nawet nie wiecie, jak bardzo żałuję. Czytałam rozpiskę, wyjście zapowiada się ekscytująco, że też akurat teraz skręciłam kostkę. — Westchnęła.

— Boli cię jeszcze? — zapytał medyk.

— Lekko, ale zdrowy rozsądek podpowiada, że powinnam ją oszczędzać. — Spojrzała na Ryszarda. — O! Widzę, że sweter się doprał. Nie został nawet ślad po zupie.

Wspomnienie kremu z pomidorów ściekającego po bielusińskim kardiganie sprawiło, że mężczyzna mimowolnie przetarł dłonią haft złotego zęba na kieszonce, jak gdyby strzepywał z niego nieistniejącą już plamę. Uporczywie jednak milczał, wpatrując się w czubki wypastowanych na wysoki połysk kozaków.

— Tamtego jeszcze nie odebraliśmy z pralni — konspiracyjnie wyszeptała Halinka, która nie zwykła długo trzymać współtowarzyszy w niepewności.

— Zatem jakim sposobem... — zdziwiła się emerytka. — Czegoś tu chyba nie rozumiem...

— Moi kochani, zdradzę wam w tajemnicy patent Rysia — zachichotała dentystowa. — Rysio ma w garderobie wszystkiego po dwa. Dwie pary takich samych spodni, koszulek, nawet butów. Rysiu, sam powiedz.

— To prawda — przyznał nieco zaróżowiony na policzkach stomatolog. — Robię w ten sposób od czasu studiów. Jeśli jakieś ubranie czy buty podobają mi się i dobrze pasują, od razu kupuję podwójnie. Zakupy nie są moim ulubionym zajęciem, a dzięki temu ograniczam konieczność zajmowania się nimi do minimum.

— Ach, ci mężczyźni, nawet nie wiecie, ile tracie — zaszczębiotała małżonka, przytulając głowę do ramienia ukochanego.

— Całkiem niezłe pomysły — pochwalił Miecio. — Ja na przykład mam swoje ulubione ubrania i tylko w nich chodzę. Jeśli coś muszę wyprać, to dopóki ciuchy są mokre, noszę inne, opinające i niewygodne. Sprytnie to wykombinowałeś, Ryśku, skorzystam z twojego patentu przy kolejnych zakupach!

— A proszę cię bardzo. Heniu, o czym czytasz? — Rysiek zmienił temat.

— O podejściu do życia, ale jeszcze nie zaczęłam, dopiero co dostałam tę książkę — przemówiła słabym głosem Orłowska, zerkając z ukosa na Mietka, który namiętnie grzebał w plecaku.

— Pokaż, Heniu. — Halina wyciągnęła przed siebie prawą dłoń, nie pozostawiając starszej pani wyboru.

Ta wyjęła spod pachy grubaśną księgę i wręczyła ją Halince.

— Bardzo ciekawe — uznała żona dentysty, wczytując się w opis umieszczony na okładce.

Brodacz właśnie się wyprostował, a jego wzrok padł na pozycję literacką, która niedawno była w jego posiadaniu. Brwi mężczyzny zbiegły się w jedną długą linię, a usta wygięły z niezadowolenia.

— Powinniśmy wychodzić — stwierdził, zabierając się za zakładanie kurtki.

Ryszard zerknął na zegarek.

— Mietku, jeszcze piętnaście minut do zbiórki, szkoda niepotrzebnie marznąć.

— Róbcie, jak chcecie, ja idę. Kto wie, może przyszli wcześniej i na nas czekają.

— Może i racja — uznała Halina. — Chodźmy, Rysiu, razem z Miecikiem. Heniu, chętnie ją pożyczę, kiedy skończysz. — Oddała książkę właścicielce i włożyła ręce w rękawy płaszcza, który podał jej małżonek.

— Dobrej zabawy, kochani.

— A dziękujemy — odpowiedziała za wszystkich Halina.

Właśnie mieli się rozstać, kiedy w foyer rozbrzmiało znajome PING, a drzwi windy rozsunęły się. Z wnętrza dźwigu wyszli Liliana z Cezarym.

— Dzień dobry i od razu do widzenia — powiedział do pozostałych gości pensjonatu znawca dzieł sztuki.

— Ja również się żegnam — zawtórowała mu małżonka. — Miło było państwa poznać.

— Już wyjeżdżacie?! — krzyknął w ich kierunku Mieczysław.

— Tak — lakonicznie odpowiedział mężczyzna, zmierzając do drzwi.

— W takim razie do widzenia, nam również było miło spędzić czas w państwa towarzystwie — rzekł stomatolog.

— Szerokiej drogi i do zobaczenia! — dopowiedziała starsza pani.

Dłużej nie rozmawiali, bo właśnie w tym momencie do pensjonatu wszedł policjant. Oczy zebranych zwróciły się na niego. Mundurowy ominął wycieraczkę i krok za nią na czystej posadzce głośno potupał wielkimi buciorami, a ręką strzepnął z kurtki pokątną warstwę śniegu. Dopiero wtedy podszedł do pary ciągnącej za sobą małe walizki na kółkach.

— Słyszałem, że państwo gdzieś się wybierają — bez zbędnych ceregieli przeszedł od razu do rzeczy.

— Dobrze pan słyszał. — Czarek wziął na siebie ciężar udzielenia odpowiedzi funkcjonariuszowi. Wydawało się, że panowie mieli okazję wcześniej się poznać i nie zapalali do siebie szczególną sympatią. — A teraz żegnam. Lili, czas nas nagli.

Mijając przedstawiciela władzy, Liliana delikatnie kiwnęła głową.

— Chwileczkę, nie tak szybko, drodzy państwo. Przysłał mnie kapitan.

— A to ciekawe. — Cezary odwrócił się w kierunku mężczyzny. — Można wiedzieć, w jakiej sprawie?

Ustawieni przy kanapach pensjonariusze wymienili spojrzenia, ich chęć wyjścia przed budynek nagle osłabła. Halina z Miciem w ślimaczym tempie kontynuowali ubieranie się, jedynie Rysio zdawał się być niezainteresowany rozgrywającą się nieopodal sceną i ze spokojem malującym się na twarzy w pełnym rynsztunku i z plecakiem na plecach czekał, kiedy pozostali będą gotowi.

— Podobno chcielibyście się państwo przenieść do innego hotelu — zbył pytanie obywatela policjant.

— Gwoli ścisłości, mamy tutaj do czynienia z trybem orzekającym, a nie przypuszczającym. Nie chcielibyśmy, tylko przenosimy się. — Mężczyzna wymownie spojrzął na bagaże.

— Nie sądzą. — Mundurowy uśmiechnął się złośliwie.

— Słucham? — włączyła się do rozmowy Lila, gdyż miała dość aroganckiego zachowania stróża prawa.

— Kochanie, ja to załatwię. Czy jest jakiś problem, panie posterunkowy?

— Sierżancie — poprawił go chłopak.

— Wszystko jedno. — Cezary machnął ręką.

Sierżant zapowietrzył się, po czym warknął:

— Nie możecie się państwo stąd wyprowadzić. Trwa dochodzenie w sprawie morderstwa pokojówki.

— Czy jesteśmy o coś oskarżeni, a może ma pan nakaz aresztowania?

— Nie. Na razie.

— Zatem w czym rzecz?

— Podejrzani nie mogą opuszczać miejsca pobytu, taki dostałem rozkaz.

— Podejrzani? O co niby mielibyśmy być podejrzani?! — zaperzyła się kobieta.

— Lili, pan SIERŻANT, teraz dobrze, panie SIERŻANCIE? — W oku arystokraty pojawił się błysk.

— Tak. — Policjant był ukontentowany.

— Lili, pan sierżant tylko wykonuje rozkazy — dokończył.

— Rozkazy? Hitlerowcy też TYLKO wykonywali rozkazy — wycodziła przez zęby małżonka.

— Oj, teraz pani przesadziła! Obraza władzy podczas służby, mamy na to odpowiednie paragrafy!

— Lepiej wszyscy się uspokójmy. — Spec od dzieł sztuki jako jedyny zachował zimną krew. Liliana weszła mu w słowo:

— Nie widzę podstaw, które dawałyby panu prawo do ograniczania naszej wolności. Jeśli się mylę, proszę przedstawić takowe, w przeciwnym wypadku możemy uznać temat za zamknięty. Gdyby zaistniała potrzeba, a nie sądzę, znajdziecie nas w hotelu na górce. Do widzenia. — Kobieta zaczęła wychodzić.

— Do widzenia — dodał tonem niezdradzającym żadnych emocji jej mąż i poszedł w ślady małżonki.

Minęło trochę czasu, nim zaskoczony pan władza zamknął rozdziawione usta, następnie ponownie je otworzył, żeby po chwili znowu zamknąć. Doskonale wiedział, że poniósł porażkę w starciu ze zbyt pewnymi siebie podatnikami. Ech, ci miastowi! Zmarszczył nos. Nie był zadowolony, oj, nie był zadowolony. Założył na głowę czapkę, coś zanotował w kajeciku i opuścił budynek.

ROZDZIAŁ 20

Dzień powoli chylił się ku końcowi, słońce przekroczyło horyzont. Było kilka minut przed siedemnastą. Orłowska zasiadła przy stylowym stoliku w głównej części pokoju, ustawiła na nim niewielkie lusterko na nóżce i zabrała się za robienie makijażu.

Kończyła właśnie nakładać róż na policzki, kiedy słodki Cziz uznał, że nadszedł czas na należną mu dzienną porcję pieszczot. Futrzak wykonał jeden sus wprost z łóżka na tymczasową toaletkę. Znając go, nietrudno przewidzieć, że akrobacje w wykonaniu tego zwierza były nieodłącznie związane z czymś więcej niż banalne przemieszczenie się z miejsca na miejsce. Szczęśliwie akurat w niniejszej sytuacji kotek nie spowodował strat, a jedynie nieopatrznie strącił z hukiem na podłogę książkę od pani Jadwigi.

— Och... — wyrwało się z piersi Henryki.

Przechyliła się na prawo, żeby podnieść tomiszcze, i chwyciła je jedną ręką. Strony zaszeleściły i razem z okładką zafalowały, a gdzieś ze środka wysunął się cienki błękitny papier, który opadł na miękką wykładzinę. Kobieta odłożyła na stolik książkę, poprawiła okulary na nosie i ujęła w dłoń zgiętą na pół kartkę. Dokładnie się jej przyjrzała, po czym wciągnęła głęboko do płuc powietrze, gdzie zatrzymała je przez dłuższą chwilę. Skąd taka reakcja? Okazało się bowiem, że dzięki pupilkowi znalazła fakturę i to nie byle jaką, tylko taką z urwanym rogim, która opiewała na kwotę osiemdziesięciu trzech złotych polskich wystawioną za zakup alkoholu na potrzeby Yorkshire. Jak to możliwe? — snuła domysły. Skąd faktura wzięła się w książce Mietka?

Otworzyła szufladę biurka, żeby wyjąć krzyżówkę, na której zapisała numer telefonu wydobyty na miejscu zbrodni z fartuszka Róży. Przyjrzała się cyfrom tak, jak gdyby wpatrywanie się w nie miało przynieść rozwiązanie zagadki morderstwa. Kot, zainteresowany czymś zgoła innym niż Orłowska, zakręcił kilka kółek wokół własnej osi, uformował się w kłębek i zastygł w takiej pozycji, zerkając jednym, lecz pełnym nadziei okiem na opiekunkę.

— Tak — niespodziewanie powiedziała sama do siebie Orłowska, odłożyła krzyżówkę na bok, a następnie przycisnęła dziesięć klawiszy na telefonie dobytym z kieszeni żakietu.

Nadal niegłaskany Cziz spojrzał na panią, a z jego wzroku można było wyczytać coś pomiędzy niezadowoleniem, obrazą a szczerym zdziwieniem. Wzbierało w nim uczucie irytacji potęgowane wpijającym się w futerko tuszem do rzęs oraz pomadką, na których nieopatrznie się położył. Cicho miauknął, przypominając o swojej obecności, jednak pochłonięta dzwonieniem kobieta nie zwróciła na niego najmniejszej uwagi.

Wykonała dwa telefony, jeden zaraz po drugim.

— W takim razie czekam — powiedziała, próbując nieskutecznie ukryć napięcie wyraźnie wyczuwalne w głosie.

Rozłączyła się i mocno ścisnęła komórkę w obu dłoniach. Na wpatrywaniu się w wyświetlacz upłynęło jej dobrych kilka minut. Kot głośno zamiauczał.

— Cziz, nie teraz — uciszyła go zniecierpliwiona pani.

Nokia zawibrowała, ekran rozświetlił się optymistyczną zielenią uważaną powszechnie za kolor nadziei, a pokój wypełniła melodia „Ostatniej niedzieli” Mieczysława Fogga wygrywana na niskiej klasy syntezatorze.

Henryka przydusiła zieloną słuchawkę.

— Mów — nie siliła się na zbyteczny wstęp.

— ...

— Jesteś pewna?

— ...

— Rozumiem. Moje dziecko, dziękuję ci za pomoc.

Głośno westchnęła. Odłożyła komórkę na stolik i ku uciesze buraska nareszcie zabrała się za jedyne słuszne (obok karmienia) zajęcie, czyli głaskanie go. Mruczący Cziz nie zauważył, że pani machinalnie wodzi ręką po jego futerku, patrząc niewidzącym wzrokiem przez okno, za którym zdążył zapaść zmrok.

Do pokoju numer dwadzieścia pięć doszedł dźwięk barytonu mężczyzny oraz towarzyszący mu perlisty śmiech kobiety. Starsza pani nie miała wątpliwości, do kogo one należą. Niechętnie uniosła się z siedziska i wolnym krokiem przekroczyła próg.

— Kochani, mam do was dwa słowa — wyjawiała, zbliżając się do pary.

— Chodź do nas, Heniu — zaprosiła ją Halinka.

Cała trójka weszła do pokoju dentystów. Panie usiadły na fotelach, mężczyzna zabrał się za nalewanie napojów.

— Kapkę czegoś mocniejszego przed kolacją? — zapytał Ryszard, odkręcając korek od butelki džinu.

— Dziękuję, nie — odmówiła starsza pani.

— Może chociaż wody albo soku? — nie ustawał w pełnieniu obowiązków pana domu.

— Tym razem spasuję.

— Kochanie, a dla ciebie likier kawowy?

— Jak ty mnie dobrze znasz. Poproszę, tylko malutko, tak dla smaczku. — Halina spojrzała z czułością na Rysia. — Heniu, chyba miałaś do nas jakąś sprawę.

— W rzeczy samej, ale poczekam, aż Ryszard usiądzie. Myślę, że tak będzie lepiej.

— Jejciu, czy to coś poważnego?

— Niestety tak.

— Znowu zęb?

— Nic tych rzeczy. To sprawa innej natury.

— Rysiu, nie przedłużaj! Spocznij wreszcie — zarządziła Halina.

Mężczyzna wręczył małżonce małe kieliszki, a sam rozsiadł się na krześle ze szklanką trunku w dłoni.

— Mów, Heniu, umieram z ciekawości — zdradziła kobieta.

— Przychodzę w sprawie śmierci Róży.

— Do nas? — zdziwił się mężczyzna.

— Tak. Przykro mi, ale to nie będzie miła, przyjacielska wizyta, szczególnie dla ciebie, Ryszardzie — stwierdziła emerytka.

— Nie rozumiem. Musiała zajść pomyłka, nie mamy z tą sprawą nic wspólnego. — Głos mężczyzny był stanowczy.

— Obawiam się, że macie. Halinko, może wołałabyś, aby rozmowa odbyła się na osobności?

— Nie mamy przed sobą niczego do ukrycia. Henryko, jeśli chcesz o czymś powiedzieć, mów przy nas obojgu, mam rację, aniele?

— Oczywiście — gorliwie potwierdziła małżonka.

— Jeśli taka jest wasza wola, dobrze. Pozwólcie, że opowiem wam, co się stało w ten feralny poranek, a może nawet zacznę od wcześniejszych wydarzeń? — Zastanowiła się przez chwilę.

— Heniu, ale naprawdę... — chciał coś powiedzieć dentysta, jednak przeszkodziła mu żona:

— Rysiu, daj mówić Heni.

— Dziękuję, Halinko. Zacznę od początku: Różę interesował zawód fizjoterapeuty. Kiedy dowiedziała się, że Ryszard jest dentystą, pomyślała, że podpyta go o łódzką uczelnię. Jesteście serdecznymi i otwartymi ludźmi, dlatego z pewnością udzieliliście jej wyczerpujących odpowiedzi. Domyślam się, że któreś z was zaproponowało jej nawet, że postaracie się pomóc w spełnieniu marzenia o studiach. — Emerytka spojrzała na gospodarzy wyczekująco.

— To byłem ja, wydawała mi się taką miłą i zdolną dziewczyną... Marnowała się w pracy pokojówki. Najważniejsze, czyli nauka, byłaby po jej stronie, chciałam jednak zdjąć z jej barków takie głupstwa jak szukanie lokum, złożenie papierów. Prosiłam też Rysia, żeby podpytał kolegów, którzy tam wykładają, o użyteczną literaturę do przygotowania się do egzaminów — wyjaśniła Halinka.

Starsza pani kiwnęła głową i mówiła dalej:

— Wizja studiowania w Łodzi przypadła Róży do gustu. Ponieważ była osobą skrupulatną, zabrała się za zbieranie informacji w interesującym ją temacie, jak zawsze sumiennie. Zapewne wtedy wpadła jej w ręce broszura uczelni i zdjęcie oraz lista absolwentów z rocznika Ryszarda.

— Henryko, nie bardzo wiem, do czego zmierzasz. — Stomatolog zirytował się.

— Rysiu, nie przeszkadzaj — upomniała go małżonka.

— Zmierzam do tego, że nie było cię ani na zdjęciu, ani na liście. Prawda?

Mężczyzna milczał niczym zakłęty. Orłowska kontynuowała:

— Różę poważnie zastanowił ten fakt. Zaczęła drążyć, zadawać niewygodne pytania. Domyślam się, że przyszła ze swoimi podejrzeniami do ciebie, Ryszardzie. Wszyscy wiemy, że gdyby się okazało, że od lat leczysz zęby bez dyplomu, byłbyś skończony.

— Stek bzdur — warknął, wstając z krzesła. Podeszedł do stolika, żeby dolać sobie dżinu.

— Rysiu... — Halina spojrzała na niego.

— Aniele, nie słuchaj tego! — podniósł głos, jednak natychmiast się zreflektował. — Przepraszam. Przepraszam was obie. Niepotrzebnie się uniosłem. Ta dziewczyna wygadywała niestworzone rzeczy. Coś sobie wymyśliła. Oczywiście, że skończyłem studia!

— Na miejscu zbrodni nieopodal jej ciała znalazłam na podłodze guzik od twojego szlafroka.

— Od mojego szlafroka? — Był zszokowany. Po chwili jednak opanowanie wróciło. — Poczekajcie, pokażę wam coś. — Zostawił na stoliku do połowy napełnioną szklankę. Poszedł do łazienki, skąd wrócił ze szlafrokiem. — Henryko, ja jej nie zabiłem. Mam wszystkie guziki, sama sprawdź. — Rozłożył poły, ukazując w pełnej krasie rząd guzików.

Emerytka ledwie na niego zerknęła.

— To nie jest jedyny szlafrok z takimi guzikami, prawda, Halinko? — zapytała, zerkając ze smutkiem na dentystową.

W odpowiedzi kobieta schyliła głowę i skryła twarz w dłoniach. Jej ramiona zatrzęśły się, a pokój wypełnił przejmujący szloch.

— Halinko, aniele mój! — Ryszard doskoczył do ukochanej. Przykucnął obok żony i czule pogłaskał ją po włosach. — Najmilsza moja, nie płacz, bo serce pęka. Henryko, z całym szacunkiem dla ciebie, ale nie masz racji. Nie zabiłem tej pannicy, a dyplom mam — zapewnił. — Dobrze, przyznam się, w końcu jakie to ma znaczenie po tylu latach. Zrobiłem go za granicą kilka lat później niż moi rówieśnicy. Nigdy ci o tym nie mówiłem, Halinko, ponieważ było mi wstyd. Przez głupotę zmarnowałem sporo czasu, zamiast uczyć się, wołałem hulać, ale w końcu wróciłem do rozumu. Przysięgam.

— Czy to prawda? — Halina spojrzała na niego zapłakanymi oczyma.

— Absolutna, przysięgam na własne życie.

— Mogę o tym zaświadczyć. Ryszard co prawda nie widnieje na liście dentystów w Polsce, ale za granicą już tak. Posiadany dyplom jak najbardziej uprawnia go do wykonywania zawodu stomatologa w waszym kraju. Chwilę temu przez telefon potwierdziła to moja kuzynka.

Dentystowa rozplakała się na dobre.

— Ależ Halinko — przemówił łagodnym głosem mąż, zupełnie nie rozumiejąc jej reakcji.

— Co ja zrobiłam... Co ja najlepszego narobiłam... — szeptała kobieta.

— Myszko, ja nie rozumiem. Kochana moja. Henryko, o co chodzi? — Teraz z kolei Ryszard spojrzał na emerytkę.

— Lepiej, żebyż żona sama ci powiedziała. Wyjdę, nie będę wam przeszkadzać. — Starsza pani podniosła się.

— Zostań, Heniu — poprosiła słabym głosem Halina.

— Czy w tym pokoju tylko ja nie jestem na bieżąco? — oburzył się mąż.

— Rysiu, kochany, usiądź proszę. — Małżonka już się uspokoiła. Otarła łzy wierzchem dłoni, poczekała, aż Ryszard spocznie, po czym przemówiła: — Dzień przed śmiercią Róży podsłuchałam was. Byłam w łazience, brałam prysznic, kiedy ona przyszła. Słyszałam, że postawiła ci ultimatum, mówiła, że masz czas do jutra. Powiedziała, że będzie czekać na ciebie w gabinecie właścicielki chwilę po szóstej. Doskonale знаła twoje zwyczaje, codziennie przechodzisz tamtędy po kawę dla mnie. Nie wiedziałam,

co o tym myśleć. Jedyne sensowne wyjaśnienie, jakie mi się nasunęło, to takie, że mnie zdradzasz...

— Ależ ja bym nigdy w życiu...!

— Wiem, byłam głupia, jak mogłam w ciebie zwątpić? Ale zwątpiłam. Następnego dnia rano, kiedy tylko wyszedłeś z pokoju, wyskoczyłam z łóżka. Ponieważ nie miałam swojego, więc nałożyłam twój zapasowy szlafrok i pobiełam w ślad za tobą. Tak jak zapowiedziała, czekała na ciebie w biurze. Wszedłeś do niej na chwilę. Akustyka korytarza sprawiła, że schowana za rogiem słyszałam każde słowo. Ta dziewczyna stwierdziła, że nie pozostawiasz jej wyboru, podobno dzwoniła do izby lekarskiej i nie widniejesz w spisie stomatologów. Chciała zgłosić wszystko policji. Prosiła cię, żebyś sam się przyznał. Nie chciałeś jej słuchać, uprzedzałeś, że tylko się ośmieszysz. Odszedłeś do kuchni wściekły. Przeraziłam się. Aż bałam się pomyśleć, co może ci grozić za tyle lat pracy bez wymaganych uprawnień. Postanowiłam rozmówić się z Różą, przekonać ją, przekupić, zrobić cokolwiek zechce, byle tylko cię ratować. Weszłam do gabinetu. Stała do mnie odwrócona plecami, czytała jakąś kartkę.

— Halinko... — jęknął na myśl o spodziewanym zakończeniu historii. — Nic nie mów. — Podszedł do żony i objął ją ramieniem.

— Muszę, Ryśku, chcę zdjąć z serca ten ciężar. Mam dosyć kłamstwa, udawania. Ja nie chciałam. Przysięgam, nie chciałam zrobić Róży krzywdy. Przekonywałam, prosiłam, błagałam, ale nic do niej nie przemawiało. Nie wiem, jak to się stało... Od słowa do słowa i zaczęłyśmy się kłócić. Złapała mnie za szlafrok, krzyczała, wtedy chwyciłam do ręki puchar i uderzyłam ją. — Po policzkach znów pociekły Halinie łzy. — Tyle krwi... To mnie otrzeźwiło. Od razu klęknęłam przy niej, chciałam udzielić pomocy, jednak nie oddychała. Nic nie dało się zrobić. Przeraziłam się. Wyrwałam jej z dłoni ten niebieski papier, który trzymała, myślałam, że to jest dowód przeciwko tobie. Wytarłam puchar w materiałową chusteczkę, którą miałam w kieszeni spodni od piżamy, i odstawiłam go na miejsce, a potem szybko uciekłam. Recepcjonista głośno chrapał, nikogo innego nie było, dlatego przemknęłam korytarzami niezauważona. W pokoju od razu ściągnęłam szlafrok i ukryłam go pod podszewką walizki. Zanim wróciłeś, wskoczyłam do łóżka.

— Halinko, moje serce, moja duszyczko... — Mąż przytulił ją jeszcze mocniej.

— Wybacz mi, Rysiu, błagam cię, wybacz! Naprawdę nie chciałam! — płakała.

— Wszystko będzie dobrze, kochana moja. Razem przez to przejdziemy, na dobre i na złe, pamiętasz?

— Oj Ryśku, czym ja sobie na ciebie zasłużyłam? Muszę zadzwonić na policję — postanowiła dentystowa, wstrząsana jeszcze szlochem. — Dziękuję ci, Heniu, już dawno nosiłam się z zamiarem wyznania prawdy.

Ktoś zapukał do drzwi.

— Zupełnie zapomniałam... — Halinka złapała się za głowę.

— Otworzę — zaofiarowała się Henryka.

Do pokoju wszedł pan Zygmunt, pchając wózek z wielkim tortem w kształcie zęba. Zaintonował *Sto lat*, ale widok zapłakanej żony jubilata skłonił go do zaprzestania śpiewów i opuszczenia pokoju.

— Sto lat, Rysiu. — Halina słabo uśmiechnęła się do ukochanego. — Pani Czesia z okazji twoich urodzin upiekła tort, nie było łatwo ją namówić. Nagadała się, że musi mieć do tego specjalny ser. No i ile się nastarałam, żeby z recepcjonistą wszystko zorganizować w tajemnicy przed tobą.

Starszą panią olśniło. Tych kilka zdań wystarczyło, żeby wyjaśniła się podpatrzona przez nią schadzka kobiety z Zygmuntem. Orłowskiej coś jeszcze przyszło do głowy.

— Kucharce przywieźli ser o poranku w dzień śmierci Róży, prawda? — zapytała znienacka.

— Tak. Zaraz po śniadaniu wzięła mnie na bok, żeby podzielić się dobrą nowiną — przyznała Halina.

— Dlatego jej nie było, kiedy przyjechał dostawca, a zamówienie musiał odebrać Mateusz — powiedziała cicho emerytka.

— Słucham? — Stomatolog nie zrozumiał.

— Nic, nic. Ja tak do siebie — szybko dodała starsza pani.

Henryka wyszła z pokoju bez pożegnania, zostawiając wtulonych w siebie małżonków. Kiedy

w absolutnej ciszy zamykała za sobą drzwi, z windy wysiadł kapitan wraz z dwojgiem ludzi. Orłowska podeszła do policjantów.

— Domyślił się pan? — zapytała.

— Widzę, że pani również — stwierdził Zborowski.

— Tak. Proszę im dać chwilę, niech się jeszcze nacieszą swoim towarzystwem. To są ludzie honoru, nikt nie będzie uciekał, ręczę za nich.

— Dobrze, ale robię to przez wzgląd na panią, pani Heniu. Chłopcy, idziemy na dół na kawę z ciastem.

— Ale panie kapitanie! — Funkcjonariusz, którego emerytka widziała wczoraj w foyer, nastroszył się.

— Mój chłopcze, w tym konkretnym przypadku kilka minut opóźnienia wszystkim wyjdzie na dobre.

— Ale...

— Żadnego ale. To jest rozkaz — powiedział groźnie kapitan, dyskretnie puszczając oko do swojej ulubionej obywatelki.

EPILOG

— I co teraz będzie? — zapytała Bobrownik.

— Kapitan Zborowski powiedział mi, że Halinka może liczyć na łagodny wyrok, niewykluczone, że wyjdzie po roku. Wiele przemawia na jej korzyść — tu pani Henia zaczęła wymieniać: działanie w afekcie, nieposzlakowana opinia, sama się zgłosiła na policję, żeby wyznać, co się zdarzyło.

— Ech, szkoda mi zarówno pani Haliny, jak i Róży.

— Mnie również. Moje dziecko, nie wiem, czy słyszałaś, że obydwójce stomatolodzy postanowili utworzyć fundację imienia Róży, żeby wspomagać zdolną młodzież, której z powodów finansowych nie stać na studia.

— Coś mi się obilo o uszy — powiedziała z dziwnie rozbieganym wzrokiem Zosia. — Pani Heniu, skąd pani wiedziała, kto jest mordercą?

— To nie było łatwe. Na rozwiązanie naprowadził mnie fartuszek.

— Fartuszek?

— Tak. Wieczór przed śmiercią dziewczyna dała swój poplamiony fartuszek Arletcie, a przed rozpoczęciem pracy wzięła sobie nowy, czysty. Kiedy ją znalazłyśmy na podłodze, miała w kieszonce kartkę z numerem do izby lekarskiej. Zastanowiło mnie, po co wkładałaby ją tam z samego rana. Widzę dwie możliwości. Po pierwsze, mogła chcieć pokazać numer Ryszardowi na dowód, że dzwoniła i o wszystkim wie. Po drugie, chciała dać go policji. W obydwu przypadkach prowadzi nas to do dentysty oraz jego żony. Kolejna rzecz — chusteczka Halinki. Pani Jadzia znalazła ją mocno zabrudzoną w koszu w łazience kilka dni po zabójstwie. Halina wytarła nią zakrwawiony puchar, a niełatwo doprać plamy zaschniętej krwi. Próby zakończyły się niepowodzeniem, więc wyrzuciła chustkę. Nawet nie przypuszczała, że pani Jadzia przypadkiem ją odkryje. Na koniec guzik, który odpadł, kiedy szarpały się w gabinecie. Skoro Ryszard ma każde ubranie w podwójnym egzemplarzu, to czemu w ich pokoju Arletta znalazła tylko jeden szlafrok? Odpowiedź nasuwa się sama: ten drugi został z jakiegoś powodu ukryty bądź wyrzucony.

— Nawet nie zapytam, dlaczego moja pracownica szperała w pokoju gości... — Właścicielka pensjonatu zerknęła z ukosa na starszą panią, która dziwnie się skurczyła.

Zofia podjęła przerwany temat:

— Nadal nie rozumiem, czemu nie pomyślała pani, że to pan Ryszard jest winien.

— Choćby dlatego, że nie miał motywu, by zabić. Oskarżenia Róży były bezpodstawne. W najgorszym wypadku Ryszard musiałby się przyznać ukochanej, że w młodości lubił zaszaleć. Co innego jego żona, ta nie знаła prawdy, zatem mogła uwierzyć pokojówce i niestety tak się stało. Wystraszyła się o los najważniejszej osoby w jej życiu.

— A co z moją fakturą? Jak znalazła się w książce pana Mieczysława?

— Długo nie mogłam do tego dojść — zdradziła emerytka. — Teraz już wiem. Halinka ukryła ją razem z zakrwawioną chusteczką. Dopiero po kilku dniach odważyła się zajrzeć do swojej skrytki. Gdy zobaczyła, że to zwykła faktura bez związku ze sprawą Ryszarda, po prostu ją wyrzuciła. Pani Jadzia, opróżniając kubel, dołożyła fakturę do kupki z makulaturą. Zbieg okoliczności, że chwilę później znalazła u Mietka książkę. Podczas przerwy śniadaniowej przerzuciła wzrokiem kilka stron tomiszczą, a że nadszedł czas wracać do pracy, więc chwyciła pierwszy lepszy papier. Traf chciał, że była to właśnie ta faktura. Założyła nią strony, żeby pamiętać, gdzie skończyła. Ot i cała tajemnica.

— Tylko... dlaczego mi ją pani oddała, zamiast zanieść na policję?

— Bo jestem przekonana, że będziesz wiedziała, jak właściwie postąpić, moje dziecko.

Bobrownik popatrzyła z wdzięcznością na Orłowską i mocno ją uściskała.

— Dziękuję. Nie wiem, jak się pani odwdzięczyć za wszystko.

— Jest jedna rzecz, którą mogłabyś dla mnie zrobić, moja droga.

— Proszę śmiało mówić, dla pani wszystko.

— Zerwał mi się pasek klinowy w samochodzie. Mateusz obiecał go jutro naprawić, ale potrzebuję się dzisiaj dostać do hotelu na górce.

— Robi się. — Kobieta chwyciła za telefon. — Arletta, pozwól do mnie, tylko biegusiem — powiedziała do słuchawki.

Chwilę później pomoc kuchenna i pokojówka w jednej osobie pomagała usadowić się emerytce w aucie.

— Faktycznie, wysłużony ten twój wóz — przyznała Henryka.

— Wiele kilometrów razem przejechałyśmy z moją kochaną Wołowinką. — Dziewczyna pogładziła dłonią akwamarynowy pokrowiec na kierownicę ze sztucznego futerka. — Czasem akumulator wysiadzie, ale lubię mój samochód. Każdy mi mówi, żebym pozbyła się grata, lecz jak mogłabym to zrobić?

— Mam tak samo z moim opelkiem — odrzekła starsza pani, znana z zamiłowania do samochodów o bogatej przeszłości.

— Szefowa wspominała pani o fundacji? — zapytała Arletta, odpalając krztuszący się i trzęsący wehikuł.

— Fundacji?

— Tak, pan Ryszard z panią Haliną zakładają fundację imienia Róży i nasze Yorkshire też będzie miało swój udział w przedsięwzięciu! Szefowa ma dobre serce. Ja również zgłosiłam się do pomocy. Cudownie, nieprawdaż? Róża by się ucieszyła. Chociaż tyle możemy zrobić, żeby uczcić jej pamięć.

— Wspaniały pomysł!

Panie dłużej nie rozmawiały, ponieważ skupiona na kierowaniu samochodem dziewczyna wołała prowadzić w ciszy.

— Jesteśmy na miejscu.

— Moje dziecko, czy mogłabyś na mnie chwilkę poczekać? Załatwię jedną sprawę i zaraz wracam.

— Żaden problem, z przyjemnością posłucham sobie w tym czasie muzyki — zapowiedziała Arletta, włączając radiomagnetofon na kasety.

Skoczny pop wypełnił całe wnętrze Wołowinki od podłogi aż po sufit. Porażona natężeniem decybeli Orłowska czym prędzej umknęła, zostawiając podśpiewującą radośnie dziewczynę.

Pani Henia pewnym siebie krokiem weszła do hotelu. W foyer czekał na nią Cezary.

— Witam. — Podał jej rękę. — Da się pani zaprosić na kawę?

— Dziękuję, ale spieszę się. Może — rozejrzała się dookoła — usiadźmy tutaj. — Wskazała ręką na cztery plastikowe konstrukcje, na których od biedy można było przysiąść.

— Świetny wybór — pochwalił znawca dzieł sztuki. — To praca Arczibalda Tiwi z jego młodych lat. Każde krzesło artysty, a zdecydowanie zasługuje on na miano artysty, kosztuje od dziesięciu tysięcy wzwyż — poinformował.

— Dziesięć tysięcy złotych za... to? — zapytała oniemiała Henryka, oglądając dziwaczny twór zwany krzesłem.

— Dolarów. Dziesięć tysięcy dolarów. — Spec od sztuki pokiwał głową z uznaniem.

Kobieta zrobiła wielkie oczy.

— Mój drogi, do rzeczy, bo samochód na mnie czeka. Zazwyczaj nie wtrącam się w cudze sprawy, jednak tym razem postanowiłam zrobić wyjątek, z góry proszę o wybaczenie.

— Mianowicie? — Mężczyzna zrobił się czujny.

— Czas powiedzieć żonie prawdę.

— Prawdę? Jaką prawdę?

— Najprawdziwszą i całą. W sprawie komiksów, Półkownika Alojzy. — Henia wyłożyła kawę na ławę.

— Och! — Spłoszował. — Pani wie?

— Wiem. Obejrzałam sobie te rysunki w internecie i nieźle się przy tym uśmiełam. Proszę powiedzieć o wszystkim żonie — poradziła.

— Pani Henryko, ale... — wydukał — czy może być, żeby poważny specjalista od dzieł sztuki zajmował się czymś tak niepoważnym jak tworzenie żartobliwych komiksów? Nie sędzę, żeby...

Nie dała mu skończyć myśli.

— Nie ma pan powodu do wstydu, to są świetne prace. Według mnie sztuka na najwyższym poziomie, warta o wiele więcej niż, hm... — zamyśliła się — na przykład krzesła Arczibalda Tiwi, na których siedzimy. Pani Lila będzie z pana dumna. — Orłowska nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości.

— Tak pani myśli? — Cezary powoli zaczął się przekonywać.

— Jestem pewna. — Henryka poklepała go po ramieniu.

Półtora miesiąca później pani Henia zabrała się za rozwieszanie świeżo wypranych firan. Drzwi zatrzęsły się. Miarowe walenie wespół z natarczywym dzwonieniem skłoniło kobietę do zeskoczenia z drabiny i porzucenia w misce mokrego materiału. Emerytka pocwałowała otworzyć.

— Pan listonosz! Jak miło widzieć!

— Dzień dobry, pani Heniu. Polecony do pani.

— Nareszcie, czekam na niego od wtorku.

Po krótkiej wymianie uprzejmości, wręczeniu poleconego (listonosz Henryce) oraz paczki pierniczków (Henryka listonoszowi) gospodyni zamknęła drzwi za pracownikiem poczty. Bez niepotrzebnej zwłoki rozerwała kopertę, z której wypadł na podłogę bilet autokarowy.

— Jadę! — Ucieszyła się, a czworo zdumionych oczu, należących do świnki morskiej i skradającego się do niej kota, zatrzymało się na rozradowanej właścicielce.

Los pani detektyw Henryki Orłowskiej został przypieczętowany po raz drugi, ale o tym w kolejnej części.

Drogi Czytelniku,

uprzejmie donoszę, że wszystko w powieści, łącznie z futrzastym Czizem oraz urokliwym pensjonatem Yorkshire, stanowi jedynie wytwór mojej wyobraźni. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.

Do zobaczenia!

